

ECHO WOLNOŚCI



Saga dynastii Rathore Rian

sezon 1

Autor: Monika Selerowicz

Łomianki, 2026

Echo wolności. Część I

Pod koniec 2029 roku Liberty Fade z Ville Rianem na czele świętują premierę czwartego albumu i razem ze swoimi rodzinami przyjeżdżają do Rianhouse — nowoczesnej rezydencji w Westendzie w Helsinkach, należącej do legendy rocka i jego żony — indyjskiej księżniczki.

Plan jest prosty: odpocząć po sukcesie płyty i spokojnie przygotować się do największej trasy koncertowej w swojej karierze.

Jak zwykle nie do końca wychodzi. Codziennosc szybko dzieli się między pracę, próby, nagrania nowego sezonu *Liberty Fade Life* i życie pod jednym dachem, gdzie prywatność jest pojęciem dość umownym, a kamery są częścią wyposażenia.

Wieczorami wszyscy wracają do początków, oglądając pierwszy sezon programu sprzed lat. Wspomnienia, śmiech i rzeczy, które kiedyś zostały bez komentarza, nagle zyskują zupełnie nowe znaczenie. W świecie, w którym żyją, wszystko ma swoją narrację. Nawet najprostsze sytuacje rzadko są tylko tym, czym wydają się na pierwszy rzut oka. Niektóre mają dwa, a czasem nawet trzy dna.

To sitcom o sławie, rodzinie i życiu, które nawet jeśli wygląda idealnie na co dzień układa się po swojemu. Bez jednej głównej fabuły, bez wielkich zwrotów akcji. Za to z ludźmi, którzy są ze sobą trochę za często i trochę za długo.

Świat i rodziny

Dynastia Rathore – arystokracja z Udaipur (Indie, Radżastan), „stare pieniądze” i wpływy.

Ród Mannerheim–Rian – fińska rodzina przemysłowców i milionerów.

Dynastia Rathore–Rian – współczesna linia łącząca wpływy indyjskie i fińskie; biznes, media, kapitał.

Postacie pierwszoplanowe:

Miraaya „Mia” Rathore (ur. 1980) – indyjska księżniczka, właścicielka Indivar Group, żona Ramiego, matka Villego.

Antero Rami Mannerheim Rian (ur. 1977) – fińska legenda rocka, właściciel RRstudio, mąż Miraayi, ojciec Villego i Emmy; artystycznie używa nazwiska Rian po matce.

Ville Vivaan Rathore Rian (ur. XII 2003), ps. Libertyn, Kurdupel, Vivaan – frontman Liberty Fade, syn Mii i Ramiego, mąż Rose, ojciec Amidali,

Rose Milagros Mayer Rathore Rian (ur. X 2002) – ps. Libertini, informatyk, Brytyjka hiszpańskiego pochodzenia, żona Villego, adopcyjna matka Amidali.

Postacie drugoplanowe

Emma Mannerheim Rian (ur. 2000) – była gitarzystka Liberty Fade, magister sztuki, zarządza firmą dziadka Lauriego, partnerka Roberta, matka małego Roberta.

Thomas „DJ” Kleinert (ur. 1999) – DJ Liberty Fade, Niemiec, specjalista od technologii i kontaktów, partner Sandry.

Paul Lewin (ur. 1995) – basista Liberty Fade, Brytyjczyk polskiego pochodzenia, prowadzi ekologiczne gospodarstwo, partner Wendy, ojciec Melissy i Petera.

Robert „Rob” Walker (ur. 1997) – perkusista Liberty Fade, Brytyjczyk włoskiego pochodzenia, właściciel klubu muzycznego, partner Emmy, ojciec małego Roberta.

Jari Kallio (ur. 1990) – gitarzysta Liberty Fade, Fin, były pilot wojskowy, ojciec Oskariego.

Wakanae „Wendy” Tanaka (ur. 1994) – specjalistka ds. marketingu, Japonka, partnerka Paula, matka Melissy i Petera.

Sandra Martin (ur. 2000) – inżynier mechatronik, dziewczyna Thomasa,

Amidala „Ami” Rathore Rian (ur. VII 2020) – wyjątkowo bystra, obdarzona słuchem absolutnym, córka Villego, adopcyjna córka Rose.

Postacie poboczne

Lauri Mannerheim (ur. 1953) – fiński przedsiębiorca, ojciec Ramiego, dziadek Emmy i Villego.

Juliette Beaumont – Francuzka, siostra Sofii - zamordowanej matki Miraayi.

Henrik Kleinert – niemiecki przedsiębiorca, ojciec Thomasa.

Oskari Kallio (ur. 2018) – syn Jariego, przyjaciel Amidali.

Robert Walker Rian (ur. 2028) – syn Emmy i Roberta.

Melissa i Peter Lewin (ur. 2027) – bliźnięta, dzieci Wendy i Paula

Echo of Liberty „Echo” (ur. 2022) — suczka rasy staffordshire bull terrier, pies Miraayi

Firmy, zespoły i miejsca

Indivar Group – międzynarodowa korporacja działająca w wielu gałęziach gospodarki: energetyce jądrowej, górnictwie, medycynie oraz szeregu mniejszych przedsięwzięć.

RRStudio – wytwórnia muzyczna i zaplecze produkcyjno-koncertowe.

Liberty Fade (2021–) – zespół alternatywnego rocka łączący brzmienia rockowe, elektroniczne i popowe.

Kanał Liberty Fade – oficjalny kanał zespołu na popularnej platformie wideo, zrzeszający miliony widzów w Europie i Ameryce.

Liberty Fade Life (LFL) – jedna z odsłon Kanału Liberty Fade; pełnometrażowe odcinki ukazujące prywatne życie zespołu.

The R. Requiem (1997–2024) – zespół rockowy Ramiego o międzynarodowej renomie.

Rathorehouse – pałac w Virginia Water w hrabstwie Surrey (Wielka Brytania); rezydencja należąca do Miraayi.

Rianhouse – rezydencja nad Zatoką Fińską w prestiżowej dzielnicy Helsinek, Westend; posiadłość należąca do Ramiego.

Rozdział 1

Księżę w świecie show–biznesu.

Gabinet rodziny Rathore Rian jest nowoczesny, niemal futurystyczny. Biało–szare wnętrze mogłoby wydawać się chłodne, gdyby nie podłoga ze szlachetnego drewna oraz ściana pełna rodzinnych zdjęć i pamiątek.

Dziewięcioletnia Amidala siedzi w białym skórzanym fotelu i muska palcami czaszkę leżącą na biurku. Zatrzymuje wzrok na wyblakłej fotografii z dawnej gazety – widać na niej wrak samochodu. Po chwili spogląda w puste oczodoły i teatralnym tonem zwraca się do swojego milczącego towarzysza:

– Być czy nie być – oto jest pytanie...

– Być, Amidalo. Raczej być – odpowiada delikatny, męski głos dochodzący z antresoli.

Ona unosi wzrok. Mężczyzna schodzi lekkim krokiem po lewitujących schodach. Jego gładkie dłonie, przecięte wyraźnymi niebieskimi żyłkami, suną po szklanej balustradzie.

– Być, ale kim? – pyta zaintrygowana.

– Ami, bądź kim chcesz – odpowiada, podchodząc do biurka.

Dziewczynka zastanawia się chwilę. Palce przesuwa się po starej gazecie z 1981 roku.

– Chcę być kimś. Coś znaczyć.

– Czyżby show–biznes? – śmieje się, odsłaniając białe zęby.

Kładzie dłoń na jej dłoni, a brokat na jego czarnych paznokciach błyszczy w jesiennym słońcu wpadającym przez okno.

– Nie. Chcę być jak prababcia. Ona dawała ludziom nadzieję, leczyła ubogich.

– Hmm... nie wiem... Może lepiej tworzyć własną historię. Ale masz rację. To, co robiła prababcia, było godne podziwu. Jednak pamiętasz... – pochyla się nad nią i szepcze jej coś do ucha.

Ami nieruchomieje. Mężczyzna uśmiecha się tajemniczo i powoli odsuwa od biurka.

– Jesteś okropny, Ville! – stwierdza z rozbawieniem, przechylając lekko głowę.

– Widzę, że przeglądasz stare gazety. Wieki ich nie widziałem.

Sięga po jedną z nich. Z lekkim grymasem przygląda się wyblakłym literom, po czym zaczyna czytać:

– „Syn maharadży Udajpuru i jego żona nie żyją.”

Przesuwa wzrokiem dalej, ale po chwili się poddaje.

– Nie znam hindi zbyt dobrze. Choć czasem mam wrażenie, że moje życie to jedno wielkie bollywood.

Ami śmieje się i podchodzi do ogromnego okna. Spogląda na babcię Mię, która rozmawia z ogrodnikiem w listopadowym chłodzie.

– Kochana babcia... To od niej wszystko się zaczęło. Opowiadała mi historię dynastii Rathore, ale jest tam tyle zawiłości... Dużo rzeczy mi się nie klei. Może ty coś mi rozjaśnisz?

Ville przygląda się sobie w lustrze bez ramy. W jego twarzy wciąż jest coś chłopięcego, ale spojrzenie zdradza kogoś, kto dawno przestał być nastolatkiem. Czarna kreska pod okiem podkreśla ciemnozielone tęczęwki, a starannie pomalowane rzęsy nadają spojrzeniu wyrazistości. Przeczesuje dłońią gęste, ciemnobrązowe włosy, odsłaniając dwa srebrne kolczyki.

Odwraca się do Amidali, która znów siada przy surowym, betonowym biurku.

– Oczywiście. Choć czasem sam gubię się w tej historii.

Dziewczynka chwyta czaszkę i zaczyna przekładać ją z ręki do ręki.

– Wiemy, że rodzice babci Mii zginęli w wypadku, kiedy była małym dzieckiem.

Ville spogląda na nią z niepokojem.

– Zostaw Williama w spokoju.

Gdy odkłada czaszkę, potakuje z aprobatą.

– To nie był wypadek. To było morderstwo z zimną krwią. Mia miała być kolejną ofiarą, ale tego dnia została w pałacu, pod opieką Maharani.

Ami bierze głęboki oddech.

– Podobno po wielu latach znaleźli tych, którzy to zlecili. Jeden z nich był z bocznej linii rodu Rathore.

Ville pochyla się nad biurkiem.

– Wszystko zaczęło się od pewnego kuzyna. Dla uproszczenia nazwijmy go po prostu Kuzynem. Wplątał się w mroczne interesy, uznano go za niegodnego i odebrano mu tytuły oraz przywileje... Postanowił to odzyskać, a właściwie odziedziczyć.

– Ale po co? – pyta, poprawiając opaskę na kasztanowych włosach. – Złote czasy arystokracji w Indiach minęły.

Ville zaczyna powoli krążyć po gabinecie.

– Oficjalnie tak. W praktyce w wielu miejscach to wciąż narzędzie wpływu i pieniędzy.

– Babcia wspominała, że nie działał sam.

– Szybko znalazł zwolenników – odpowiada bez emocji. – Maharadża był człowiekiem postępowym, wręcz proeuropejskim. Ożenił się z Europejką, a swojemu synowi pozwolił na to samo. To wystarczyło, by stworzyć historię o odejściu od tradycji. A drugie dno już znasz.

Przez chwilę zapada cisza.

– Dla wielu, zwłaszcza dla konserwatystów, było tego za dużo – dodaje cicho. – Uznali to za plamę na honorze rodu. Próbowali podważyć autorytet Maharadży, ale bezskutecznie.

Jego głos staje się niższy.

– Dlatego uderzyli tam, gdzie bolało najbardziej. Pozbycie się potomków Maharadży otwierało drogę do spadku po jego śmierci.

Amidala na chwilę opuszcza wzrok.

– Ale babcia Mia przeżyła. I została zaręczona jako dziecko... Po co?

Ville uśmiecha się lekko.

– Bo to nie było czarno-białe. Krążyły plotki, że Kuzynów było więcej. Mia była jedyną spadkobierczynią ogromnej fortuny, więc jej życie było w niebezpieczeństwie. Ten kontrakt miał ją chronić – dać Maharadży czas na obmyślenie planu. I ostatecznie... ten plan dał jej wolność.

Sięga po gazetę z 2003 roku i przez chwilę wpatruje się w wyblakłe zdjęcia.

– Nadal nie wszystko jest dla mnie jasne...

Ami wybuchają śmiechem.

– Wiesz, Ville, najpierw było koło, potem komputery, a teraz mamy internetowe tłumacze.

– Technologia spiskuje przeciwko mnie – odpowiada teatralnie, poprawiając koszulę.

Dziewczynka czyta nagłówek:

– „Wielki skandal! Wnuczka Maharadży, księżniczka Miraaya, potajemnie poślubiła gwiazdę muzyki rozrywkowej... Rami Rian – bawidamek, narkoman i skandalista...”

Unosi brwi.

– Mia miała cichą zgodę na ten ślub. A dziadek Rami... no cóż, nie był wzorem cnót.

Ville obraca bransoletkę na nadgarstku.

– Mia go kochała, on kochał ją. Maharadża to zaakceptował.

– To i tak nic nie zmieniło. Jej życie dalej było zagrożone.

– To była dopiero pierwsza faza planu – przyznaje. – Oficjalnie Maharadża zerwał kontakt z Mią, ale w rzeczywistości chronił ją w Wielkiej Brytanii. Musiała zniknąć, urodzić syna i ostatecznie zakończyć dynastię.

– Mia miała urodzić syna... – powtarza Amidala, wskazując na niego. – Czyli ciebie.

Ville unosi głowę z lekkim uśmiechem.

– Tak. Mnie. Kilka miesięcy po moich narodzinach zrzekła się tytułu w moim imieniu. To był koniec rodu Rathore w tej formie.

– Ale ty jesteś księciem... – ciągnie bez przekonania.

– Honorowym. To tytuł niedziedziczny. Nadany później, bardziej symbolicznie — przyjęty ze względu na ludzi, którzy byli po stronie Maharadży do końca.

Dziewczynka podchodzi do okna. Jej babcia właśnie rozmawia przez telefon, a obie wymieniają porozumiewawczy uśmiech.

– A to daje ci jakąkolwiek władzę?

Ville również podchodzi do okna i macha do matki.

– Nie. Nie potrzebuję władzy w lokalnej społeczności. Przecież i tak jestem... popularny.

Ami spogląda na niego z podziwem, bierze do ręki telefon i przez chwilę przesuwając palcem po ekranie.

– Zasięgi twojego kanału sięgają dwustu milionów – mówi z namaszczeniem, jakby odczytywała dane giełdowe. – Ludzie kochają Libertyna. Ville, jesteś wielki!

Unosi na niego wzrok z absolutną szczerością, jaką potrafią mieć tylko dzieci. W jej oczach nie ma ani krzty przesady – po prostu Ville jest legendą.

Chłopak potakuje zadowolony, rozgląda się po gabinecie i zatrzymuje spojrzenie na ścianie z trofeami. Patrzy na swoje platynowe i złote płyty, jakby sam nie dowierzał, ile ich jest.

– Muszę zamontować kolejną półkę. Już nie mam gdzie trzymać tych wszystkich nagród... – mruczy, po czym spogląda na Ami z przekornym uśmiechem. – A tak w ogóle, czemu mówisz do mnie po imieniu?

– Żeby było luźniej. Sam mi kazałeś!

– Ale kiedy są przyjaciele, prywatnie wolę, żebyś zwracała się do mnie inaczej.

Dziewczynka śmieje się i przytula go bez chwili wahania.

– Oczywiście, tatusiu!

Po czym wychodzi z gabinetu z lekkim podskokiem, mijając w progu kobietę, którą całuje w policzek.

Ville podchodzi do biurka, sięga po czaszkę i z czułością kładzie ją na otwartej dłoni. Obraca Williama powoli, jakby w pustych oczodołach chciał odnaleźć odpowiedź na dawne pytania. Przez

chwilę patrzy w milczeniu, aż wreszcie unosi czaszkę ku światłu zachodzącego słońca, które załamuje się na polerowanej powierzchni kości.

– Być, zdecydowanie być – szepcze, jakby składał przysięgę nie tylko sobie.

Za plecami słyszy miły, dobrze mu znany głos. To Rose – jego żona, śliczna, mądra i temperamentna. Staje w progu i przekrzywia lekko głowę. W jej oczach widać ciekawość, choć ton brzmi bardziej niż ironicznie.

– Kim chcesz być, mój kochany Libertynie?

Ville odkłada czaszkę i posyła jej całusa.

– Dziś będę złotą rączką. Muszę zamontować półkę na kolejne nagrody za ostatni album.

Rose podchodzi bliżej i przesuwając dłoń po jego policzku. Uśmiecha się szeroko, po czym całuje go bez ostrzeżenia – długo, intensywnie, tak jak tylko ona potrafi. Gdy się odsuwa, jej spojrzenie na moment poważnieje, choć wciąż czai się w nim rozbawienie.

– Nie ma mowy. Masz zakaz używania elektronarzędzi. Lepiej wezwij specjalistę.

Rozgląda się po pokoju, marszczy brwi i staje bokiem do światła.

– Hmm... zaczęliście już nagrywać?

– Na razie bawimy się kamerami, ustawiamy kadry – odpowiada, obracając się i pokazując kolejne urządzenia. – Moja Libertini ludzie chcą igrzysk, więc je dostaną! Idę po narzędzia.

Ona tylko macha ręką w geście rezygnacji i siada przy komputerze z lekkim uśmiechem. Czas sprawdzić rozkład kamer i skoordynować pracę ekipy technicznej. Wszystko musi działać bez zarzutu.

Przelatuje wzrokiem po gabinecie – pięć rejestratorów w tym pomieszczeniu powinno wystarczyć. W całej rezydencji Rianhouse zamontowano już większość kamer. Kolejne urządzenia trafią do studia jej teścia, do samochodów i wszędzie tam, gdzie Ville i jego muzycy będą przebywać. Czas zacząć kręcić kolejny sezon *Liberty Fade Life*. Rok 2030 zapowiada się pracowicie.

Kilka minut później Ville wraca ze skrzynką narzędzi. W skupieniu przegląda jej zawartość, po czym zdejmuje koszulę. Rose spogląda na niego z uznaniem i zatrzymuje wzrok na tatuażach. Ville nie lubi tatuaży, ale ma dwa – małe i symboliczne. Jeden, tuż pod obojczykiem, przedstawia znak nieskończoności z wplecionym kodem binarnym literki „R”. Drugi, na przedramieniu, to serce z imieniem jego córki.

Rose ma podobne – jej nieskończoność oplatają nuty, a serduszko z literką „A” znajduje się bliżej nadgarstka.

Wciąż przypatruje się mężowi. Ville jest szczupły – zawsze taki był. Na jego ciele próżno szukać tłuszczu; jest idealnie umięśniony, ani za dużo, ani za mało. To efekt codziennych treningów.

Próbuje skupić się na plikach, ale wzrok wciąż ucieka do pięknego ciała ukochanego Libertyna. Ville dostrzega to spojrzenie i w komiczny sposób zaczyna prężyć mięśnie. Po chwili wraca do pracy, chwytając wiertarkę – nagle coś spada z łoskotem i znika pod skórzanym szezlongiem. Reaguje na to wzięciem przkleśniętą po fińsku.

Rose podnosi zgubę i spogląda na niego z rozbawieniem.

– Vivaan! To wiertło jest za duże. Montujesz półkę czy regał przemysłowy? Wyzaczyłeś miejsce i wysokość?

Na dźwięk tego imienia, Ville uśmiecha się szeroko, lubi jak Rose tak go nazywa. Jak sama mówi: „Dla świata jesteś Ville-Libertyn, dla mnie zawsze będziesz Vivaanem”. Następnie aktorsko przewraca oczami. Już wie, że to Rose przejmuje kontrolę, a on będzie tylko podawał narzędzia.

Szklana półka okazuje się bardziej wymagająca, niż przypuszczał. Trzeba precyzji co do milimetra, poziomicy, odpowiednich kołków i śrub, których oczywiście nie ma. Zamiast tego ma cały arsenał... niewłaściwych kluczy, zbyt krótkich wkrętów i rozkalibrowaną wiertarkę.

Podczas gdy Rose mierzy odległości i sprawdza poziom, Ville z wdziękiem podaje jej nie te narzędzia, co trzeba, za każdym razem z miną skruszonego adoratora.

Flirtują bezwstydnie, przerywając pracę pocałunkami i żartami, które opóźniają montaż, ale umilają czas. Ville, zupełnie bezużyteczny w kwestiach technicznych, nadrabia urokiem i teatralnymi gestami podawania śrubokrętów niczym kelner serwujący szampana. Przez chwilę nawet klęka, wręczając jej poziomice jak pierścionek zaręczynowy.

Godzinę później półka wisi równo na ścianie, idealnie dopasowana do reszty minimalistycznego wnętrza. Ville przygląda się jej z uznaniem.

– Dasz radę zmontować odcinek tak, że to ja wszystko zrobiłem?

– Nawet jakbym chciała, nikt by nie uwierzył. Vivaan, kochanie, już wszyscy wiedzą, że masz dwie lewe ręce do majsterkowania. Zawsze coś gubisz albo psujesz.

Ville rozkłada ręce w geście kapitulacji i posyła jej ten swój rozbijający uśmiech.

– No nic, nie będę protestował. Mamy materiał na dwa odcinki: jeden o tym, dlaczego jestem księciem, a drugi... jak nie zmontowałem półki.

Rozdział 2

Liberty Fade wchodzą na szczyt.

Rose przegląda harmonogram trasy koncertowej, notując kolejne punkty. W ciągu ostatnich lat zespół Villego zdołał nagrać już trzy sezony programu i kilka mini-serii. To robi wrażenie, ale budzi też obawy. Czy wystarczy im pomysłów na kilkanaście pełnometrażowych odcinków? Każdy musi być świeży, unikać powtórzeń. Dziewczyna dobrze pamięta nagrania poświęcone niektórym tematom, ale w szczególności pierwszy sezon z 2024 roku zdążył się już zatrzeć.

– Przed trasą powinniśmy jeszcze raz przejrzeć stare epizody – stwierdza.

Z tą myślą zamierza odwiedzić męża w pracy i porozmawiać z nim na poważnie.

Godzinę później siedzi już w samochodzie. Po drodze zatrzymuje się w sklepie, by kupić słodkie pianki, na które Ville miał ochotę od poprzedniego wieczora. Mimo korków udaje się jej dotrzeć na miejsce jeszcze przed południem. Rose parkuje auto i kieruje się do RRstudio – czteropiętrowego, modernistycznego budynku w sercu Helsinek, gdzie jej teść prowadzi nie tylko wytwórnię muzyczną, ale też szereg artystycznych projektów.

Mija hol, witając się ze współpracownikami. Schodami wchodzi na ostatnie piętro, po czym skręca w prawo, ku drzwiom z tabliczką: „Ville Vivaan Rathore Rian – rada nadzorcza”. Gabinet, jak cały budynek, urządzony jest w stylu modernistycznym: żywe kolory, geometryczne wzory, artystyczne detale. Wszystko tworzy spójny klimat.

Rose zagląda do środka i spostrzega Villego na sofie, całującego się z przystojnym blondynem o bujnych włosach. Wzdycha, lecz lekko się uśmiecha.

– Dobrze się bawicie, chłopcy?

Ville wyślizguje się z objęć kolegi, drapie się po głowie i rzuca:

– Nie spodziewałem się, że przyjdiesz tak szybko. O, przyniosłaś moje ulubione pianki – dzięki!

Rose zerka okiem na ekran jego komputera. Znów jest pełen pustych folderów, mimo że niedawno robiła tam porządek. Po odkopaniu klawiatury i myszy spod sterty dokumentów finansowych i kosztorysów przegląda zawartość pulpitu.

– Vivaan, skarbie, jesteś strasznym bałaganiarzem i do tego wyłączyłeś antywirusa!

Mąż robi niewinną minę. Razem z kolegą podchodzą do niej i jednocześnie całują ją w policzki, a Rose z zadowoleniem przygląda się chłopakowi.

– Stęskniłam się za tobą, Filipie. Gdzie Sylvia?

Ville wraca na sofę, sięgając po książkę, którą niemal już skończył. Filip, nie spuszczać wzroku z Rose, mówi wesoło:

– Sylvia szaleje na zakupach, jakby w Berlinie nie było sklepów. Jadę do niej – mówiła, że tęskni za tobą i liczy na przytulaski.

Libertyn odkłada na chwilę książkę, a jego twarz rozjaśnia lekkie rozmarzenie. Dawno nie widział Sylvii, chętnie przyjrzy się jej z bliska – choć i z Filipem ma ochotę spędzić więcej czasu. Uśmiecha się na myśl, że ich czwórka tworzy coś w rodzaju kwadratowego związku.

Filip całuje Rose w usta i zaczyna zbierać się do wyjścia, ale Ville go zatrzymuje:

– Weź mój samochód. Ja wrócę z moją ukochaną.

Chłopak stanowczo protestuje – nie chce jeździć nowym, potwornie drogim autem przyjaciela.

– Jak go rozbijesz, kupię sobie nowe. Tym razem zielone – stwierdza Ville, po czym odlicza plik banknotów i wręcza je Filipowi. – Zatankuj, proszę. I nie zapomnij o fakturze!

Rose wtrąca się z uśmiechem:

– Znowu musisz tankować?

– To Lambo, musi pić. Właściwie powinni sprzedawać je w pakiecie z cysterną.

Wszyscy zaczynają chichotać pod nosem. Libertyn dorzuca jeszcze kilka banknotów i wręcza je przyjacielowi:

– Kup sobie coś ładnego.

Filip tylko kręci głową z rezygnacją – wie, że Ville nie przyjmie odmowy, więc chowa kluczyki i pieniądze do kieszeni.

– Wieczorem się widzimy – żegna się i wychodzi.

Rose uśmiecha się z figlarnym błyskiem w oku i, dotykając subtelnie dłoni Libertyna, pyta:

– A dla mnie też przygotowałeś pliczek euro?

– Kochanie, ty pracujesz. Zawsze powtarzasz, że jesteś niezależna. No chyba, że przestali ci płacić... Usiądź przy mnie, proszę.

Dziewczyna udaje obrażoną, ale w końcu zadowolona przysiada się. Po chwili jedzą razem pianki i rozmawiają o programie oraz obawach związanych z treścią kolejnych odcinków.

– Faktycznie warto było wrócić przynajmniej do pierwszego sezonu i jeszcze raz przejrzeć materiały przed trasą – przyznaje Ville, pochłaniając kolejną piankę. – Przerwa świąteczna to idealny moment.

Rose uśmiecha się, a Libertyn patrzy na nią z czułością. Uwielbia jej ciemne oczy, lekko falowane włosy, gładką szyję, piersi, szczupłe uda.

– Jesteś strasznie ponętna – mruczy, całując ją po dekolcie. – Czas na meeting tylko we dwoje – dodaje z błyskiem w oku.

Wstaje, zamyka drzwi na klucz i wraca do żony, rozpinając po drodze koszulę.

Rose zsuwa ramiączko sukienki, a Ville całuje jej piersi, muskając delikatnie skórę ustami. Jest cicho, ciepło, bezpiecznie. I wtedy rozlega się pukanie do drzwi.

Chłopak syczy pod nosem coś mało eleganckiego, z niechęcią narzuca koszulę na ramiona i idzie otworzyć.

Za progiem stoi mężczyzna, którego trudno pomylić z kimkolwiek innym – jego ojciec, Antero Rami Rian, muzyk, kompozytor i producent w jednej osobie. Przystojny, nieskazitelnie zadbany, z czarną apaszką zarzuconą na szyję wygląda jak żywa definicja elegancji.

Rami wchodzi wesoło do gabinetu, zatrzymuje wzrok na Rose i rzuca ze swoim zawadiackim uśmiechem:

– Cześć, synowo. Widzę, że ciężko pracujecie?

Ville i Rose – wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Chwilę później dziewczyna niepostrzeżenie włącza kamery, z nadzieją, że może z tej wizyty będzie ciekawy materiał do nowej serii.

– Czym mogę służyć, ojcze? Co cię sprowadza? – pyta Ville z wyraźnym dystansem.

Rami przeciąga palcami po czarnych, lekko kręconych włosach, w których delikatna siwizna układa się w kontrolowany, artystyczny nieład. Po chwili podchodzi do białego fortepianu stojącego przy panoramicznym oknie z widokiem na tętniące życiem centrum Helsinek i siada przy nim swobodnie. Jego dłonie opadają na klawiaturę, a w powietrzu rozbrzmiewają pierwsze takty walca Straussa.

– W sobotę wielka impreza – mówi przerywając na chwilę grę. – Mama już rozpoczęła przygotowania. Przejmuje się tym bardziej niż ty, a przecież, synu, Libertynie, świętujemy nie byle co – sukces twojego zespołu i twoje urodziny. Może zaangażowałbyś się odrobinę?

Ville siada obok ojca i kontynuuje rozpoczętą melodię.

– Spokojnie, też poczyniłem przygotowania. Impreza będzie nagrywana, a najlepsze fragmenty znajdują się w jednym z pierwszych odcinków nowego sezonu. Mam już outfit, no i muszę iść na manicure. Mam straszne odrosty... – przygląda się paznokciom z dezaprobatą i dodaje: – Może pójdziesz ze mną?

Rose, nie chcąc zostać wciągnięta w dyskusję, chowa się za książką, którą przed chwilą czytał jej mąż. *Geopolityka i finanse*. Ten tytuł dobrze oddaje cechy Villego – jest nie tylko genialnym muzykiem, ale i świetnym matematykiem. Choć muzyka dominuje w jego życiu, cyfry i finanse są tuż za nią, a praca w radzie nadzorczej sprawia mu szczerą satysfakcję.

Talent muzyczny i wrażliwość artystyczną Libertyn odziedziczył po ojcu. Chłodny umysł i błyskotliwość – po matce. Mógłby przez to wydawać się ideałem, ale Rose wie, że to tylko pozory. Nie zamierza się jednak teraz tym przejmować. Ma dobry humor i, jak zawsze, uwielbia przysłuchiwać się dialogom dwóch Rianów.

Rami marszczy brwi, wstaje od fortepianu, bierze głęboki oddech i pyta z wyraźnym spokojem podszytym irytacją:

– Czy możesz mi powiedzieć, po jaką cholere wynająłeś klaunów na tę imprezę?

– Żeby było barwnie – odpowiada wesoło. – Nasz dom w Westend jest stalowo–betonowy. Klauni wniosą trochę koloru.

Rami i Rose wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, po czym ciężko wzdychają. Znają Villego zbyt dobrze, by próbować go powstrzymywać. Czasami jego pomysły są tak absurdalne, że pozostaje tylko śmiać się z bezsilności.

W międzyczasie Ville zaczyna grać znajomy motyw – jeden z pierwszych utworów swojego ojca, *Black Ocean*. Piosenkę, która podbiła listy przebojów i otworzyła Ramiemu drzwi do międzynarodowej kariery. Po chwili muzyka cichnie i wszyscy siedzą przez moment w milczeniu, jakby trawili to, co przed chwilą zagrał Ville. Rami prostuje się nagle, przypominając sobie coś istotnego. Teraz jego głos jest chłodny, niemal kamienny.

– Tego elektronicznego coveru mojej najlepszej piosenki nigdy ci nie wybaczę.

Ville szczerzy się zadowolony z siebie.

– Piosenka odżyła. Razem z Thomasem nadaliśmy jej powiew świeżości. Ludzie to kupują, podoba im się. Ty zawsze cisnąłeś na wielką sztukę, na poważne, symfoniczne brzmienia. Ale czasem trzeba zejść z obranego kursu. To poszerza horyzonty. Inspiruje.

Rami milczy przez chwilę. Wie, że jego syn ma gadane. I wie też, że – niestety – ma rację.

– Dobrze – mówi w końcu. – Cover jest dobry. Wygrałeś. Kiedy idziesz na manicure? Chętnie się dołączę.

Ville promienieje. Czas z ojcem u kosmetyczki? Idealna okazja do plotek o ludziach show–biznesu. Czy może być coś bardziej męskiego?

Westend to dzielnica, która nie przypomina miasta. Kilkanaście minut od centrum Helsinek zaczyna się inny świat – porośnięty sosnami, z prywatnymi zatoczkami i posiadłościami, które mówią wszystko bez jednego słowa. Rianhouse jest jedną z nich. Zbudowany z betonu, stali i szkła, przypomina ogromną, chłodną bryłę – modernistyczny monument życia nowoczesnego. Nie ma nic wspólnego z przytulnością skandynawskich domków. Wysoki, rozległy, pełen otwartych przestrzeni i surowego światła, w środku równie bezkompromisowy jak na zewnątrz. Zimą wygląda niczym forteca z przyszłości, latem – jak wystawowa rezydencja kogoś, kto nie musi niczego udowadniać. Choć zbudowany z chłodnych materiałów, dom ten ogrzewa obecność jego mieszkańców – rodziny Rianów i ich gości. A tych ostatnich bywa tu niemało.

Przez wiele lat posiadłość miała pozostać ukryta – i tak było. Wszystko zmieniło się dopiero w drugim sezonie *Liberty Fade Life*, kiedy kamery po raz pierwszy pokazały ją w pełnej krasie. Od tamtej pory stała się niemal ikoną – jednym z najbardziej rozpoznawalnych adresów w kraju. Paradoksalnie surowa, futurystyczna twierdza, zaprojektowana, by chronić prywatność, stała się scenografią życia, śledzoną przez miliony.

Na co dzień mieszkają tu Rami z żoną, Ville, Rose, Amidala oraz ich suczka Echo. Wcześniej cała rodzina rezydowała w posiadłości w Surrey, niedaleko Londynu. Jednak Libertyn od dawna marzył o powrocie do Finlandii, do ukochanych Helsinek – miasta swojego dzieciństwa i domu, który był jego bezpieczną bazą. Gdy tylko nadarzyła się okazja – nagrania czwartego albumu w helsińskim RRstudio – Ville nie wahał się ani chwili. Rose i ich córka również pokochały życie w Finlandii. Decyzja zapadła wspólnie.

Liberty Fade stoją u progu trasy, jakiej jeszcze nie znali. Po raz pierwszy w historii ich koncertowe widowisko ma zostać wzbogacone o taniec i akrobatykę, tak by muzyka, światło i ruch mogły stopić się w jedno – w spektakl, który wykracza poza zwykły koncert. Wszystko zostało już zaplanowane: przez najbliższe tygodnie cały zespół, razem z rodzinami, zostaje w Rianhouse. Dopiero po Nowym Roku przeniosą się do Wielkiej Brytanii, gdzie zaczną się kolejny etap przygotowań.

Ta pozornie dziwna logistyka ma jednak swój sens. Część zespołu żyje w Finlandii, część w Anglii, a helsińskie RRStudio staje się na ten czas miejscem, w którym dopracowuje się nie tylko brzmienie, lecz także precyzyjny dialog między dźwiękiem, światłem i ruchem. Londyn pozostaje sercem organizacyjnym trasy – tam zapadają decyzje, które zamieniają artystyczną wizję w realne przedsięwzięcie. Dzięki temu Rianhouse może być przestrzenią skupienia i pracy twórczej, zanim zespół znów zanurzy się w rytm wielkich miast i stadionowych scen.

Już wczoraj zjechali się pierwsi. Thomas, DJ zespołu, ze swoją dziewczyną Sandrą. Paul – basista – z Wendy i ich trzyletnimi bliźniakami, Melissą i Peterem, którzy od wejścia zaczęli biegać po schodach, zanim ktokolwiek zdążył zdjąć buty. Robert, perkusista, z Emmą – siostrą Villego – i małym Robem, niespełna dwuletnim, ale już domagającym się perkusyjnych pałeczek do kąpielii. Teraz, gdy drzwi wejściowe znów się otwierają, wchodzi Jari – z gitarą na plecach. To on zastąpił Emmę w składzie, gdy ta postanowiła rzucić zespół i poświęcić się rodzinie.

Kolejni goście mają dojechać bliżej wieczora. Lista? Sto osób, starannie dobranych. Przyjaciele Liberty Fade, znajomi Ramiego, kilka nazwisk, których nikt nie wymienia na głos, ale każdy wie, że będą. Powód jest oczywisty: Libertyn kończy dwadzieścia sześć lat, a czwarty album odniósł ogromny sukces. Nikt nie zamierza więc udawać, że to zwykły dzień. Nianie spakują zabawki, kocyki i pudełka z przekąskami, po czym zabiorą całą czwórkę – Amidalę, bliźniaki i małego Roba – do kawalerskiego domu Ramiego w centrum Helsinek. To bezpieczna baza, wykorzystywana od lat, gdy Rianowie planują coś większego i trzeba zadbać o ciszę. Bo dzisiejsza impreza nie jest dla dzieci. Nie chodzi nawet o język czy muzykę. Chodzi o tempo, o światło, o ludzi, którzy przestaną być grzeczni, gdy tylko zegar wybije północ.

Parter domu stanowi niemal jedno, otwarte pomieszczenie – zaprojektowane z myślą o spotkaniach, wydarzeniach i wspólnym byciu razem. Hol płynnie przechodzi w przestronny salon, jadalnię oraz kuchnię – nowoczesną i funkcjonalną, choć bardziej reprezentacyjną niż codzienną. Teraz ta przestrzeń zmienia się w scenografię dużego przyjęcia. Przygotowania idą pełną parą. Służba krząta się między kuchnią a salonem, windą serwisową kursują tace, lód i skrzynki z alkoholem. W rogu salonu technicy kończą rozstawiać sprzęt dla DJ-a. Thomas dogląda wszystkiego osobiście, z laptopem pod pachą i butelką wody w dłoni. Ustala z DJ-em ostatnie szczegóły: żadnych powrotów do lat osiemdziesiątych, zero disco, za to dużo hip-hopu, odrobina elektroniki i – obowiązkowo – kilka dobrze dobranych kawałków latino, specjalnie dla Villego i Rose. Zna Libertyna lepiej niż niejeden dziennikarz muzyczny. Wie, co go rozkręca.

Przy oknach rozkładany jest szwedzki stół, który już teraz ugina się pod ciężarem jedzenia: owoce morza o zapachu oceanu, świeże makarony skąpane w oliwie i parmezanie, pieczone warzywa niczym z włoskiej trattorii, miękkie sery, przekąski o idealnych kształtach i desery w pojedynczych porcjach, które wyglądają jak małe dzieła sztuki. W kącie bulgocze fontanna z ciemnej czekolady, obok lodowe skrzydła z wrytym napisem LF, podświetlone od dołu niebieskim światłem. Po przeciwnej stronie salonu – bar z połyskującymi półkami, shakerami w ruchu i zaufanym barmanem Ramiego, który wie, kto pije whisky z lodem, kto kolorowe drinki, a kto lubi tylko dotykać szkła. Obok piramida z kieliszków do szampana – tak równa i symetryczna, że bardziej wygląda na wyzwanie.

Rose już rozstawiła dyskretne kamery. Uchwycą tylko początek – moment, kiedy wszyscy są jeszcze ubrani elegancko, uśmiechają się lekko spięci i trzymają drinka jak rekwizyt. Potem – koniec. Gdy napięcie puści, a rytm rozgrzeje krew, kamery znikną. Wszystko, co najważniejsze, wydarzy się poza kadrem.

Ville wchodzi z tą samą pewnością, która od lat hipnotyzuje tłumy. Sceniczny makijaż wyostrza rysy, oczy błyszczą pod ciemnymi rzęsami. Czarna, lekko połyskująca koszula opina jego ciało, rękawy kończą się tuż za łokciem, odsłaniając srebrne bransolety. Palce ozdobione pierścieniami poruszają się jakby mimochodem. Wszystko w nim dopięte, kontrolowane, efektowne.

Rose idzie obok niego – pewna, spokojna, skupiona. Czarna mini podkreśla jej sylwetkę, długie nogi wydłużone jeszcze przez srebrne szpilki. Białe złoto na szyi i nadgarstkach błyska w świetle lamp. Włosy lekko potargane, makijaż mocny, ale z wyczuciem. Idzie prosto, nie szuka spojrzeń – to spojrzenia szukają jej.

Schodzą głównymi schodami, krok w krok, w rytm głębokiego beatu. Gdy się pojawiają, sala cichnie na moment. Jakby ktoś przyciszył świat, a noc zrobiła dla nich miejsce. Impreza nabiera tempa.

Czwarty album Liberty Fade przyniósł im wszystko naraz: platyny, złote statuetki, nagrody krytyków i rekordy sprzedaży. *The Ball of Hidden Faces* jest inny. Pierwsze dwa krążki brzmiały podobnie – balansowały między rockiem a elektroniką, trzymając się tej samej koncepcji. Trzeci, *Sand* dał przepustkę do największych hal koncertowych w USA, stadionów, a nawet przyjął się w Indiach i Ameryce Południowej. Album ten poszedł w stronę mocniejszego, bardziej radiowego rocka; wokół DJ Thomasa wniósł nowość, której wcześniej w Liberty Fade nie było, otwierając zespół na świeże brzmienia i inny sposób narracji. Natomiast czwarta płyta podbiła ten sukces – wyraźnie mocniej elektroniczna, pulsująca beatami i chłodnymi fakturami z lekko popowym brzmieniem, a jednocześnie wciąż osadzona w rockowej energii. Dzięki temu album zdobył nie tylko fanów gitarowych brzmień, ale też sympatię miłośników elektroniki, przedstawiając zespół szerszej publiczności, również w Japonii i Korei.

Goście nie dają im spokoju – co chwila ktoś podchodzi, przytula, gratuluje, cytuje recenzje. Ktoś mówi o trasie, ktoś inny ściska Villego za rękę, jakby dotykał historii. W tle co chwilę błyskają flesze – realne i te wyobrażone.

DJ wrzuca pulsujące latino. Ville i Rose nie czekają ani sekundy. Ruszają na parkiet bez słowa, bez spojrzenia. Ich ciała spotykają się w ruchu znajomym, a jednak zawsze świeżym. Ville – miękki, pewny, to on prowadzi. Rose – precyzyjna, spokojna, prowokująco wyważona. Tańczyli razem setki razy, ale dziś robią to tak, jakby pierwszy raz miał być ostatnim.

Tuż przed dwudziestą drugą obsługa wnosi tort – czarny fortepian z marcepanu, z idealnie ułożoną masą cukrową i świeczkami. Ville zdmuchuje je jednym ruchem, spokojnie, bez pozowania i następnie Rose całuje go długo, pewnie, bez wahania – tak, jakby świat nie istniał. Goście biją brawo, ktoś unosi kieliszek, ktoś inny krzyczy coś radośnie. Wszystko wygląda na finał filmu.

Ale to dopiero początek. Światło się zmienia. Staje się ciepłe, przygaszone, cięższe. Dźwięk gęstnieje, muzyka schodzi niżej – w ciało.

I wtedy pojawiają się oni. Klauni. Pięciu, jak z dziwnego snu. Trzech żongluje płonącymi pochodniami, dwóch krąży między gośćmi na szczydach, zakrzywiając perspektywę. Zaraz potem wchodzi tancerki. Ubrane w połyskujące stroje. Ich ruchy są miękkie, celowe, zawieszane między tańcem a zaproszeniem. Przepływają przez tłum bezszelestnie, rozcinając przestrzeń niczym cień.

Libertyn dostrzega swojego przyjaciela Filipa dopiero po chwili – w półmroku, przy barze, opierającego się o marmurowy blat z kieliszkiem ginu. Nie muszą nic mówić. Wystarczy spojrzenie. Krótkie, zdecydowane, pewne. Ville podchodzi powoli, zatrzymuje się tuż przy nim, dłoń ledwie dotyka biodra chłopaka. Ten nie odsuwa się, wręcz przeciwnie – nachyla się lekko, jakby sam szukał impulsu. Ich palce się splatają.

a nimi Rose, która bez słowa zatrzymuje wzrok na Sylvii – smukłej, bladej brunetce. Jej półuśmiech wystarcza za odpowiedź. Nie trzeba słów – chwilę później cała czwórka znika na piętrze

Paul i Wendy zniknęli wcześniej. Bez pożegnań, bez zamieszania. Tak samo Rob i Emma – z tym że Emma szła, trzymając za rękę dziewczynę w czerwonym, obcisłym kombinezonie.

Na parkiecie Thomas i Sandra poruszają się powoli, jakby zostali tam tylko oni. Elektronika w tle zwalnia, miękki bas prowadzi ich kroki. Obok nich rudowłosa dziewczyna w sukni z odkrytymi plecami – znajoma

z prób, czasem wpadająca na backstage. Sandra zbliża się do niej, przesuwa dłoń po jej ramieniu i mówi coś szeptem. Thomas obserwuje to z lekkiego dystansu, z ledwo zauważalnym uśmiechem.

W kuchni zostaje Jari. Siedzi na szerokim blacie, gitara na kolanach, a ciche akordy unoszą się w powietrzu. Dwie hostessy już się do niego zbliżyły. Jedna, z ciemnymi włosami i nagimi ramionami, siada tuż przy nim. Druga przejmując gitarę, odkłada ją na bok i podchodzi bliżej, muskając jego wargi. Jari pozwala. Ich śmiech jest cichy, rozkojarzony.

Kiedy emocje po sobotnim przyjęciu opadają, a ostatni goście opuszczają posiadłość około południa, służba rozpoczyna porządki. Dom powoli budzi się do życia – domownicy schodzą na dół. Pierwszy pojawia się Ville, mimo że zasnął dopiero nad ranem. Choć był gwiazdą wieczoru, z każdym gościem zamienił kilka słów i bawił się do późna, wygląda na wypoczętego. W przeciwieństwie do reszty zespołu nie ma kaca – i raczej mieć go nie może. Ville tylko kilka razy w życiu przesadził z alkoholem, a jego wrodzona niechęć do trunków ma jedną zasadniczą zaletę – jego umysł zawsze pozostaje trzeźwy i gotowy do działania. Chłopak siada przy fortepianie w salonie i zaczyna bezwiednie brzdąkać – wyraźnie bez weny. Niedługo później schodzi jego mama – Mia. Przytula syna mocno i czochra mu włosy.

– Kocham cię, skarbie. Dlaczego jesteś smutny?

Ville ujmuje jej dłoń i delikatnie muska ją ustami.

– Nie smutny, głodny. W nocy spaliłem trochę kalorii... – puszcza do niej oczko. – Też cię kocham.

Mia siada obok i po chwili oboje zaczynają grać melodię znanej piosenki. Kobieta gra skupiona, z wesołym wyrazem twarzy. Jej sylwetka jest wyprostowana, ruchy delikatne i dystygowane. Włosy w kolorze głębokiego kasztanu podkreślają zielone oczy. Prosty nos, lekko śniada cera, wyraźnie europejskie rysy oraz nienagannie dobrana granatowa sukienka i subtelna biżuteria nie pozostawiają wątpliwości – to nie jest kobieta z ludu.

Gdy melodia dobiega końca, Mia śmieje się cicho i zaczyna grać coś, co skomponował Rami, a do czego ona napisała tekst – dla swoich dzieci. Choć razem z mężem mają tylko jednego syna, Villego, od początku była również matką dla Emmy. Bez wahania przyjęła ją jak własne dziecko, dzięki czemu jej syn miał nie tylko pełny dom, ale także starszą siostrę.

Ville śpiewa tekst piosenki. Mia tego nie robi. Nie ma słuchu muzycznego, nigdy nie śpiewa, a jej gra na fortepianie – mimo starań – nie jest idealna. Wszystko, co potrafi, opiera się na pamięci nut i ruchów. Gdy kończą piosenkę o pluszowym wielbłądzie, Ville zaczyna akompaniować do kolejnej melodii – jednej z wielu dziecięcych kompozycji stworzonych wspólnie przez państwo Rian.

Powstał nawet cały album, w którym głosu użyczyła przyjaciółka Ramiego – aktorka musicalowa. Płyta nigdy nie ujrzała światła dziennego. Jest przeznaczona wyłącznie dla dzieci z rodziny i bliskich przyjaciół. Rami przez chwilę rozważał jej publikację, ale ostatecznie powiedział: „Niech to będzie tylko dla nas.”

Tymczasem domownicy i goście, którzy zatrzymali się w rezydencji na dłużej, zaczynają powoli schodzić się do holu głównego. Wszyscy wyglądają na lekko zmęczonych, ale i głodnych – późne śniadanie wydaje się jedynym ratunkiem. Obsługa domu gorączkowo próbuje ogarnąć chaos po wczorajszej imprezie, lecz stół w jadalni wciąż przypomina pole bitwy. Mia, jak zwykle spokojna i zorganizowana, kieruje się do kuchni, by sprawdzić, jak idą przygotowania.

W środku kucharka i jej pomocnica szorują stertę naczyń, z blatów zbierają resztki jedzenia. Na widok pani domu kucharka niemal podskakuje – zarumieniona i wyraźnie zestresowana.

– Pani Rathore, ja bardzo przepraszam... nie przewidziałyśmy, że aż tyle tego będzie... – mówi, wycierając ręce o fartuch.

Mia uśmiecha się ciepło i bez słowa wychodzi. Wraca do salonu, gdzie czeka grupka zaspanych, znudzonych domowników. Staje w drzwiach i klaszcze w dłoń.

– Czas się ruszyć! – rzuca z energią. – W kuchni potrzebują pomocy. Podzielimy się.

– O nie... znowu? – jęczy teatralnie Rami, opierając się z przesadą o oparcie kanapy.

Domownicy i goście szybko dzielą się na zespoły. Jedni zajmują się odgruzowywaniem salonu, inni przystępują do przygotowania stołu. Ville podąża z rodziną do kuchni, staje przy wyspie i sięga po bochenek chleba oraz spory nóż.

– Haha... zaraz pokroję pajdy albo... stanę się ofiarą tego noża – rzuca z udawaną grozą.

– Vivaan, słonko, oddaj to – mówi Rose, zabierając mu nóż pewnym ruchem. – Krajalnica jest po to, żebyśmy mogli zjeść normalne kromki, a ty nie musiał kończyć z bandażem na dłoni.

W kuchni robi się gwarno i żywo. Młodzi kroją warzywa, Rami układa sery i owoce.

– Tylko nie za artystycznie, tato. Wszyscy czekają na to śniadanie! – mruczy Emma, patrząc z ukosa na jego ekstrawaganckie zawijasy z rukoli.

Rami uśmiecha się szeroko i posyła córce całusa.

Po niespełna pół godzinie stół jest nakryty, potrawy gotowe, a jadalnia wygląda tak, jakby żadna impreza się tam nie odbyła. Podczas śniadania panuje przyjemna cisza, przerywana jedynie brzękiem sztućców. Wszyscy jedzą ze smakiem, a potem – w rytmie spokojnego, leniwego poranka – rozchodzą się do pokoi, by odespać nocne szaleństwa.

Gdy zbliża się wieczór, Ville i Rose czule żegnają się z przyjaciółmi. Filip i Sylvia muszą już wracać do domu. Reszta rezydentów Rianhouse zaczyna schodzić na dół. Jedni w dresach, z kubkami herbaty i kocami zarzuconymi na ramiona, inni jeszcze z potarganymi włosami i zaspanym spojrzeniem. Swobodni, rozluźnieni, gotowi na spokojny wieczór.

Tylko Rianowie wyglądają perfekcyjnie. Mia w ciemnym kaftanie, Rami w eleganckim swetrze, Ville w koszuli zapiętej na ostatni guzik i z włosami ułożonymi tak, jakby czekał na wywiad. Wyglądają jak ludzie gotowi do sesji zdjęciowej.

– A myślałam, że to seans rodzinny, nie premiera filmowa – mruczy któryś z muzyków.

Emma tylko się uśmiecha i zajmuje miejsce z kieliszkiem wina. Dom powoli wypełnia się cichymi rozmowami, dźwiękiem nalewanych napoi i szelestem poduszek układanych na kanapie. Wszyscy delektują się ostatnim spokojnym wieczorem – jutro wrócą dzieci i zrobi się głośno. Jeszcze chwila ciszy. Jeszcze kilka spokojnych godzin. Zaraz usiądą razem, by po raz pierwszy wspólnie obejrzeć odcinek *Liberty Fade Life* z 2024 roku.

Rozdział 3

Pandemia, makijaż, Wembley i rodzinne sekrety

W salonie Rianhouse cicho szumi kominek, a ciepłe światło ognia dodaje przytulności pomieszczeniu. Pierwszy sezon przywołuje wspomnienia czasów, gdy członkowie zespołu byli jeszcze samotni, a ich życie kipiało rockandrollową swobodą. To właśnie wtedy, po premierze drugiego albumu *Safeground*, Liberty Fade zaczęło święcić większe triumfy – krążek otworzył im drogę nie tylko do dużych koncertów w Europie, ale też dał wejście na rynek amerykański.

Odcinek pilotażowy pod tytułem *Na przekór pandemii* właśnie się zaczyna. Pierwsze kadry rzucają na ekran falę światła: hala wypełniona dwudziestotysięcznym tłumem. Po ostatnim błysku scenicznych reflektorów kamera płynnie przenosi widzów do hotelowego pokoju.

Na stoliku piętrzą się puszki z różnymi napojami i niezdrowe przekąski, obok nich stoi kolorowa miska owoców i słupki marchewek, które chrupie Ville.

Robert siedzi wygodnie, w koszulce ulubionego zespołu, i rzuca kąśliwie:

– Jesteśmy zespołem rockowym, a ty nie dość, że wyglądasz jak smutne emo, to jeszcze żywisz się jak królik – podważasz naszą autentyczność.

Ville, z kieliszkiem wody w dłoni, uśmiecha się szelmowsko do kamery. Makijaż jak zwykle perfekcyjny, czarna koszula podkreśla szczupłą sylwetkę.

– Pora się przedstawić – mówi. – Ville Rian. Nazywają mnie Libertyn albo Kurdupel. Pochodzę z Finlandii, niedługo kończę 21 lat, jestem frontmanem Liberty Fade.

Zerka z pogardą na Roberta i dodaje:

– I nie jestem emo.

Po czym bierze kęsa marchewki, wzdycha ciężko, upija trochę wody i maluje usta pomadką.

– Jestem Emma Rian, starsza siostra człowieka z marchewką, gram na gitarze elektrycznej – mówi drobna brunetka z ekstrawaganckim kokiem we włosie czerwonej sukience podkreślającej jej smukłą talię.

– Robert Walker, 27 lat, perkusista, pochodzę z Manchesteru – wtrąca zadziornie postawny brunet, posyłając Emmie zaczepny uśmiech.

– Thomas Kleinert, lat 25, mówią na mnie DJ bo jestem DJ-em u Kurdupla w zespole, pochodzę z Niemiec – rzuca wesoło chłopak w luźnej stylizacji i czapce z daszkiem.

– Paul Lewin, jeszcze nie mam trzydziestki. Jestem basistą, Brytyjczykiem z polskimi korzeniami – oznajmia szczupły blondyn w flanelowej koszuli w ciemną kratę.

Emma sięga po tablet i wyświetla artykuł sprzed roku. To tekst, który wraca do głośnego festiwalu rockowego w Wielkiej Brytanii, po którym fani Liberty Fade poznali prawdę o Ville.

– „Pandemia, makijaż, Wembley i rodzinne sekrety” – czyta Emma tytuł artykułu z powagą w głosie, po czym cytuje jego treść, wyświetloną przez chwilę na ekranie:

„Pandemia odcisnęła głębokie piętno na milionach ludzi, zostawiając po sobie lęk, zmęczenie i poczucie niepewności. Świat na moment wyhamował, a wraz z nim branża muzyczna. Z czasem jednak pojawiła się potrzeba powrotu – do emocji, energii i czegoś nowego. W tym właśnie momencie pojawiło się

Liberty Fade – fińsko-brytyjski zespół łączący rock z elektroniką, który w krótkim czasie przyciągnął uwagę słuchaczy.

W maju 2021 roku, skromnymi środkami, muzycy nagrali debiutancki album *By The Way*. Tytułowy singiel w kilka dni przekroczył milion odtworzeń, a amatorski teledysk nagrany telefonem szybko zaczął viralowo krążyć w sieci, mimo że o samym zespole wciąż niewiele było wiadomo.

Głos Villego – od falsetu po rockowy wrzask – intrygował, a jego wizerunek magnetyzował. Obok niego wyróżniali się: gitarzystka Emma, basista Paul – spokojny i wyważony – oraz Robert, perkusista o klasycznej urodzie buntownika. Jediną szerzej rozpoznawalną twarzą był DJ Thomas, związany z klubową sceną.

Kilka tygodni po premierze albumu zespół wygrał konkurs na support na Wembley, co zapoczątkowało ich szybki wzlot. Koncerty i streamingi rosły w tempie, którego mało kto się spodziewał.

Wraz z popularnością pojawiły się pytania o tożsamość frontmana. Ville długo podpisywał się jedynie imieniem, unikając nazwiska. Ostatecznie wyszło na jaw, że jest synem Ramiego Riana – legendy rocka i producenta. Potwierdzenie przyszło podczas festiwalu w Londynie, gdy Rami zaprosił Villego i Emmę na scenę. Wspólny występ zakończył spekulacje, a rodzinna tajemnica przestała istnieć.”

Libertyn zwraca się do kamery. Przez chwilę siedzi bez ruchu, z rękami splecionymi na kolanach. W jego spojrzeniu nie ma już dystansu ani kokieterii – tylko lekka powaga, podszyta przygotowaniem na to, co zaraz powie. Przeczesuje palcami włosy, jakby chciał odgarnąć coś więcej niż tylko kosmyk z czoła.

– Myślę, że to jest ten moment, żebyśmy z Emmą odnieśli się do tego artykułu, bo zaraz pewnie pojawią się komentarze w stylu: co to ma być, chłopaczek znikąd, a tu nagle całe środowisko artystyczne.

Lekko przechyla głowę, jakby analizował, co powiedzieć dalej, ale nie spuszcza wzroku z obiektywu.

– Po pierwsze: dziennikarze i fani zaczęli wtedy grzebać w moim życiu prywatnym. A ja nigdy nie robiłem z siebie outsidera – po prostu nie sprzedawałem nazwiska. Była muzyka i tyle. Bo co miałem mówić? „Tak, Rami Rian to mój ojciec, więc jestem zajebisty”? Wiedzieliśmy, że kiedyś to wyjdzie, ale i tak jestem zadowolony bo ludzie najpierw kupili naszą muzykę, a nie nazwisko.

– Tak. Libertyn chciał w pewnym sensie odciąć się od ojca – dorzuca Emma, siedząca obok, z łokciem opartym o kolano. – Teraz już to robi, podpisuje się jako Rian, bo i tak kto ma wiedzieć, ten wie.

Ville wzdycha cicho i przesuwa się na krześle. Przeciąga się lekko, prostując plecy, jakby chciał coś z siebie zrzucić. Głos ma pewny.

– Wbrew wkurzeniu Ramiego i ekipy z RRstudio postanowiłem, że pierwszy album nagramy w jakiegokolwiek wytwórni, która nas nie wyzeruje finansowo i da niezależność. Teledysk do *By the Way* nagraliśmy metodą chałupniczą. To miał być test mojej muzyki. Albo zaskoczy, albo rzucę w cholerę muzykowanie i zajmę się cyframi.

Wzrusza ramionami. Ton robi się spokojniejszy, bardziej refleksyjny.

– To nie jest tak, że wszystko zawdzięczam sobie. Zgrany zespół, dobry moment, wygrany support i kontakty.

– Dorastaliśmy w środowisku muzycznym – dodaje Emma. – Znaliśmy z bratem mnóstwo osób: muzyków, menedżerów, dźwiękowców, a nawet oświetleniowców.

Chłopak kiwa głową. Przez chwilę wpatruje się w dłonie, jakby przypominał sobie coś istotnego. Potem znów patrzy prosto w kamerę.

– Jeśli czegoś nie wiedziałem, nie byłem pewien, to miałem do kogo się zwrócić po pomoc, po radę – mówi dalej. – Poza tym backstage i scena nie były mi obce. Miałem też doświadczenie w koncertowaniu, tak jak reszta ekipy. No, było nam łatwiej i uniknęliśmy błędów, jakie popełniają młode zespoły.

Kamera powoli oddala się od Villego, obejmując cały skład Liberty Fade. Widać, że wszyscy są w wyśmienitych nastrojach – to moment, gdy wracają wspomnieniami do początku swojej wspólnej drogi. Ville opiera łokcie o kolana, Paul przeciąga się i sięga po puszkę coli, Thomas poprawia rękaw bluzy, a Emma kręci włos na palcu.

– Emmę poznałem jakoś na początku 2020 roku. Grzeczna i zagubiona dziewczynka – mówi Robert z przeciągłym uśmiechem, zerkając w jej stronę. – Spotkaliśmy się w moim klubie muzycznym. Pamiętam, przyszła z koleżankami, ubrana jak uczennica. Pogadaliśmy chwilę, powiedziała mi, że studiuje sztukę i malarstwo, a ja w wolnych chwilach maluję motocykle. I jakoś tak zeszło... Okazało się, że świetnie gra na gitarze, ale nie przyznała się, że ma sławnego i bogatego tatusia.

Puszczą jej oczko, a Emma teatralnie wzdycha.

– Podobał mi się. Taki niegrzeczny chłopiec na motocyklu, zupełnie inny niż towarzystwo, w którym się obracałam – przyznaje. – Pojechaliśmy na zlot, poznałam jego kolegów, w tym Paula.

– Tak, pamiętam to – mówi Paul. – Przyjechała wtedy z Robem. Nikogo to nie dziwiło, że Rob przywiózł kolejną ładną dziewczynę. Wieczorem pograliśmy na gitarach. Fajnie nam się razem muzykowało.

DJ Thomas opiera stopy o stolik, podpira głowę na dłoni i uśmiecha się półgębkiem.

– Libertyna poznałem na imprezie w klubie. Miał chyba szesnaście lat i wszedł na podrobiony dowód osobisty.

– Wtedy Thomas rozkręcał imprezę. Po koncercie podszedłem do niego – dodaje Ville.

– Jak ja go zobaczyłem, to nie wiedziałem, czy mam płakać, czy się śmiać. Chłopaczek z brokatem... – wtrąca Thomas spoglądając w stronę kamery. – Zaczął zadawać mi miliony pytań o... No, o keyboardy, kontrolery, interfejsy audio i cyfrowe syntezatory. Rzucił nazwami jakby czytał katalog. Wymieniliśmy się kontaktami. Ktoś mi później powiedział, że to syn gwiazdy rocka. Nie gustowałem w takiej muzyce, ale lubię zadbać o własne interesy i stwierdziłem, że taki kontakt mi się przyda. Do tego... Ville mnie totalnie zaintrygował. No, ale każdy miał swoje zajęcia i zapomniałem o Kurduplu na jakiś czas.

Libertyn uśmiecha się tajemniczo i lekko pochyla w jego stronę. Thomas rzuca w niego poduszką.

– Między nami była chemia od zawsze. Bardzo mi się spodobał. Taki luzaczek, co to imprezki mu w głowie.

Robert wciąga powietrze przez zęby.

– Przyszedł lockdown. Klub zamknięty, zloty odwołane. Do tego zimno, więc i motorem nie było gdzie pojeździć – wzdycha. – Zaczęło mi brakować muzyki, mojego klubowego zespołu.

– Wtedy pracowałem w knajpie u siostry – dorzuca Paul. – Gotowałem żarcie do cateringu i grałem na gitarze akustycznej do pustych ścian w pokoju. To mnie frustrowało.

– Miałem tak samo – kiwa głową Thomas. – Siedziałem sam, bez weny na nowe beaty, bo wenę mam wtedy, gdy występuję przed tłumem.

Ville opiera się wygodniej, ale jego ton staje się poważniejszy.

– To był mój ostatni rok w szkole wojskowej. Trzy lata byłem wokalistą w zespole szkolnym, co dawało mi ucieczkę od rygoru i dyscypliny. Występowaliśmy na dyskotekach w szkołach, imprezach miejskich... to był fajny czas. Ale ostatecznie wszystko zabrał lockdown.

Przesuwa palcami po udzie, jakby przypominał sobie melodie.

– W mojej głowie zaczęły wtedy grać piosenki, które są na pierwszej płycie. Miałem już fortepianowe wersje i prawie gotowe teksty. Ale wiedziałem, że nie chcę czystego rocka. Znałem już Thomasa, więc pomyślałem: połączmy rocka z house'em albo czymś podobnym.

Emma podciąga nogi pod siebie, splata dłonie na kolanie.

– Przyszedł do mnie z pytaniem, czy nagramy jakąś wersję demo jego piosenek – wspomina. – Ja miałam grać na gitarze, ojciec na basie, znajomy na perkusji, Ville miał śpiewać. Wyszło fajnie, ale faktycznie brat miał rację: brakowało czegoś ekstra, właśnie muzyki elektronicznej.

Ville kiwa głową, bawiąc się pierścionkiem.

– Nie miałem zespołu. W ogóle. Kumple ze szkoły chcieli iść w inną stronę – karierę wojskową. Poza tym nie do końca się dogadywaliśmy i nie było sensu tego ciągnąć.

– Znałam Roberta i Paula. Powiedziałam, że brat jest trochę dziwny, ale chciałby pograć, pobawić się muzyką – mówi Emma, uśmiechając się pod nosem.

Robert wzrusza ramionami i chwyta puszkę.

– Co mi tam było. Nuda taka. Jak ktoś mówi: „Chodź powalić w gary”, to idę.

– Dokładnie. Emma nie musiała mnie długo namawiać – dodaje Paul, przysuwając się bliżej mikrofonu.

– Spotkaliśmy się u mnie w garażu, między motocyklami – wspomina Robert. – Przyszedł wymalowany Libertyn. Spojrzałem na Emmę z rezygnacją. Ale dobra, próba to próba.

Paul unosi brwi, opierając rękę na oparciu kanapy.

– Zagraliśmy kilka kawałków znanych rockowych piosenek. Libertyn dawał radę. Wprawdzie dziesięć razy poprawiał makijaż, ale głos miał mega fajny i wycucie sceniczne. Widać było, że to nie jego pierwszy raz.

– Dobrze mi się z nimi grało. Robert bardzo mi się spodobał. Taki figo-fago – rzuca Ville i posyła Robowi uśmiech przez ramię.

Perkusista od razu reaguje – pokazuje mu środkowy palec.

– Paul wydawał mi się taki stateczny – dodaje Ville, patrząc na kolegę. – Taki starszy brat, który zawsze ma dobrą radę albo rzuci jakimś morałem. A Emma to Emma – świetnie gra na gitarze i tyle.

Na moment zapada cisza. Wszyscy się rozsiadają, jakby wracali myślami do tamtych dni. Ville ciągnie dalej:

– Umówiliśmy się na drugą próbę. Zaproponowałem, że może w u nas w domu w Surrey, ale Rob stwierdził, że to za daleko, a motocykle dają mu energię. Nie naciskałem.

– Nie wiedziałem wtedy, że ich stary to Rian i że w domu mają warunki do koncertowania i domowe studio nagrań! – dorzuca Robert, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Dopiero później jakoś wyszło, że pojechaliśmy do Surrey.

– Tak – potwierdza Paul, zerkając na resztę. – Wtedy zobaczyliśmy, co to profesjonalna sala prób.

– Odnowiłem wtedy kontakt z Thomasem. Powiedziałem, że sobie chałupniczo gramy i że jak mu się nudzi, to zapraszam – dodaje Ville.

Thomas rozsiada się szeroko i zakłada ręce za głowę.

– Młody Rian chciał się spotkać – wtrąca. – Nie protestowałem. Miałem do wyboru: albo wrócić do Niemiec, kajać się przed ojcem za nieskończone studia i błagać o posadę w jego firmie, albo się zabawić. Przyjechałem na próbę, ekipa mi podpasowała, popatrzyłem, jak grają, Kurdupel dawał radę. Później Libertyn powiedział: „zamiksuj coś”. Zagraliśmy jakiś cover, fajnie wyszło. Taka zabawa. Znowu się spotkaliśmy – totalny luz i mega dużo czasu!

Paul kiwa głową z uznaniem, Ville przewraca oczami z rozbawieniem, a Thomas kontynuuje.

– W pewnym momencie Libertyn powiedział: „Wiecie, ja mam takie moje piosenki, może spróbujemy”. Moje pierwsze myśli: koleś będzie śpiewał o żyłkach i przemijaniu. Stwierdziłem: „No dobra, zarzuć jakąś melodię”, a on na to: „No nie tu, bo ja potrzebuję fortepianu”. No k...a (wypikane), no ballady o Armagedonie murowane.

– Miałem identycznie – rzuca Robert, zerkając na Thomasa z rozbawieniem. – Bałem się tego, co chce nam zaproponować.

– Poszliśmy na górę, usiadł do fortepianu, zagrał i zaśpiewał *By The Way*, po czym skończył i zaczął opowiadać, jak muzycznie to widzi: tu riff, tu beacik, tam werbel – wspomina Paul. – Wróciliśmy do sali prób i zagraliśmy to tak, jak chciał. Później każdy coś dodał od siebie i wyszła ostateczna wersja tej piosenki.

Robert wzdycha teatralnie.

– Zapytałem Villego, czy ma coś jeszcze z zanadru... okazało się, że miał. Materiał na całą płytę! Kiedy usłyszałem wersję fortepianową *The Moon Ray* czy *Way Of Love*, to chciałem się z nim ożenić.

– Lockdown w pełni – przypomina sobie Paul. – A my graliśmy jego piosenki, dogrywaliśmy się jako zespół, no i zapadła decyzja: spróbujmy coś podziałać na rynku muzycznym.

– No z Ramim Rianem to miała być formalność. Mieć takie znajomości i dobrą muzykę to było coś – mówi Thomas.

– Tata przychodził na próby, tylko raz stwierdził: „może być” – mówi Emma parszcząc śmiechem.

– Ale pojawiły się pewne trudności – mówi DJ. – Po pierwsze, mama Villego nakazała mu skończyć szkołę, a z tą kobietą się nie dyskutuje, nigdy. Po drugie, Emma nie chciała być w zespole i trochę czasu zajęło, zanim się zgodziła. A po trzecie – Kurdupel nie chciał pomocy RRstudio.

– Postanowił nas wykiwać, olać ojca i nagrać materiał w jakiejś zapyziałej dziurze – dodaje Paul. – Jak usłyszałem, że klip do *By The Way* ma być nakręcony z ręki, kamerką typu GoPro, to chciałem go zabić.

– Stwierdziłem, że to zmarnowana szansa, że ch.j (wypikane) z tego będzie – rzuca Thomas.

– Podbijam – mówi Robert z półśmiechem.

– Mnie to nie dziwiło – przyznaje Emma. – Wiedziała, że brat chce zrobić to po swojemu i na własnych zasadach, bez perfekcjonizmu ojca i symfonicznych brzmień.

Thomas siedzi niedbale z nogą na nodze, stukając rytmicznie palcem o puszkę coli.

– Płyta wreszcie powstała – kontynuuje. – Wypuściliśmy pierwszą piosenkę w eter, szybko zyskiwaliśmy mnóstwo wyświetleń. Prawda jest taka, że nagraliśmy album w gównianej wytwórni, ale dalsze działania Libertyna i Emmy to była czysta sztuka.

Rob kiwa głową z uznaniem, poprawiając mankiet bluzy.

– Oni mieli kontakty, wiedzieli, jak to się robi – ciągnie Thomas. – Kiedy usłyszałem, że mamy wystartować w konkursie na support na Wembley... to się przestraszyłem bo wcześniej nie występowaliśmy razem nawet w klubokawiarni. Ale wygraliśmy ten konkurs. Nie wiem, czy to znajomości, czy przypadek, czy może po prostu byliśmy dobrzy.

Paul przysuwa się do mikrofonu, jakby chciał się wygadać.

– Pamiętam, że mieliśmy grać przed dwudziestotysięcznym tłumem. Rzygałem z nerwów. Rob zmieniał kolory jak tęcza, a Libertyn?

– On niecierpliwił się, żeby tylko wyjść na scenę – ciągnie Paul. – Tylko było: „ile jeszcze mam czekać, no szybciej, robimy to, robimy”. Na początku myślałem, że się naćpał LSD, ale on nie ćpa. Nie wiem, może to przez marchewkę...

Libertyn przewraca oczami i wzdycha teatralnie rozkładając ręce.

– Marchewka ma witaminę A. Na scenie trzeba mieć błysk w oku.

– Support wyszedł bardzo poprawnie – mówi Emma. – Dostrzegłam wtedy Ramiego w łoży VIP. Jego wyraz twarzy był niewzruszony, ale mama... mama ewidentnie była z nas dumna.

– Potwierdzam. Choć to było dziwne uczucie. No i dalej to już poszło samo – stwierdza Ville z lekkim uśmiechem.

Następnie pośpiesznie dodaje, jakby o czymś zapomniał.

– Drugą płytę wydaliśmy już pod patronatem RRstudio. Rami nie mógł się pogodzić z tym, że nie ma praw do naszej muzyki, więc wykupił wytwórnię, w której nagraliśmy debiut. Kiedy przyszło do pracy nad drugim krążkiem, nie protestowałem – weszliśmy do wytwórni ojca.

Thomas uśmiecha się od ucha do ucha.

– To była miła odmiana, totalna profeska i brak gryzba na ścianie.

– A teraz – dodaje Ville – jesteśmy tu, gdzie jesteśmy...

– No właśnie – wtrąca Emma i spogląda prosto w kamerę. – Witajcie w pilotażowym odcinku *Liberty Fade Life*. To program nie tylko o muzyce, ale też o nas. Pokażemy wam, jak naprawdę wygląda nasze życie poza sceną – kiedy nie gramy, nie nagrywamy, tylko jesteśmy sobą. Dzięki za uwagę!

Kamera powoli się oddala. Zespół zostaje w kadrze – rozluźnieni, pogodnie nastawieni. Rozmowa toczy się dalej półgłosem, już poza planem. Ekran zaczyna przygasać. To koniec odcinka.

W pokoju znów robi się gwarno i wesoło. Robert, perkusista żartuje o „marchewkowej rewolucji”, Paul całuje Wendy w rękę i wspomina swoją „szczęśliwą” gitarę basową, a DJ Thomas szepcze coś Sandrze na ucho, ta tylko lekko unosi brwi z zadowoleniem. Ale Rose... nie śmieje się. Widzi coś, czego inni nie dostrzegają. Ułamek sekundy. Spojrzenie Villego na Emmę. Ledwie zauważalny ruch brwi Mii. Krótkie, niemal niewidoczne pokręcenie głową Ramiego.

W tej rodzinie rzadko mówi się wszystko wprost. Tu prawda żyje pod skórą słów – w błysku oka, w geście, w ciszy między zdaniem.

Rose wie to, co wiedzą też chłopaki z zespołu. Że ta „zapyziła wytwórnia” nie była przypadkiem. Że nie chodziło o żaden magiczny łut szczęścia. Wie, że Rami miał w tym swój plan – chciał mieć prawa do twórczości syna, a Aurora Drive była idealna: biedna, chwiejna, ale formalnie czysta. Idealna nie

tylko po to, by Ville miał swobodę twórczą i dobre warunki finansowe, lecz także po to, by można ją było wchłonąć przez RRstudio.

Ale teraz... Mia puszcza do Ramiego oczko. A Rami – nie odpowiada uśmiechem. Tylko lekko zagryza wargi. I to wystarcza.

Rose przestaje być pewna, co tak naprawdę wie. Czyżby mąż nie powiedział jej wszystkiego? Czy istnieje nie tylko drugie, „oficjalne” dno tej sprawy – to, o którym wie zespół i rodzina – ale także trzecie? Takie, o którym wiedzą wyłącznie Rianowie?

Wzrok Rose pada na Villego i Emmę. Są dziwnie cisi. Patrzą tylko na siebie. I wtedy wszystko staje się jasne. Jest trzecie dno.

Domownicy powoli rozchodzą się do swoich pokoi. Wspólny wieczór przy pierwszym odcinku dobiega końca.

W sypialni Villego i Rose panuje cisza. Świece przy łóżku rzucają miękkie światło na grafitowe ściany. Ville pachnie jak zawsze: czystością i drogimi, niedosłownymi perfumami. Leży obok niej w czarnej, jedwabnej piżamie. Rose ma na sobie cienką, figlarną koszulę nocną – chłodna tkanina przylega do skóry.

Ich ciała wtulone są znajomo. Czułość, erotyka, rytm wspólnego oddechu. Ale coś jest inaczej. Atmosfera nie klei się jak zazwyczaj – jest napięta, wyczekująca. To nie będzie rozmowa o muzyce.

– Vivaanku, dlaczego mam wrażenie, że sprawa pierwszego albumu nie wyglądała tak, jak została przedstawiona? – pyta Rose szeptem.

Nie musi, ale szept pasuje do tej chwili. Ona wie. Teraz chce tylko, żeby on to powiedział.

Ville porusza się, jakby ta pozycja już mu nie pasowała. Odwraca głowę. Nie unika wzroku. Wręcz przeciwnie – patrzy jej prosto w oczy.

– Czekalem, aż o to zapytasz – mówi spokojnie. – Ale jeśli chcesz wiedzieć... będziesz musiała dać mi coś w zamian.

Uśmiechają się oboje, ale tylko na moment. Ona zna ten ton. Połowa żartu, połowa ostrzeżenia.

– Ta sprawa jest kontrowersyjna. Jeśli wypłynie, może mi bardzo zaszkodzić – dodaje już całkiem poważnie.

– Nie ufasz mi?

– Nie chodzi o to, że ci nie ufam. Chodzi o to, co się stanie, jeśli ty przestaniesz ufać mnie. Zastanów się. Czy chcesz znać prawdę? Bo prawda... nie będzie za darmo.

Cisza zawisa między nimi jak ciężka zasłona. Rose nie odzywa się więcej. Ville odwraca się plecami i po chwili spokojnie zasypia.

Nad ranem w sypialni panuje martwy spokój. Zwykle to Rose budzi się pierwsza – przeciąga się leniwie, ociera ramię o jego ramię, a potem całuje męża w policzek, szepcząc coś ciepłego. To ich codzienny rytuał. Dziś – nic.

Dziewczyna bez słowa zsuwa nogi z łóżka, poprawia ramiączko koszuli i kieruje się do łazienki. Jej krok jest cichy, ale zdecydowany. Ville nie rusza się z miejsca. Leży na plecach, z oczami utkwionymi w sufit, jakby czekał na dźwięk, który nie nadejdzie. Potem wstaje, przeczesuje dłonią włosy i rusza za nią.

Woda już leci. Gorąca, niemal parząca – tak, jak lubi Ville. Para otula ich sylwetki, osiada na lustrze, wsiąka w napięcie między nimi. Przez kilka minut nie słychać nic poza jednostajnym szumem. Ich ruchy są ostrożne, jakby każde z nich ważyło swoje gesty, żeby przypadkiem nie dotknąć zbyt mocno.

Wychodzą razem. Owijają się w satynowe szlafroki — czarne, idealnie gładkie. W ciszy przechodzą do sypialni i stają przed ogromnym lustrem, które odbija ich niczym postacie z innego świata.

Rose przeczesuje włosy, palcami wyciąga pasma, splata, rozplata. Ville z wprawą maluje powieki – cień, potem cienką, wyrazistą kreskę pod okiem. Lustro nie kłamie. Widać ich oboje, oddzielnie – i razem. Ich spojrzenia spotykają się w odbiciu.

– Przeszanę ci ufać, jeśli przestaniesz mówić mi prawdę – mówi Rose. Spokojnie, sucho, bez cienia miękkości.

Ville zatrzymuje rękę. Wzrok przesuwają z linii oka na jej oczy. Patrzy uważnie, o sekundę dłużej, niż wypada.

– Liberty Fade to moje dziecko. Moje życie. Moje powietrze. I nie chodzi tylko o mnie.

– Ile będzie mnie kosztować prawda?

– Lubię, kiedy zamiast dramatów zadajesz konkretne pytania i trzymasz chłodną głowę.

– W tej rodzinie inaczej się nie da.

On uśmiecha się półgębkiem, z tym znajomym błyskiem w oku, który zapowiada niepewność albo prowokację.

– Przysięga Rodowa.

Zamyka szufladę kosmetyczki i odwraca się do niej.

– W tej sytuacji akt małżeństwa to za mało.

– Jestem gotowa – odpowiada bez wahania, choć w jej spojrzeniu pojawia się cień drżenia.

Ville przez chwilę tylko patrzy, jakby chciał coś dopowiedzieć – i nie wiedział, od czego zacząć. Potem zagryza wargę.

– Musisz dać mi trochę czasu. Wrócimy do tematu. Obiecuję, że opowiem, jak było. Całą prawdę.

Ich ciała wciąż są napięte, ale coś pęka, a to jedno zdanie pozwala odetchnąć. Ville robi krok w jej stronę. Nie pyta. Nie waha się. Nachyla się i kradnie jej pocałunek – głęboki, znajomy, tylko ich.

Rozdział 4

Przysięga Rodowa.

Nad ranem, Rianhouse niemal całkowicie pustoszeje. Zespół, ich partnerki i dzieci zajmują się swoimi sprawami, jedni wyszli na miasto, inni pracują w swoich pokojach. Cisza ogarnia przestrzeń, jakby sama willa brała głęboki wdech – idealny moment, by zająć się sprawami rodzinnymi, których nie załatwia się w hałasie codzienności.

Po wczorajszym wieczorze, kiedy Rose wymusiła na Ville prawdę o powstaniu Liberty Fade, napięcie między nimi nie znika, ale zamienia się w coś konstruktywnego. Chłopak jest gotowy na konfrontację, a Rose – gotowa podpisać dokument i zabrać tajemnicę do grobu.

Gabinet wypełnia niemal święta cisza. Przez panoramiczne okno wpada młeczne światło grudniowego dnia. Za szkłem – pokryty szronem ogród, w którym rysuje się zaledwie zarys kamiennych schodów prowadzących do altany. W powietrzu unosi się niemal niewyczuwalny zapach cyprysa i kadzidła.

Emma siedzi na kanapie, przegląda coś na tablecie. Rami krąży przy regale, układając książki według swojego dziwaczego systemu tematyczno–rozmiarowego. Wygląda, jakby robił to tylko po to, by nie musieć siadać – ruch koi jego nerwy. Wtedy otwierają się drzwi. Ville i Rose wchodzą niemal jednocześnie – jak na niewidzialny znak.

Mia nie podnosi głowy, doskonale wie, kto właśnie przekroczył próg. Bez słowa przesuwając dłoń, wskazując fotel naprzeciwko siebie. Rose podchodzi i siada powoli.

Dłonie trzyma splecione na kolanach. Oddycha spokojnie, ale palce lekko jej drżą. Na stole przed nią leży gruba księga w czarnej, matowej skórze. Na okładce wytłoczony herb Rathore – tygrys i lotos przecięte pionową linią. Bez tytułu. Bez nazwisk. Tylko znak rodu.

Mia otwiera księgę na pierwszej stronie. Papier jest gruby, kremowy, pachnie archiwum i zamkniętymi sejfami. Na górze widnieje tekst przysięgi.

Rose pochyla się i czyta w ciszy. Nie ma tu patosu. Nie ma wzniosłych słów o honorze. Jest lojalność wobec rodu. Obowiązek milczenia. Odpowiedzialność za wiedzę, którą otrzyma. Konsekwencje zdrady. I jedno zdanie zapisane twardo, bez emocji: od tej chwili jej decyzje nie należą już tylko do niej.

Gdy kończy, podnosi wzrok.

– Zapoznałam się.

Ville podchodzi do bocznej szafki. Wyciąga niewielką butelkę z czarnym atramentem i przelewa płyn do ozdobnego naczynka z ciemnego szkła. Stawia je na środku stołu.

Rami bierze dłoń Rose w swoją. Jego dotyk jest rzeczowy, spokojny, pozbawiony czułości. Przemywa opuszek palca chłodnym, bezwonny płynem. Potem rozrywa sterylne opakowanie. W środku jest cienka chirurgiczna igła. Nakłucie jest szybkie i precyzyjne. Rose wciąga powietrze, ale nie cofa ręki. Na skórze pojawia się pierwsza kropla. Druga. Trzecia.

Rami przechyla jej palec nad naczynkiem. Trzy krople spadają do atramentu. Po wszystkim, Ville natychmiast przykleja jej mały cielisty plaster i delikatnie całuje jej dłoń.

Mia kartkuje księgę powoli, strona po stronie. Pod palcami przesuwają się podpisy zaufanych ludzi, współpracowników i muzyków. Atrament wsiąknięty w papier wygląda jak ślad po dawnych decyzjach — nie tylko o lojalności, ale też o pieniądzach, wpływach i granicach, których nie wolno przekraczać.

Nie wszyscy znają te same sekrety. To Rianowie decydują, kto wie, co i w jakim zakresie. Jedno jednak łączy wszystkich, którzy złożyli tu podpis: zgodzili się grać według zasad dynastii.

To rejestr ludzi dopuszczonych do pilnie strzeżonych tajemnic albo obdarzonych udziałami, dostępem i pozycją — w zamian za coś więcej niż dyskrecję. Za lojalność. Za uczciwość wobec układu. Za rezygnację z pokusy sięgania po więcej.

Gdy wreszcie trafia na pustą kartę, przesuwa w stronę Rose pióro — ciężkie, z czarnego metalu, z herbem rodu na stalówce.

Dziewczyna bierze je w palce. Zanurza końcówkę w atramencie. Na dole strony zapisuje swoje imię i nazwisko, miejsce i datę. Na moment zawiesza rękę, po czym dopisuje jedno słowo: Przyrzekam.

Mia zamyka księgę powoli, jakby pieczętowała nie dokument, lecz czyjś los. Nagle wstaje. Jej ruch jest szybki, zdecydowany, niemal wojskowy.

– Wszyscy poza Rose. Na zewnątrz.

Ville reaguje natychmiast, jakby ktoś nacisnął przycisk.

– Co? Mamo, serio?

Wystarcza jedno spojrzenie. Lodowate. Spokojne. Bez cienia wahania. I to wystarczy. Emma wzdycha teatralnie. Rami jeszcze przez moment poprawia coś na półce, uśmiechając się pod nosem, ale w końcu też rusza do drzwi. Ville wychodzi ostatni. Zatrzymuje się w progu, patrzy na żonę z wyczuwalną troską. Ona tylko lekko kiwa głową — da sobie radę.

Gdy zostają same, Mia wraca powoli na swoje miejsce. Siada z gracją, poprawia włosy ruchem, w którym jest jednocześnie elegancja i władza.

– Przeszłość zostawmy na chwilę. Za godzinę spotkamy się w naszej sypialni. Z dala od służby i ciekawskich spojrzeń. Teraz porozmawiajmy o przyszłości.

Rose pochyla się lekko chcąc lepiej słyszeć każde słowo.

– Nie jestem już najmłodsza. Nie wybieram się nigdzie, ale nie mam gwarancji, że któregoś dnia szlag mnie nie trafi. A Imperium... wprawdzie ma następcę, ale ja chcę się dodatkowo zabezpieczyć.

Na chwilę zapada cisza. Jedyne szum ogrzewania przypomina, że czas płynie.

– Chciałabym wdrożyć kogoś. Może nie teraz, nie w tej chwili... ale w niedalekiej przyszłości. I pomyślałam o tobie. Ville wie o firmie więcej, niż mu się wydaje. Jego praca w radzie nadzorczej RRstudio to świetna praktyka. Uczy się i widać, że go to kręci. Zresztą pewnie słyszałaś — ostatnio dałam mu plik dokumentów finansowych Indivar Group do przejżenia.

Rose parska cicho.

– Zarwał kilka nocy i przeklinał wszystko, co się dało.

– Bardzo dobrze — kiwa głową Mia. — Ale myślałam też o tobie. O tym, żebyś — jeśli coś by mi się stało

— była wsparciem dla Villego. Żebyście razem weszli do mojego gabinetu i pociągnęli to dalej.

Wstaje od biurka i podchodzi bliżej.

– Nie chcę cię odciągać od twojej pracy. Wiem, że cenisz niezależność, wspierasz Villego, jesteś świetną mamą dla Ami. Ale chciałabym wprowadzić cię w struktury Imperium. Tak, byś wiedziała, jak to działa od środka. A wierz mi – jest się czego uczyć.

– Domyślam się.

– Potrzebuję kogoś zaufanego – mówi, nachylając się lekko. – Kogoś, kto będzie przy Ville, ale też ma własną głowę na karku. A ty, Rose, jesteś bystra i rozumiesz zasady, jakie tu obowiązują. To naprawdę dużo.

– To ogromny zaszczyt – odpowiada cicho.

– Raczej zwykły biznes – kwituje Mia, rozkładając dłonie. – Zakres twojego zaangażowania zależałby od ciebie. Może to być tylko podstawowa orientacja, a może... dużo więcej.

– Miłe, że mi ufasz. Ale... nie jestem fizykiem.

– Indivar to nie jednoosobowa działalność gospodarcza. To globalny koncern. Nie musisz znać się na wszystkim – od tego są sztaby inżynierów, analityków i prawników. Oczywiście dobrze, jeśli złapiesz podstawy. Nie tylko z energetyki jądrowej, ale też z innych filarów naszej działalności. Masz ścisły umysł. Poradzisz sobie.

Siada z powrotem w fotelu, zaczyna się lekko bujać. Bierze pióro z herbem dynastii i celuje nim w Rose.

– Zastanów się. Czy chcesz dalej być w cieniu Riana juniora... czy tworzyć coś naprawdę własnego. Coś wielkiego. Nie śpiesz się. Pogadaj z Ville. Wiem, że teraz macie ręce pełne roboty – trasa, program. Jednak jeśli się zdecydujesz... przyjdź. Mój gabinet jest dla ciebie zawsze otwarty.

Włącza wygaszony ekran z pasjansem. Uśmiecha się lekko.

– Do zobaczenia za chwilę.

Sypialnia państwa Rian to przestronny apartament – miejsce, do którego nikt nie ma dostępu. Rose była tu może raz. Tak jak w pałacu w Surrey, tak i tutaj pokój mamusi i tatusia pozostaje zamknięty. Zawsze. Tym razem jednak odbywa się tu bardzo poufna rozmowa – i nigdzie indziej nie byłoby to tak właściwe.

Wnętrze urządzone jest w chłodnym, luksusowym stylu: szklane tafle, ciemne drewno, jedwabie w odcieniach zieleni. Nie ma tu sentymentalnych zdjęć ani osobistych pamiątek. Jedynie ściana z kilkoma najważniejszymi platynami Ramiego – dyskretny znak, że ta sypialnia należy także do legendy muzyki. Ville twierdzi, że powieszono je dopiero kilka lat temu. Wcześniej leżały w prywatnym sejfie Mii.

Mia siada na szerokim, niskim szezlongu. Ville staje pod oknem. Emma opiera się o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Rami cicho zamyka drzwi.

Rose siada ostrożnie. Po raz pierwszy w życiu naprawdę czuje, że została zaproszona do środka – dosłownie i symbolicznie.

– No dobrze... od czego by tu zacząć? – mówi Ville, a jego oczy zdradzają niepewność.

Mia przesuwając wzrokiem po twarzach zgromadzonych, po czym lekko wzrusza ramionami.

– A może od niczego. Może niech Rose zacznie?

Dziewczyna zerka na nich z półuśmiechem, jakby wciąż próbowała rozpoznać teren. Jej głos jest spokojny, ale napięcie słysząc w każdym słowie.

– Po tej dawce emocji nie wiem, czego mam się spodziewać. Znam oficjalną wersję – tę dla najbliższych przyjaciół. Ale skoro sprawa ma kolejne dno... to zapytam wprost. Wytwórnia Aurora Drive należała wcześniej do RRstudio, tylko bez żadnej wzmianki w dokumentach?

– Nie – wtrąca Mia spokojnie. – Ale to dobry trop.

Ville opiera się biodrem o parapet. Mówi swobodnie, choć w jego tonie słychać, że dobrze wie, co nadchodzi.

– Mama kupiła wytwórnię, zanim w ogóle tam weszliśmy. Umowa była dla nas wyjątkowo korzystna. A Aurora była wtedy na skraju bankructwa.

Rose mruży oczy, obserwując go uważnie.

– Jak znam rodzinę Rathore Rian, to i tak nie wszystko. A Mia musiała trochę pokombinować, żeby świat uwierzył w bajkę o młodym artyście, który zaczynał od zera.

Ville wybucha śmiechem. Emma tylko kręci głową z politowaniem. Rami patrzy na żonę z miną, która mówi wszystko – jakby zaraz miał ją udusić... albo wręcz przeciwnie.

– Kiedy Ville był jeszcze w szkole – wtrąca Rami przez zaciśnięte zęby, rzucając spojrzenie w stronę żony – i zaczął komponować własną muzykę przewidzieliśmy, że prędzej czy później będzie chciał wydać swój album. Ustaliliśmy z Mią, że znajdziemy bankrutującą wytwórnię w której on dostanie odpowiednie warunki finansowe i wolność artystyczną.

Emma wzdycha i rzuca tonem znudzonym, ale w punkt:

– Ojciec miał na oku kilka wytwórni, w końcu padło na Aurorę. Plan był prosty: kupić ją po debiucie Libertyna. Wszyscy wiedzieliśmy, że jego muzyka jest dobra i że ma szansę wypłynąć.

Rami mruczy bardziej do siebie niż do innych:

– Chciałem kupić tę wytwórnię nie tylko po to, by mieć prawa do Liberty Fade. Chciałem też w coś zainwestować, poszerzyć działalność. Oczywiście Mia o wszystkim wiedziała.

Jego spojrzenie znowu pada na żonę – tym razem przenikliwe, nieprzyjemnie uważne.

Libertyn wzrusza ramionami, jakby ten temat był już dawno zamknięty.

– Wiedziałem, że wchodząc do Aurory, wchodzę w rodzinny biznes. Dokumenty były dostępne, ale tylko ktoś, kto naprawdę umie szukać, mógł dotrzeć do informacji o prawdziwym udziałowcu. I to też było dobrze zamaskowane.

Mia odzywa się spokojnie, niemal obojętnym tonem:

– Wytwórnię Aurora Drive kupiła spółka-widmo Violet Ventures, zarejestrowana w Wielkiej Brytanii. Firma była jedną z wielu spółek-córek pewnego holdingu należącego do funduszu inwestycyjnego z Dubaju. W żadnej strukturze – ani zarządczej, ani właścicielskiej – nie istnieje moje nazwisko.

Wzrusza ramionami z chłodnym spokojem.

– Nasz fundusz z Dubaju prowadzi różne inwestycje wysokiego ryzyka. To normalne.

Rose czuje, jak coś pulsuje jej w skroniach. Myśli zaczynają się plątać, ale teściowa nie daje jej czasu na refleksję.

– A mimo to mój syn się domyślił.

– To nie było trudne. Wiedziałem, że nie pozwolicie, by ktoś inny czerpał zyski z mojego debiutu. Wystarczyła drobna wzmianka o firmie, która na początku 2021 roku kupiła Aurorę. Potem pogrzebałem w sieci i kiedy dotarłem do funduszu z ZEA, wszystko stało się jasne.

- Nie dla każdego... – mruczy Rami pod nosem
- Mia wzdycha cicho, patrząc w przestrzeń.
- Po premierze albumu przyszedł do mnie mój syneczek...

Mia siedziała w gabinecie pałacu w Surrey przed gigantycznym ekranem; wykresy pulsowały na nim niczym linie życia jej Imperium. Jedną ręką przesuwiała dane na touchpadzie, drugą trzymała filiżankę espresso, którego nawet nie piła – zapach miał jedynie utrzymywać ją w trybie bojowym. Drzwi otworzyły się bez pukania. Ville wpadł do gabinetu na sprężystym kroku, niby pewny siebie, a jednak czujny jak kot na cudzym terytorium. Odbił się od kantów mebli, zdjął marynarkę i zarzucił ją nonszalancko na oparcie fotela, zanim w ogóle usiadł.

- Dziękuję za prezent, mamusiu.

Mia nawet nie podniosła wzroku. Wymruczała ciche „hmmm...”, jakby kontemplowała kształt kolejnego słupa na diagramie.

Chłopak przesunął się na skraj fotela, pochylił do przodu i oparł łokcie na kolanach.

- Ta umowa, wynegocjowana przez ciebie i ojca, dała mi wolność i całkiem przyjemną perspektywę finansową.

- Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała niespiesznie, nie odrywając wzroku od klawiatury.

Ville parsknął śmiechem, odchylił się i założył nogę na nogę, rytmicznie bujając stopą.

- No chyba że ojciec to wszystko załatwił. Genialny ruch – bankrutująca wytwórnia łapie się czegokolwiek, żeby spłacić długi, a on haruje, żeby mnie przekonać do Aurory. Z moim materiałem mogłem pójść gdziekolwiek.

- Spostrzegawczy jesteś.

- Czyli przyznajesz mi rację?

- Tak. O tym wie tylko nasza trójka. A wypłynięcie tej informacji... – przesunęła palcem w dół ekranu i wykres przygaśł – mogłoby zakończyć twoją karierę. – Daliśmy ci z ojcem pomoc, wiem, że tego nie chciałeś, ale...

- Och, nie przejmuj się. To było miłe. Wolność twórcza jest ponad wszystko.

- Cieszę się, że tak do tego podchodzisz.

Chłopak zerknął na ekran. Na bokach przesuwały się grafiki spółek; na jednym z nich mignęło dubajskie logo funduszu. Uśmiechnął się jak lis.

- Muszę podziękować jeszcze jednej osobie z zagranicy.

- Komu? – zapytała mrużąc oczy.

Ville wstał, przeciągnął się, przyszedł dwa kroki i wziął do ręki kryształowy przycisk z logo IG. Obracał go przez chwilę w palcach.

- Chyba osobiście pojedę do... Dubaju.

Odstawił przycisk z cichym stuknięciem i posłał matce całusa z powietrza. Mia lekko napięła szczękę.

Palce zacisnęły się jej na krawędzi biurka.

- Skąd wiesz?

Chłopak wrócił na fotel powoli, niemal z czułością wygładził nogawkę spodni.

– Spokojnie. Skoro ja nie doszukałem się twojego nazwiska, nikt tego nie zrobi. A gdy ojciec dokończy transakcje i oficjalnie kupi Aurorę włączy ją do RRstudio, sprawa zniknie pod dywanem na dobre.

– Jeśli ktoś się dowie, to koniec. Zaszkodzisz i sobie, i mnie. Wiesz o tym.

Ville westchnął jak nauczyciel tłumaczący tabliczkę mnożenia.

– Ale się nie dowie. Zadbaliśmy o wszystko. Ja mam wolność, wy – zarobek, fani piękną bajkę o chłopaku znikąd. Cudownie, prawda?

Kobieta odchyliła się w fotelu, splótła ręce na piersi. W jej oczach błyszczał gniew zmieszany z dumą.

– Podpuściłeś mnie, gnojku. Udawałeś, że chcesz wszystko sam.

On tylko zaśmiał się nisko i poprawił mankiet koszuli.

– Mam nadzieję, że w Indivar kamienna twarz wychodzi ci lepiej niż tutaj.

– Tylko ojcu nie mów o naszej rozmowie.

– Bo?

– Natrudził się nad planem wprowadzenia was do Aurory. Teraz ma dużo na głowie. Niepotrzebne mu emocje – stwierdziła bez wahania.

Ville zmarszczył brwi i oderwał wzrok od ekranu.

– Nie powiedziałaś mu?

– Och, zapomniałam. Wtedy prowadziliśmy tuzin inwestycji. Wytwórnia była tanią zabawką.

– Ile za nią zapłaciłaś? Sześćset... osiemset tysięcy funtów? – przechylił głowę, próbując coś skalkulować w pamięci.

– Sześćset pięćdziesiąt. Dobra cena – westchnęła i spojrzała gdzieś w bok.

Chłopak skinął głową, wstał i sięgnął po marynarkę.

– Ale chyba kiedyś mu powiesz?

– Dowie się w swoim czasie. Nie martw się – powiedziała, poprawiając mankiet koszuli królewskim gestem.

– Oczywiście, Madam Violet Ventures...

Rose odchyła się w fotelu czując, że na moment zabrakło jej tchu. Drapie się po głowie próbując wszystko ułożyć w jedną całość.

– Wow... chyba muszę się przewietrzyć – rzuca półgłosem, po czym wbija wzrok w męża. – Vivaan, ty manipulancie. Jak mogłeś?

On szczyrzy się bezwstydnie, rozparty jak książkę chaosu. Emma kręci głowę z westchnieniem – zna to aż za dobrze, widziała to setki razy. Rami... patrzy na Mię i zaciska pięści, aż bieleją mu stawy.

Rose obraca się z powrotem w stronę męża. Głos ma zbyt słodki jak na tę sytuację.

– To powiedz, kochanie, co chciałeś od Mii za swoje milczenie. Platformę wiertniczą? A może gwiazdę z nieba?

Patrzy mu prosto w oczy, jakby rozrywała warstwy jego pokerowej twarzy.

– Nie... – mówi ciszej. – To było coś innego. Coś osobistego, prawda?

Chłopak milczy. A w tym milczeniu jest coś nowego – miękkiego. Nie odwraca wzroku.

Mia, która do tej pory stała nieruchomo, powoli odwraca się w stronę Rose. Przykłada dwa palce do swoich oczu, potem wskazuje nimi na synową. *I'm watching you.* To nie ostrzeżenie. To zaproszenie.

– Tak – odpowiada w końcu cicho, ale pewnie. – To było coś osobistego.

Emma zamyka tablet, odkłada go z westchnieniem i unosi brwi. Rami przenosi wzrok z syna na Mię, ale nie odzywa się ani słowem. Jego spojrzenie mówi wszystko: „Co wyście, do cholery, wymyślili?”

Ville przez chwilę patrzy na matkę, jakby czekał na przyzwolenie. Ale ona milczy. Już wie, że teraz to jego ruch.

– No dobrze – zaczyna. – To nie był koniec rozmowy...

Ville nie siedział już spokojnie – przechadzał się po gabinecie jak kot w klatce, raz po raz zatrzymując się przy biurku Mii. Jej ekran zgasł, gdy jednym, precyzyjnym ruchem zamknęła laptop.

– Oj, milczenie będzie kosztować... oj, będzie... – rzucił, opierając dłonie o blat i patrząc matce prosto w oczy z tym swoim pyskатыm uśmiechem.

– Lot w kosmos?

– Chcę reaktor – odpowiedział bez mrugnięcia.

– Chyba polonu się nażarłeś.

– Mam coś lepszego... – zrobił teatralną pauzę, zbliżył się i stanął naprzeciwko niej. – Za kilka tygodni gram w Londynie. Będziesz moją fanką.

– Przecież idę na ten koncert – rzuciła Mia, jakby to było oczywiste.

– Nie tak. Wejdiesz z tłumem. Jak normalna dziewczyna. Żadnych VIP-owskich wejściówek, żadnych zakulisowych kombinacji. Staniesz pod sceną. Będziesz się bawić. A potem prywatny after z Liberty Fade. Do końca. Wiesz... będę już pełnoletni.

Mia przewróciła oczami. Brak dowodu osobistego nigdy nie powstrzymywał jej syna przed imprezowaniem ze starszymi i znikaniem w klubach do rana.

– Setki razy stałam pod sceną, kiedy twój ojciec grał. To żadna nowość.

– Ale dawno tego nie robiłaś. Już nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio bawiliśmy się razem pod sceną na koncertach ojca. Zasiadiałaś się w łoży VIP, matko. Przypomnisz sobie stare, dobre czasy.

Mia zamknęła oczy i pomasaowała skroń, jakby walczyła z migreną.

– Tam jest... głośno.

Ville przytaknął z entuzjazmem.

– Tak.

– I gorąco... – mruknęła, rozpinając górny guzik marynarki.

– O, tak.

– I tłum fałszuje... – dodała, spoglądając na niego z wyraźnym cierpieniem na twarzy.

Ville uśmiechnął się jak czort.

– Ooo, tak!

Mia przewróciła oczami i uniosła ręce w geście kapitulacji.

– Dobrze. Wygrałeś.

On tylko zrobił piruet, jakby właśnie odbierał Oscara, i pocałował ją w czubek głowy.

– Będzie pięknie.

Libertyn kończy swoją opowieść potakując powoli głową, a jego twarz rozjaśnia szczyry uśmiech. Rose patrzy na nich wszystkich jak na dobrze wyreżyserowaną farsę.

– A jak było na koncercie? – rzuca niepewnie, próbując wciąż ogarnąć, w co właściwie weszła.

Ville rozpromienia się i przygryza dolną wargę z satysfakcją, ale zanim zdąży odpowiedzieć, Mia przecina ciszę suchym tonem:

– Głośno. Gorąco. Ludzie fałszowali. Zadowolona?

Rose chichocze cicho i kręci głową z niedowierzaniem.

– Dlaczego mam wrażenie, że to nie koniec tej historii?

– Bo to nie koniec... – dorzuca Emma z drugiego końca sypialni.

Libertyn wzdycha teatralnie, jakby dopiero teraz dochodził do właściwej kulminacji.

– Wreszcie ojciec oficjalnie kupił Aurorę. Gdy tylko ostatnie udziały przeszły na RRstudio, natychmiast wciągnął ją w struktury swojej wytwórni. Nawet nazwa nie została. Po całej akcji zaprosił mnie do gabinetu, kazał sobie pogratulować, bo od tamtej chwili miał prawa do mojej twórczości. Cieszył się jak dziecko.

Rami gwałtownie wstaje z fotela, aż Emma odruchowo cofa się o krok. Patrzy na Mię ze wściekłością, która ledwo mieści się w jego ciele.

– A syn mówi mi: „Przecież miałeś mnie w swoim portfolio od początku. No wiesz – nieoficjalnie”.

– Rose... ja byłem pewien, że mama mu powiedziała. Myślałem, że ta cała transakcja między RRstudio a tą spółką–wydmuszką Mii to po prostu przelanie pieniędzy z jednego konta rodziców na drugie. To było chore. Bo ojciec nic nie wiedział.

Rami zaciska dłonie, ale głos ma opanowany, zimny jak lód.

– Kiedy zapytałem, o co chodzi, ten zrobił tę swoją niewinną minę... i uciekł z biura. Wsiadł do czerwonego Porsche i odjechał z piskiem opon, jak nastolatek po zerwaniu z dziewczyną.

– Nie wiedziałem, co robię. W sumie wkopałem mamę. Nie wiedziałem, do której bramki gram!

Rami przechadza się nerwowo po pokoju, przeczesując włosy.

– Domyśliłem się, o co chodzi. Popatrzyłem na papiery i... już wiedziałem.

– Przecież masz prawników – mówi Rose. – Nie wiedziałeś, od kogo kupujesz?

– Wiedziałem, ale wszystko było zakamuflowane. Papiery Aurory były czyste. Legalne. Przecież w takich strukturach holdingowych to normalne. W branży muzycznej każdy coś ukrywa. Spółki, inwestycje, nazwiska. To taka gra planszowa – tylko stawki inne.

Mia wzrusza ramionami z nonszalanckim wdziękiem.

– Nie zmieniałam zarządu. Holding spłacił tylko te długi, które nie cierpiały zwłoki.

Rami rzuca w powietrze z ironią:

– No, brawo ty!

Kobieta śmieje się szczerze, niemal zalotnie, podchodzi do niego i muska go dłonią po barku. Rami mięknie. Patrzy na nią przez sekundę z urazą, po czym posyła jej buziaka w powietrzu, jakby chciał powiedzieć: „Znów mnie przechytrzyłaś, czarownico.”

Libertyn rozsiada się głębiej i rozkłada ręce jak konferansjer.

– Ale to, co było potem... to dopiero wisienka na torcie.

Rami odwraca się gwałtownie, a oczy aż mu błyszczą.

- Myślałem, że babę zabiję!
- A było to tak... – ciągnie Ville.

Mia siedziała w swoim pałacowym gabinecie, otoczona folderami, raportami i szkicami nowych projektów. Przygaszone światło i zapach kadzidła tworzyły złudne wrażenie spokoju.

Za ścianą było słychać kroki Villego. Właśnie wrócił z Londynu. Zrzucił kurtkę na fotel w salonie, krążył niespokojnie, jakby szukał powietrza w za małym pomieszczeniu. I wtedy... drzwi główne trzasnęły. Rami wpadł do pałacu jak burza.

– MIA! MIAAAA!

Jego głos poniósł się echem po marmurowych korytarzach. Ville, słysząc ton ojca, zastygł, po czym cicho skradł się do biblioteki. Otworzył drzwi bezszelestnie, wślizgnął się do środka i schował za regałem z oprawionymi tomami z lat siedemdziesiątych. Przycisnął się do drewna i nasłuchiwał.

Tymczasem Rami wpadł do gabinetu. Drzwi odbiły się od ściany z hukiem. Twarz miał czerwoną, oczy rozszerzone.

– Czyś ty oszalała?! – ryknął, rzucając klucze na biurko.

Mia nie drgnęła nawet o milimetr. Siedziała wyprostowana, z rękami złożonymi na kolanach.

– Zrobiłaś ze mnie idiotę! – chodź tam i z powrotem jak zwierzę uwięzione w klatce. – I żeby to Ville wiedział przede mną?!

– Jest bystry – odpowiedziała chłodno.

Zatrzymał się w pół kroku, przekręcił głowę jak zraniony drapieżnik.

– Mam nadzieję, że zadbałaś o dyskrecję. Oczywiście, że zadbałaś. Aurora już przecież nie istnieje. Spółka holdingowa...

– Raczej fundusz inwestycyjny – poprawiła go z niemal ironiczną uprzejmością.

– Cholera jasna! – wrzasnął, waląc dłonią w oparcie fotela. Zaciśnął pięści, walcząc z oddechem. – Dlaczego?! – podniósł głos. – Pytam: dlaczego?!

Ona milczała, ale spuściła wzrok bardziej z przekory niż z poczucia winy. Rami zrobił krok w tył. Potem jeszcze jeden. I powiedział cicho, bez dramatyzmu, ale z czymś, co boleło bardziej niż krzyk:

– To koniec, Mia. Koniec z nami.

Za ścianą Ville zamknął oczy. Nie oddychał. W tle coś tykało – może zegar, może serce, może czas, który właśnie się rozsypał.

Libertyn odchyła się w fotelu i gestykułuje szeroko jak aktor w monodramie.

– Czaisz to, Rose? Ja w życiu widziałem ojca tak wkurwionego tylko dwa razy. To był pierwszy raz.

Ona podpira brodę na dłoni, patrzy na niego uważnie i uśmiecha się delikatnie – bo doskonale pamięta ten drugi.

– Gdybyś wiedziała, co zrobiła mama... Jak zareagowała na jego wrzaski...

Na słowa męża Mia nawet nie drgnęła. Jedyne lekko zmarszczyła brwi, obserwując Ramiego, który krążył po pokoju, szarpiąc się za włosy.

Następnie spokojnie podeszła do komody, otworzyła ją i wyjęła eleganckie cygaro w skórzanym etui. Odpaliła je bez pośpiechu, jakby miała przed sobą całe popołudnie. Zaciągnęła się raz, drugi, a potem – z cygarem w zębach – podeszła do męża. Stała za nim, jedną ręką masowała go po karku, drugą trzymała żarzący się zwój.

– Nie dramatyzuj – rzuciła chłodno, bez litości.

Rami znieruchomiał. Jego twarz przeszła przez całe spektrum emocji – od czerwieni wściekłości, przez fiolet, aż po bladość rozczarowania. Wyglądał, jakby miał albo wybuchnąć, albo się rozplakać.

Mia wróciła na fotel i usiadła z godnością cesarzowej. Wypuściła dym leniwie, pod kątem w stronę sufitu.

– Zarabianie na twoim talencie – i ostatnio talencie Villego – to moje hobby. Materiał naszego syna był genialny. A ty? Ty chciałeś poszerzyć działalność, prawda?

Rami otworzył usta, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku. Gdy w końcu zebrał się w sobie, zapytał drżącym głosem:

– Ile na mnie zarobiłaś?

– Bardzo okrągłą sumkę.

Patrzył na nią z niedowierzaniem, już nie wiedząc, czy ma krzyknąć, czy zamilknąć na wieki.

– Nie rozumiem, dlaczego jesteś zły. Potraktowałeś naszego syna i Liberty Fade jak produkt, więc powinieneś wiedzieć, że tam, gdzie jest perspektywa zysku, tam jestem ja. Czysty biznes.

W tym momencie zza regału wyleciał Ville. Dosłownie wyskoczył z ukrycia, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

– MATKO! MISTRZU! – krzyknął teatralnie i rzucił się na kolana przy jej fotelu. – Jestem twoim wiernym sługą! Obiecuję nigdy ci się nie sprzeciwić! Prowadź mnie w biznesie!

Mia spojrzała na niego znad cygara. Zaciągnęła się głęboko. Przeciagle. Wypuściła dym prosto w jego twarz.

– Synu... jeszcze nie. Skup się na karierze. A kiedy będziesz gotowy... pokażę ci właściwą drogę.

Ville oparł głowę na jej kolanach jak mały chłopiec.

Rami z westchnieniem opadł na brzeg fotela – wyczerpany, pokonany, ale jednak... odrobinę rozbawiony.

Rose siedzi bez ruchu. Jej spojrzenie błądzi między twarzami członków rodziny, jakby próbowała połączyć punkty na zbyt chaotycznej mapie.

– Jesteście nienormalni. Ta rodzina to... wariaci.

Patrzy na siedzącego dumnie Villego. Na Mię. Na Ramiego. Na rozbawioną Emmę.

– To... nie. To niemożliwe. To *Matrix*. Ja chcę uciec.

Teściowa powoli odwraca głowę. Jej spojrzenie ciemnieje.

– Za późno. Za późno, Rose.

Ville szczerzy się jak diabełek z teatrzyku kukielkowego. Ale Rose nie patrzy na niego. Odwraca się w stronę swojego teścia.

– Ale nie rozwiodłeś się z Mią...

Rami wzdycha i teatralnie rozkłada ręce, ale nie zdąża odpowiedzieć, bo Mia już wtrąca się miękko, nonszalancko, z lekkim zmrużeniem oczu:

— Ale się musiałam go naprzeczraszać... Ale to już nasza... prywatna sprawa.

Libertyn robi dziwną minę, jakby właśnie zobaczył coś, czego wolałby nie widzieć. Potem, bez słowa, pokazuje ojcu kciuk w górę.

Rose jednak nie odpuszcza. Zerka w bok, łapie spojrzenie Emmy.

– Od kiedy wiesz?

– Dowiedziałam się jakoś niedługo po transakcji. Zresztą braciszek, w swoim dramatyczno–teatralnym stylu, zademonstrował mi całą historię. Tyle że wtedy siedzieliśmy w pokoju rodziców w Surrey.

Ville uśmiecha się zawadiacko. Mia nic nie mówi – tylko przesuwając palcem po blacie, jakby obliczała ruchy w kolejnym etapie. Rami patrzy w sufit, błagając wszechświat o znak, że to się kiedyś skończy.

Rose kręci głową z rezygnacją, ale jej mina się zmienia. Czoło się wygładza, oddech wyrównuje. Patrzy na teściową dłużej, niż wypada. Jej głos brzmi spokojnie.

– Mia, czy to nie jest tak, że wykorzystalaś Vivaana żeby wygadał się ojcu, żebyś nie musiała robić tego sama?

Kobieta zagryza wargi, próbuje się nie roześmiać. W końcu tylko unosi dwa palce do oczu, potem w kierunku Rose. *I'm watching you.*

Nagle Ville zrywa się z miejsca, jak rażony prądem.

– Nie! Tylko nie to!

Mia przechyla głowę z czułością.

– Kochanie, jesteś moim synem...

Rami rzuca w przestrzeń z udawaną rozpaczą:

– Oj, znowu Mia... Znowu będziesz mnie przepraszać... To już jest poniżej wszelkiej krytyki!

Ona nie przestaje się uśmiechać.

– Antero, kocham cię.

– Ja ciebie też... – odpowiada, udając obrażonego.

– Oj, cudownie, że się kochacie – wtrąca Rose z ironią w głosie. – Ale teraz pogadajmy o tym, jak było na koncercie.

– Kochanie – mówi Ville, podchodząc do niej powoli. – Opowiem ci później, nie chcę denerwować ojca.

Bierze ją za rękę. Oboje wychodzą z sypialni rodziców, a tuż za nimi rusza Emma.

Mia i Rami zostają sami, przez chwilę panuje cisza, a potem on przyciąga ją do siebie.

– Opowiesz mi, jak było na koncercie?

Ona uśmiecha się zawadiacko, nie odpowiada od razu. Zamiast słów, pochyla się i całuje go powoli, bez pośpiechu – delektując się każdą sekundą.

Dziesięć tysięcy osób zgromadzonych w hali dudniło od napięcia, jakby wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu na pierwszy dźwięk. Światła zgasły. Na scenę weszli oni – młodzi, jeszcze nieopierzeni, a już obdarzeni magnetyczną siłą. Liberty Fade.

Libertyn pojawił się jako ostatni, w półmroku, krokiem powolnym, niemal scenicznym. Wokół niego zapadła cisza. Mikrofon w dłoni. Przez kilka pierwszych taktów słychać było tylko pianino i jego głos – miękki, surowy, czysty. Ballada. Wzruszająca, intymna, jakby śpiewał ją tylko do jednej osoby.

A potem przyszło uderzenie światła. Kolorowe błyski przecięły dym. Gitara szarpnęła nerwy. Tłum eksplodował. Ville poruszał się w transie – płynnie, pewnie, z tą dziwną lekkością, która hipnotyzowała widzów. Przebiegł wzrokiem po publiczności, zmrużył oczy, szukał... i znalazł.

Stała tuż przy scenie, blisko barierki. Jeansowe szorty, czarne kozaki do kolan, obcisły czarny t-shirt i skórzana kurtka. Włosy spięte w ciasny warkocz, w uszach długie, lśniące, srebrne kolczyki. Wyglądała młodo. Nie jak kobieta po czterdziestce, lecz jak jedna z tych młodych fanek. Z tą różnicą, że śpiewała każdą zwrotkę. Każde słowo. Z pasją. Bez śladu maniery.

Ville nie spuszczał z niej wzroku przez kilka długich sekund. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Przy ostatnim refrenie zszedł ze sceny – robił to zawsze – żeby przybijać piątki, łapać żółwiki, dotykać dłoni. Publiczność kochała go za to. Przechodząc obok niej, zatrzymał się na moment. Ujął jej dłoń i pocałował ją powoli. Mia odwzajemniła spojrzenie, nieco przekornie, jakby ten gest wcale jej nie zaskoczył.

Libertyn ruszył dalej, już się nie oglądając, ale uśmiech nie schodził mu z twarzy. Koncert zakończył się w euforii. Publiczność wciąż skandowała nazwę zespołu, choć światła były już zapalone. Wśród rozentuzjzmowanego tłumu przechadzał się ochroniarz. Wręczył Mii i kilku innym dziewczynom eleganckie zaproszenia. Afterparty. Miejsce prywatne. Wejście tylko dla wybranych.

Wieczorem klub pulsował basem. W środku trwała już impreza – głośna, dzika, bezwstydna. Ville był pogrążony w objęciach dwóch dziewczyn: jedna całowała go w szyję, druga śmiała mu się do ucha. Emma tańczyła z jakimś blondynem, Rob flirtował przy barze, Thomas przytulał się namiętnie do wysokiej brunetki. Paul całował się na środku parkietu z dziewczyną w zielonej sukience, całkowicie zapominając o otaczającym świecie.

I wtedy w drzwiach stanęła Mia. Zespół ją zauważył. Ich spojrzenia były pełne niedowierzania i rozbawienia. Ville odwrócił głowę i zamarł. Patrzył na nią jak na zjawę. Dziewczyny obok próbowały go zatrzymać, ale uniósł rękę, odsuwając je łagodnie.

– Oj, nie musisz tego robić – rzuciła Mia z uśmiechem.

– Ten wieczór, Mia, należy do nas. Whisky?

Przytaknęła bez wahania. Usiedli razem przy jednym z bocznych stolików. Pili, rozmawiali, śmiali się. Mia była ewidentnie zadowolona – oczy jej błyszczały, a policzki miała zaróżowione. Opowiadała o tym, jak wyglądało światło przy balladzie, jak brzmiały gitary, jak dobrze Ville radził sobie z publicznością. On słuchał, kiwał głową, czasem coś dopowiadał. Atmosfera była ciepła, bliska, jakby czas na chwilę się cofnął.

A potem wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Tańczysz?

Nie czekał na odpowiedź. Mia pozwoliła się porwać. Tańczyli długo, blisko, śmiejąc się, czasem rozmawiając, czasem po prostu poddając się rytmowi. Kilka dziewczyn z afterparty przyglądało im się z wyraźną zazdrością. Ville jednak nie zwracał na nie uwagi.

Po jakimś czasie wrócili do stolika, przy którym siedziała już reszta zespołu. Atmosfera była lekka, prawdziwa. Rozmowy się mieszały, słyhać było śmiechy, ktoś wznosił toast, ktoś inny wylał odrobinę drinka na stół. Mia przytuliła się do syna i pogładziła go po włosach z tym swoim matczynym uczuciem.

– Dziękuję. Tego mi było trzeba.

Rami kręci głową z niedowierzaniem, ale w jego oczach pojawia się znajomy błysk.

– Jak ty właściwie weszłaś na ten koncert? Jako fanka czy jako VIP?

Mia unosi brew, a kącik jej ust drga z rozbawienia.

– Przecież nie będę stała pod halą koncertową w tłumie szalonych fanek naszego syna.

Patrzy na niego z udawaną powagą, ale w jej spojrzeniu czai się wyzwanie. Rami parska śmiechem, pochyła się bliżej i szepcze niskim głosem:

– Niegrzeczna dziewczynka.

Po chwili wstaje, przeciąga się lekko, jakby chciał rozprostować myśli. Podchodzi do winiarki stojącej przy ścianie, zerka na etykiety. Wybiera półsłodkie białe – ulubione jego żony – i uważnym ruchem nalewa wino. Odwraca się na pięcie, wraca spokojnym krokiem i podaje jeden kieliszek Mii.

– Wybaczyłeś mi tę pokerową rozgrywkę bardzo szybko. Nawet się zdziwiłam, że nie musiałam nic tłumaczyć – stwierdza, unosząc brew i bawiąc się nóżką kieliszka.

Rami delikatnie chwytą jej dłoń. Gładzi ją z czułością chcąc uspokoić nie tylko ją, ale i wspomnienia.

– Ja działałem jako RRstudio. Chciałem zysku z Liberty Fade, ty to wykorzystałaś, czarownico. Nasza relacja wtedy nie była prywatna, tylko biznesowa – szybko to zrozumiałem.

Mia przenosi wzrok na jego twarz, lustrując go od góry do dołu. Z elegancją przesuwając palec po krawędzi kieliszka, jakby ważyła każde jego słowo.

– Sorry, Antero, ale w tej sytuacji silniejszy wygrywa – stwierdza wesoło, unosząc lekko podbródek.

– Kupiłaś Aurorę tanio, spłaciłaś długi, sprzedałaś mi ją po świetnej cenie. Ten ruch był genialny – i strategicznie, i prywatnie. Patrząc na efekt – nie wyszedłem na tym najgorzej. Gdyby Aurora została u starego właściciela, umowa nie byłaby tak korzystna.

Oboje dopijają wino. Wzrokiem toczą między sobą subtelną rozmowę, niewerbalną, ale pełną znaczeń.

– W kontekście prywatnym rozmawiałam z Rose o Indivar – mówi Mia spokojnie, opierając się wygodniej.

– I jaka była jej reakcja na twoją propozycję?

– Zobaczymy. Ma czas, ma o czym myśleć. Nie będę jej naciskać – choć wjechałam jej na ambicję.

Rami uśmiecha się szerzej, bardziej naturalnie, niemal rozbawiony.

– Dlaczego mam wrażenie, że ta sprawa ma jeszcze jakieś dno?

Zatrzymuje się na chwilę, gdy Mia robi minę niewiniątka.

– Chcesz Villego tylko dla siebie, czarownico? Chcesz go wciągnąć w ślady Rose, jeśli ta zgodzi się dołączyć do Imperium?

– Po pierwsze, nie wiemy, co Rose postanowi – zaczyna Mia poważnym tonem. – Po drugie, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby nasz syn zarządzał dwiema firmami. RRstudio zna od lat, a jeszcze do tego masz Emmę. Czuję zazdrość...

– Zgadzam się. Zabezpieczenie rodziny jest najważniejsze. Ale biznesowo... nie oddam Villego bez walki. Wystarczy, że dziadek Lauri przekabacił Emmę na swoją stronę.

– Ville poprowadzi RRstudio – jest tam od lat. Z Imperium gorzej. A do tego koncerty, nowe projekty muzyczne.

– I po to ci Rose...

Mia pochyła się lekko, całuje go w czubek nosa, oddala się nieco i wyciąga dłoń do uścisku.

– Podzielimy się? – proponuje, uśmiechając się chytrze, jakby w tym jednym geście zawierał się cały ich układ.

Rami mocno ściska jej dłoń. I oboje wybuchają śmiechem, pozwalając, by ciepło i kontrasty ich rozmowy rozlały się po sypialni jak ostatnie światło dnia.

Rozdział 5

Po prostu rock and roll.

Jest już późny wieczór. W salonie, rozświetlonym ciepłym światłem projektora, wszyscy powoli się zbierają, gotowi na nowy odcinek *Liberty Fade Life*.

Brakuje tylko Sandry. Stoi jeszcze przy wejściu, pochylona nad telefonem. Przewraca oczami, wzdycha, coś liczy w głowie i odpowiada spokojnym, rzeczowym tonem o poprawkach, o konstrukcji, o liczbach, które najwyraźniej nie chcą się zgadzać. W końcu się rozłącza.

Siada obok Thomasa i bez słowa opiera się o niego. Jej blond włosy rozlewają się po jego ramieniu i twarzy.

Chłopak krzywi się, próbuje je odgarnąć, ale jedno pasmo uparcie wraca mu na usta.

– Duszę się – mruczy półgłosem.

– Nie dramatyzuj – odpowiada patrząc w telefon na rysunek jakiś dziwnych linii i zapisów.

Thomas wzdycha, odgarnia włosy jeszcze raz, ostatecznie daje za wygraną, przytula ją i całuje w czubek głowy.

Po chwili ktoś wciska *play* i odcinek zatytułowany: *Ktoś śpi sam*.

Ekran zalewa błysk stroboskopów, pulsujących w rytmie utworu i przecinających scenę smugami chłodnego światła. Bas jest tak głęboki, że przenosi się z nóg do klatki piersiowej. To dźwięk, który nie tylko się słyszy, ale i czuje. Ville i Thomas ruszają równocześnie z podestu, zsuwając się płynnie po wąskim zejściu z boku sceny. Ich ruch jest niemal teatralny, pewny, kontrolowany, pełen energii. Nie ma tu chaosu ani taniej sensacji. Przeciwnie, ich obecność wśród widowni ma w sobie coś ceremonialnego.

Ville zatrzymuje się przy pierwszym rzędzie, uśmiecha się do chłopaka w koszulce z logo zespołu i przybija z nim żółwika, potem przytula dziewczynę obok – delikatnie, z wyczuciem. Thomas robi to samo, z łatwością, jakby znał każdego z nich od lat. Publiczność zaczyna wrzeszczeć, ale to nie dziki pisk. To dźwięk zbiorowej euforii, zaskoczenia i wdzięczności.

Kamera zdąży jeszcze uchwycić drżące palce wyciągnięte w stronę Villego, kropelki potu na jego szyi, rzęsy dziewczyny nie mogącej uwierzyć, że on naprawdę stoi tuż obok.

Nagle wszystko gaśnie. Na ekranie zostaje ciemność, a w głośnikach słychać tylko oddechy. Obraz przenosi się na backstage. Ville wpada pierwszy. Od razu sięga po wodę z cytryną i pije łąpczywie, starając się nie rozlać na rozpiętą koszulę. Twarz lśni mu od potu, ale eyeliner – nie wiadomo jakim cudem pozostaje nienaruszony. Opiera się na łokciach i przymyka oczy. Po chwili podnosi tablety; brwi idą mu w górę ze zdziwieniem.

– O rany – rzuca do wszystkich w pomieszczeniu. – Statystyki nie kłamią, fani chcą kolejne odcinki. Hmm... jest i hejt, choć spodziewaliśmy się więcej. Zresztą, i tak nie czytam komentarzy.

Emma właśnie wchodzi, z ręcznikiem zarzuconym przez ramię, i bezceremonialnie wyrywa mu urządzenie z ręki.

– Oj, piszą, że jesteś synkiem bogatego tatusia. O mnie, że lepiej wyglądam, niż gram... – mówi z uśmiechem. – Ale i tak miłe, co? Też nie czytam komentarzy.

W międzyczasie wchodzi Robert. Porusza się wolno. Jest zmęczony, ale zadowolony. Jednym płynnym ruchem zsuwa pałeczki do plecaka, sięga po telefon i ziewa bezceremonialnie, nie przestając scrollować.

– Wpadło parę ciekawych pytań – rzuca mimochodem. – No, nie czytam komentarzy, ale może na kilka odpowiemy?

– Ok – mówi Libertyn poprawiając włosy przed lustrem. – Ale dajcie mi chwilę. Muszę wyglądać jak człowiek.

Obraz zamienia się w planszę z zegarem odliczającym kolejne minuty i nerwowo krzątającymi się technicznymi. Po chwili zatrzymuje się na Liberty Fade, którzy siedzą już w półkolu. Światła garderoby są przygaszone, lampki nad lustrami odbijają się w ekranie telefonu Roberta, który właśnie zaczyna czytać.

– Pytanie pierwsze: Ville, dlaczego mówią na ciebie Kurdupel?

– Mam metr sześćdziesiąt pięć. Nawet Emma mnie przerasta, o chłopakach nie wspominając.

– Przy nas wygląda jak laleczka – mruczy Paul.

Thomas zerka na Libertyna z boku i odruchowo rozsuwa boczną kieszeń swoich szerokich spodni.

– Wskakuj, zmieścisz się – rzuca z udawaną powagą.

Śmiech rozlewa się po garderobie. Kamera lekko drży – nawet operator nie powstrzymuje się od parsknięcia.

– Pytanie drugie – wtrąca Robert. – Do Kurdupla: serio rozważałeś ekonomię albo coś z liczbami?

– Matematyka to moje drugie ja – odpowiada Ville. – Widzę świat w nutach i cyfrach, wtedy wszystko się składa. Tyle że z innych przedmiotów leżałem. Za to siostra była klasowym kujonem.

Emma prostuje się dumnie i kiwa głową, potwierdzając słowa brata.

– Czy kłóciliście się o muzykę? Kto jest najtrudniejszy?

– Przy nagrywaniu albumu chłopcy parę razy skoczyli sobie do gardeł. Od pierwszej awantury nagrywałem już w okularach – okularników się nie bije – wtrąca Ville.

Robert zerka znacząco na Paula.

– Stary wybaczn, nie powinienem krytykować twojego basu.

– Wybaczam – odpowiada uśmiechając się i unosząc kubek z jakimś napojem.

Ville rzuca w kamerzystę ręcznikiem. Światła garderoby migają raz, drugi. Kamera zaczyna cofać się korytarzem. Jarzeniówki nad głową pulsują, a z oddali przebija się gitarowy riff z finału koncertu.

Klub wypełniają dźwięki głębokiego house'u i syczące światła, ślizgające się po szklach kieliszków i skórzanych kanapach. Tłum jest gęsty, ale selektywny – piękni i modni ludzie, tacy, którzy wiedzą, jak wyglądać, kiedy nic nie trzeba mówić.

Ville siedzi przy barze z wysoką szklanką whisky, której nie wypija do końca przez cały wieczór. Obraca ją leniwie w dłoni. Na parkiecie błyskają flesze aparatów ale to nie on ich szuka. To one znajdują jego. Obok siada pierwsza Włoszka. Wysoka, o oliwkowej cerze i śmiejących się oczach. Druga pojawia się chwilę później. Ville rozmawia z nimi półgłosem, po angielsku, z lekkim fińskim akcentem, co sprawia, że każde słowo brzmi jak obietnica. Kiedy dotyka biodra jednej z nich, robi to z odpowiednim wyczuciem. Druga obejmuje go za szyję. Ich śmiech zagłusza nawet muzykę. Po chwili znikają w półmroku, a jego dłonie elegancko, bez pośpiechu spoczywają na dwóch perfekcyjnie ukształtowanych tyłeczkach.

Gdzieś na drugim końcu parkietu Emma całuje się z Włochem – opalonym, ciemnowłosym typem z tatuażem na obojczyku. Przy jednej z łoż Paul i Thomas sączą drinki i z zadowoleniem obserwują resztę świata, jakby oglądali spektakl, którego nie muszą już komentować. Obok nich siedzą dwie dziewczyny. Są młode, rozbawione, gotowe na wszystko.

– A gdzie Ville? – pyta Paul, łapiąc jedną z nich za rękę, kiedy sięga po jego szklankę.

Thomas opiera głowę o tył fotela i spogląda w kierunku, gdzie zniknął przyjaciel.

– Wygląda na to, że załączył mu się tryb Libertyna.

– Ta... Libertyn poszedł podbijać świat – rzuca Emma przez ramię uśmiechając się do dziewczyny którą trzyma za rękę. – Ja też idę.

– I ja – dodaje Paul, zerkając wymownie na brunetkę czarnej sukience.

Thomas wstaje bez słowa. Dziewczyna w krótkich szortach łapie go za pasek i prowadzi w stronę tylnego wyjścia.

Zostaje tylko Robert. Siedzi chwilę sam, wpatrując się w kufel z piwem, który barman podaje mu bez pytania. Wypuszcza powietrze przez nos, jakby coś właśnie przemyślał.

– Wszyscy poszli... – mruczy do siebie. – Nie chcę być powodem do żartów. Liberty Fade to łoża szyderców.

Spogląda na parkiet. Kilka dziewczyn wyraźnie go obserwuje. Uśmiechają się, niektóre podchodzą bliżej.

– A mi tak strasznie chce się spać... – mruczy sam do siebie.

Przeciera oczy, rozgląda się jeszcze raz. Wstaje, zarzuca kurtkę na ramię i rusza w stronę wyjścia.

Kamera zatacza szeroki łuk nad ceglanyimi dachami Mediolanu. Poranne światło ślizga się po fasadach kamienic, odbija w szybach i sływa leniwie po dachówkach. Zbliżenie na katedrę. Jej białe, koronkowe wieże kontrastują z jasnym niebem, a złota Madonnina błyszczy jak punkt odniesienia. Kamera miękko zakręca i łąduje na tarasie popularnego muzeum.

Zespół Liberty Fade stoi przy szklanej balustradzie. W ciemnych ubraniach, z kubkami kawy w dłoniach i okularami przeciwsłonecznymi. Miasto rozlewa się przed nimi jak obraz. Cisza jest gęsta, przerywana tylko klikaniem migawki aparatu Paula i szumem klimatyzatorów z niższych pięter.

Emma, w niebieskich okularach, odwraca się do obiektywu.

– Wiecie, że ta katedra ma ponad sto trzydzieści iglic, a najwyższa z nich to Madonnina? – mówi z uczuciem, rozmarzona. – Złota figura Maryi... No i to światło! Widzicie to odbicie na marmurze? To nie przypadek. Ten efekt był zaplanowany!

Paul wzdycha. Thomas przewraca oczami. Emma nie zwalnia tempa – nadal mówi, wskazując gestem dłoni na salę w muzeum.

– A tu stoi Robert, widać, że bardzo się wyspał... – dodaje z lekkim uśmiechem. – A teraz popatrzcie tam, za mną znajduje się Carlo Carrà, futurysta, ale z duszą romantyka...

W tle rozbrzmiewa delikatna, elektroniczna muzyka z subtelnym beatem. Kamera podąża za Emmą, która opowiada o kolejnych malowidłach. Dźwięk powoli cichnie, a obraz przyspiesza pięciokrotnie. Ekran dzieli się na dwie części: jedna obejmuje Emmę w muzeum, druga pokazuje resztę na zewnątrz. Dziewczyna gestykuje. Wyciąga szkicownik z torby.

W tym samym czasie Thomas przysiada na murku i zaczyna obierać banana, jakby była to jego jedyna życiowa misja. Robert przewija coś w telefonie i cicho prychnie śmiechem. Ville patrzy prosto w kamerę i bezgłośnie wypowiada jedno słowo: „help”. Paul robi zdjęcie swojej kawie. Na ekranie jego telefonu pojawia się podpis: „Rob spał sam”.

Dźwięk wraca, a Emma kończy z błyskiem w oku:

– ...i to właśnie dlatego zawsze mówię, że Milano to mój drugi dom!

Libertyn nachyla się do Roberta i mówi półgłosem, z uśmiechem ukrytym w kątku ust:

– Też tak przynudzała, kiedy ją poznałeś?

Ten bez słowa lekko przymyka oczy i potakuje. Ville trąca go ramieniem i przeciąga się leniwie.

– Zjadłbym coś. W nocy spałem trochę kalorii. A ty?

Przyjaciół jednak utrzymuje kamienną twarz i nic nie odpowiada. Kamera łapie moment: dwóch chłopaków w czarnych ubraniach, słońce odbijające się od balustrady, Emma w tle – nadal opowiadająca.

Włoska trattoria jest niewielka i przytulna, z czerwonymi obrusami i starymi fotografiami na ścianach. Robert chwytając menu i rozpromienia się jak człowiek, który właśnie odzyskał język ojczysty. Mówi po włosku płynnie i pewnie, z miłym akcentem zaskakującym nawet kelnerkę. Ta zerka na niego z zaciekawieniem, a po chwili z rozbawieniem, gdy dorzuca komplement o jej oczach.

– Rob ma rodzinę we Włoszech, w zeszłym roku ich odwiedziliśmy – mówi Emma półgłosem, jakby przypominała o jakiejś wakacyjnej tajemnicy. – Niestety, teraz mamy zbyt napięty grafik. Trochę szkoda. Ville z kolei patrzy w kartę z miną człowieka zdradzonego przez los.

– Owoce morza... – krzywi się teatralnie. – Jest tu coś, co nie pływało w morzu?

– Krewetki – rzuca Emma, nawet nie podnosząc wzroku. – Biorę!

– Spaghetti ai frutti di mare – ogłasza Paul.

– Ja bym zjadł ośmiornicę – mruczy Thomas i przyciska palec do zdjęcia talerza.

Robert przejmuje zamówienie z pełnym wdziękiem. Mówi szybko, opowiada kelnerce o ich długim wieczorze, wskazuje kolejno na każdego i tłumaczy, kto co chce. Dziewczyna raz po raz się uśmiecha, aż w końcu się rumieni.

Emma opiera głowę na dłoni i patrzy na chłopaka z nieudawaną czułością.

– Dziś nasz perkusista nadrabia urokiem osobistym, bo wczoraj mu trochę nie wyszło – mruczy cicho, bardziej do siebie niż do reszty.

On uśmiecha się niewinnie i nie przerywając rozmowy z kelnerką zamawia jeszcze... zestaw dziecięcy. Wskazuje przy tym na Villego z miną zwycięzcy.

Thomas patrzy na Roberta z rozleniwieniem.

– Teraz będzie udowadniał, co to nie on. „Jestem Robert, gorący chłopak, ale śpię sam”.

– Nie wiem, czy nasi widzowie, strażnicy moralności, rozumieją, że w zespole mamy pewne zasady...

– mówi Paul, bardziej do kamery niż do kogokolwiek przy stole. – A w tym przypadku ofiara jest skazana na milczenie. Żadnych ripost, żadnego tłumaczenia się. Po jakimś czasie odpuszczamy.

Zamówione dania wyjeżdżają z kuchni w rytmie włoskiej muzyki sączącej się z głośnika nad drzwiami. Kelnerka stawia przed Libertynem talerz makaronu w sosie pomidorowym.

– *Ciao bella, bellissima, spaghetti, pizza* – rzuca Ville z nadętym urokiem w stronę kelnerki i puszcza jej oczko. Potem zwraca się do Roberta:

– Dziękuję za dziecięcy makaron, amore mio.

Zanim chłopak zdąży zareagować, Libertyn całuje go w policzek.

– Nienawidzę cię – stęka Rob, zasłaniając twarz serwetką.

– A ja się tam przyzwyczailem – mruczy Thomas. – Daj buziaczka – dodaje i pochyla się do Villego.

Libertyn teatralnie patrzy na niego z dołu, po czym nachyla się i szybko muska jego usta. Kamera łapie ten moment idealnie krótki, niewinny, ale z pieprzykiem.

– To się nie spodoba widzom – mruczy Robert kręcąc głową.

– Nie będziemy ukrywać naszej miłości tylko dlatego, że ktoś śpi sam! – oznajmia Thomas z szerokim uśmiechem.

W tym czasie kelnerka stawia przed nim parującą ośmiornicę. Ville rzuca okiem na talerz i od razu się wzdryga.

– Mamma mia, to się rusza! – jęczy.

Ostatni kadr otwiera się na szaro–czarne wnętrze tourbusa. Jest przytulnie, lekko bałaganiarsko – jak zawsze gdy trzeba się pakować i jechać w dalszą drogę. Z głośników sączy się jazz. Ville siedzi na kanapie, z nogami podwiniętymi pod siebie, z miną filozofa bez katedry.

– Zjadłbym pizzę... – zaczyna półgłosem, ale zaraz unosi rękę z kartonem. – Właściwie jem. Uwielbiam hawajską, ale zaraz będzie, że jestem wieśniakiem. No w sumie jestem, mieszkam na wsi pod Londynem...

Bierze kawałek pizzy i żuje z namysłem.

– Rob, co ty na to? Bo nie wiem, co gorsze: ananas na pizzy czy puste łóżko?

Chłopak nie odpowiada. Pokazuje znak wisielca. Jego spojrzenie spod oka mówi wszystko.

Kamera oddala się powoli aż w końcu zostaje tylko odbicie ich sylwetek w oknie i światła Mediolanu za szybą.

Sandra przeciąga się z westchnieniem, a jej włosy znowu lądują na twarzy Thomasa. Ten, mając już tego dość, bez słowa odsuwa się i jednym ruchem naciąga jej kaptur na głowę, przygniatając wszystkie niesforne pasma.

Dziewczyna zamiera na sekundę, po czym rzuca mu obrażone spojrzenie spod materiału.

– Dajcie kolejny odcinek, jeszcze nie ma północy – mówi, ściągając kaptur po czym związuje włosy frotką.

– Oho, to będzie ciekawe – rzuca Mia przewijając coś w telefonie. – Zaraz zaczniecie się tłumaczyć z używek.

– Pamiętam. To po tym odcinku twoi studenci zaczęli coś podejrzewać, prawda? – dopytuje Paul.

– Chyba właśnie tak było.

Jari, który przez ostatnie pół godziny stroił gitarę, zatrzymuje palce na jednym z kluczy. Na moment unosi wzrok. Ta historia brzmi znajomo dla wszystkich... poza nim. Jeszcze wtedy nie był w zespole, nie zna wszystkich ploteczek. Uśmiecha się lekko, bardziej do siebie niż do reszty. Mógłby zapytać o

tych „studentów”, ale to nie w jego stylu. Wraca do strojenia gitary, spokojnie z cichą nadzieją, że za chwilę wszystko i tak się wyjaśni.

A na ekranie pojawia się tytuł kolejnego epizodu: *Grupa wsparcia*.

Odcinek otwiera szeroki kadr z lotu ptaka: garstka rowerzystów – Liberty Fade sunie leniwie po amsterdamskich uliczkach. Lipiec pachnie rozgrzanym brukiem, kanałową wodą i syropem karmelowym z pobliskiej budki z ciastkami. Słońce świeci nisko i ostro; nikt nie zakłada bluzy, za to okulary przeciwsłoneczne to absolutna konieczność.

Zespół mknie ulicami. Prowadzi Emma – skupiona, uśmiechnięta, bardziej modelka niż przewodniczka. Kraciasta sukienka z paskiem odsłania długie nogi, modne okulary dopełniają elegancji.

Za nią jedzie Thomas. Bez czapki i słuchawek, a to rzadkość. Nie żartuje, nie śpiewa, nie filmuje. Chłonie miasto, czekając, aż zrozumie to później. Dłonie trzyma pewnie na kierownicy. Milczy. Zwykle o tej porze ma w płucach kilka spokojnych wdechów, skręconych rano w hotelowej łazience. Dziś jest czysto. Sam to zaproponował: „Amsterdam działa mi na głowę, nie potrzebuję filtrów”.

Ville jedzie trzeci. W codziennym makijażu, pomalowane oczy, coś błyszczącego na powiekach. W ręce trzyma butelkę z wodą i plasterkiem cytryny. Popija co chwilę, jakby bardziej bał się odwodnienia niż śmierci. Twarz ma spokojną, lekko zdystansowaną, ale zbyt często zerka przed siebie z irytacją. Ta przejażdżka go nudzi. Tempo jazdy jeszcze bardziej. Ma świetną kondycję, mógłby spokojnie jechać dwa razy szybciej, zostawić ich w tyle, wypruć się gdzieś na szosie albo pod górkę. Cokolwiek, byle się zmęczyć, spociec, poczuć ciało. Ale Amsterdam nie daje mu tej możliwości. Tu wszystko się toczy, łagodnie, płasko, uprzejmie.

Ville poprawia fryzurę w odbiciu szyby tramwaju. Czuje, że ciało domaga się wysiłku, ruchu, większego tętna. A on tkwi na tym miejskim rowerze, w turystycznym tempie, między Paulowym aparatem a Robową frustracją.

Paul zamyka peleton. Jedzie wolno, aparat zawieszony na szyi, co jakiś czas zatrzymuje się na sekundę, by zrobić zdjęcie. Kamienica, sztyld, krzywy rower oparty o hydrant. Detale. Zawsze detale. Kiedy mijają uliczny targ z kwiatami, spogląda w bok i dostrzega pszczołę uwijającą się między główkami lawendy. Zwalnia, robi zdjęcie w locie. Później zatrzyma się jeszcze przy stojaku z miodami i porówna słoiki wzrokiem człowieka, który wie, ile pracy kosztuje każdy gram.

A Robert? Rob jęczy. Głośno, dramatycznie, jakby miał zaraz zemdleć.

– Motocykl, błagam. Cokolwiek, byle nie to. Mam skurcz w udzie i nie wiem, czy to fizyczne, czy emocjonalne.

Emma odwraca głowę przez ramię, nie zatrzymując się ani na moment.

– Jako jedyny z nas masz rower elektryczny i jeszcze marudzisz. Weź się w garść, delektuj się ciszą. W jej głosie słycać lekką frustrację, zmieszaną z opanowaniem. Ton osoby, która nie pozwoli, żeby ktoś rozwalił jej plan dnia.

– Ja nie jestem stworzony do ciszy – mruczy Robert, zerkając na swój cień na asfalcie. – Ja jestem stworzony do hałasu i oktanów.

– A ja do liderowania – rzuca Emma beznamiętnie. – Vondelpark za pięć minut. Postój.

Zjeżdżają z głównej ścieżki i skręcają w zieleń. Vondelpark w pełnym słońcu. Tłumy, ale nie nachalne. Ludzie leżą na trawie, jedzą, czytają, grają na gitarach.

Robert zeskakuje z roweru i w sekundę kładzie się na ziemi. Leży jak rozstrzelany, z rozrzuconymi ramionami. Wzdycha teatralnie.

– Jeśli ktoś mnie zapyta, co to znaczy cierpieć, pokażę mu rower miejski.

Thomas zdejmuje plecak i rozgląda się dookoła zatrzymując wzrok na dwóch ładnych dziewczynach.

Ville siada na ławce. Wyciąga z kieszeni małe lusterko, poprawia kreskę pod okiem. Robi to spokojnie, metodycznie, jakby zaraz miał zagrać koncert. Chwilę później znika z kadru.

Kamera przesuwa się na Paula. Zdejmuje aparat z szyi i powoli chodzi między drzewami. Fotografuje: plamy światła na trawie, liście błyszczące po deszczu, krzew z białymi kwiatami, Thomasa rozmawiającego z dwiema nieznanymi przy fontannie i wreszcie Libertyna w objęciach brunetki w długiej sukience w kwiaty. Cicho się śmieją. Ville pochyla się powoli, nachyla do pocałunku, który dziewczyna odwzajemnia spokojnie, z lekkością, jakby całowali się w innym tempie niż reszta świata. Paul nie komentuje. Po prostu robi zdjęcie, ciche, czułe, szczere.

– Libertyn po prostu... lubi lato – mruczy sam do siebie.

Kamera przenosi się do pokoju hotelowego. Jest cicho, statycznie, bez migających świateł. Wszyscy siedzą na wygodnych sofach, rozleniwieni po koncercie. Kilka puszek coli stoi na niskim stoliku, jedna już się poci, zostawiając krąg na drewnie. Thomas coś mieli w dłoniach. Ville czyta książkę. Emma siedzi prosto z podbródkiem lekko uniesionym do góry, coraz lustruje resztę zespołu.

– No, kto pierwszy się spowiada? – rzuca Robert, podciągając nogę na fotel.

– Może ja – mówi Emma z triumfem w głosie. – Ja nie mam sobie nic do zarzucenia.

Ton, w jakim to wypowiada, wywołuje już pierwsze uśmiechy. Jest w tym nuta wyższości, coś z dumnego prymusa na apelu.

– To, że jesteśmy zespołem rockowym, nie znaczy, że mamy pić i ćpać na umór. Oczywiście nie jesteśmy święci, ale uważam, że daleko nam do nałogów – mówi dalej. Wskazuje na siebie teatralnym ruchem dłoni. – Ja na przykład nigdy nie spróbowałam prochów. Ani dopalaczy, ani żadnego zielska. Jestem czysta.

Robert potakuje, Paul wyciąga rękę po puszkę, ale nie odrywa wzroku od Emmy. Ville patrzy gdzieś w bok, jakby słuchał tylko jednym uchem.

– Jeśli chodzi o alkohol – kontynuuje Emma z dumą – to nie jestem abstynentką, ale nie piję między koncertami. Nie wyobrażam sobie wejść na scenę z kacem. Mam słabą głowę. Znam swoje ograniczenia.

Thomas i Ville parskają prawie jednocześnie. Nie dlatego, że Emma kłamie – bo to akurat prawda. Ale sposób, w jaki to mówi, przypomina im wszystkie te momenty, w których dziewczyna odpowiada za punktualność i harmonogram.

Robert bierze łyk piwa bezalkoholowego i odstawia puszkę na stolik z miękким stuknięciem.

– Nie jestem święty – mówi tonem, który nie szuka ani poklasku, ani rozgrzeszenia. – Próbowałem tego i owego. Lubię napić się piwa na imprezie, czasem czegoś mocniejszego. Ale w trasie? W trasie rzadko imprezujemy. Libertyn wymaga perfekcji, więc najczęściej robimy próby gdzie się da. Hotele, garderoby,

nawet korytarze. Jeśli się bawimy, to raczej tak jak wyglądało to w Mediolanie – mówi z lekkim uśmiechem, nawiązując do znanego widzom odcinka.

Sięga po puszkę jeszcze raz, obraca ją w dłoniach, nie patrzy w kamerę.

– Między trasami mam inne rzeczy do roboty niż chlanie na umór. Mam swoje motocykle. Klub. I prawdę mówiąc świeża głowa to podstawa. Czasem, kiedy jest luźniej w trasie, wypożyczam gdzieś motorek i jadę przed siebie. Zdarza się ktoś z zespołu jedzie ze mną. Lubię to. Cisza, asfalt, trochę prędkości. To mnie czyści.

Unosi brew, jakby miał zaraz zakończyć temat, ale jeszcze dorzuca coś półgłosem:

– Jeśli chodzi o prochy – nic mocniejszego poza ziołem. I to też rzadko, niechętnie. Nie jestem fanem odklejania się od rzeczywistości.

Wszyscy słuchają go w ciszy. Paul kiwa lekko głową. Emma się nie odzywa, ale jej twarz zdradza, że zyskał u niej kilka dodatkowych punktów.

Paul siedzi bokiem, z jedną nogą podciągniętą na sofę. Zdejmuje czapkę, przeczesuje dłonią włosy i mówi spokojnie, bez owijania w bawełnę:

– Zioło ryje mi beret. Próbowalem innych rzeczy, wiadomo, jak każdy w tym środowisku – przystaje na moment, patrzy na Emmę z wysoko zadartym podbródkiem i pośpiesznie się poprawia – jak większość w tym środowisku. Ale szybko się zorientowałem, że to nie dla mnie. Jestem człowiekiem spokojnym. Kocham naturę, piesze wycieczki, łowienie ryb... Ostatnio pszczoły. Sam robię piwo i wino dla siebie, dla rodziny, znajomych. Ale to raczej rytuał niż używka.

Kamera powoli przesuwa się na Thomasa. W jego uśmiechu i spojrzeniu widać, że „próbował tego i owego”.

– Zaczynałem jako młody DJ w podziemnych klubach. Taki klimat: dym, stroboskopy, ludzie, którzy nie śpią po trzy noce. Zioło? Lecią na porządku dziennym, serio. Dla mnie to był standard. Po mocniejsze rzeczy sięgałem rzadziej, raczej przy większych imprezach jak ktoś przyniósł lub samo wpadło pod rękę. Bardziej dla zabawy niż z potrzeby.

Robi pauzę, rozgląda się po pomieszczeniu próbując zebrać myśli.

– To był świat, w którym to się po prostu działo. I wtedy przyszedł lockdown. Wszystko zamknięte, zero imprez, zero grania. Pamiętam, że siedziałem w domu i miałem wrażenie, że ktoś nagle zgasił cały klub i nie tylko światła, ale też sens. I wtedy zadzwonił Libertyn.

Zerka w stronę Villego, który siedzi spokojnie z butelką wody.

– Wpadam do domu Rianów w Surrey, myślę: pewnie jakiś luz, może coś zajaram w towarzystwie, może chociaż jakieś piwko... A tam?

Marszczy brwi, lekko kręci głową i rozkłada ręce z bezradności.

– Kurdupel wsuwa marchewki, popija wodą z cytryną, Rob wertuje katalogi motocykli, Paul analizuje mapy szlaków turystycznych, Emma mówi o drewnie i miłości do włoskiego designu. I zero dymu. Zero flaszek. Zero „czegokolwiek”. Po prostu: próby, siłownia, spacer z psem. Libertyn nie usiedzi pięciu minut – ciągle coś.

Thomas wzdycha z uśmiechem.

– Po takim dniu masz ochotę tylko na zimny prysznic i ciszę. Serio. Nawet nie myślisz o tym, żeby coś palić. A że wszyscy tam żyją, jakby byli ambasadorami trzeźwości, to i mnie przeszło. Tak się

odzwyczailem, że dziś... szczerze? Nie tęsknię. Nawet rzuciłem palenie. Ville wciągnął mnie najpierw w deskorolki, potem zakochałem się w BMX-ach. Freestyle, skoki, jazda na maksa – to mnie kręci bardziej niż jakiegokolwiek używki. I daje większy haj.

Opiera się wygodniej na sofie, splata ręce za głową.

– Między koncertami? Nie ma mowy, żebym miał kaca. Kurdupel nas goni, jest perfekcjonistą jak cholera. Każda próba musi być czysta. Jasne, czasem coś się zdarzy – nie jestem święty. Ale jeśli już impreza, to zawsze kontrolowana. A zioło? Zestarzałem się. Serio. Ostatnio w ogóle mnie nie ciągnie. Zwłaszcza w Surrey u Rianów w domu...

Ville nagle się wtrąca, udając oburzenie, choć śmieje się już w połowie zdania:

– Mama ostatnio wyczuła, że coś palił. Goniła Thomasa po ogrodzie, zabrała mu skręta i... zdeptała go obcasem.

Thomas kiwa głową z powagą, tylko częściowo udawaną.

– Zwykle zioło, serio. A czułem się, jakbym próbował przemycić bombę nuklearną przez granicę. Pani Mirayya nie odpuszcza.

– Pani Mirayya daje dwa ostrzeżenia – dorzuca Robert. – Za trzecim razem, jeśli cię przyłapie ze zwykłym papierosem, dostajesz wiadrem lodowatej wody. Chcesz palić? To poza domem. Znaczy za bramą.

Wszyscy przytakują z rozbawieniem, bo każdy już kiedyś przerabiał to wiadro.

Teraz kolej na Libertyna. Ville sięga po kawałek jabłka, chrupie głośno i z błyskiem w oku zaczyna:

– Mój organizm nie toleruje alkoholu. Poważnie. Wypiję odrobinę za dużo i przez dwa dni umieram. Dlatego na imprezach kończę na jednej szklance whisky, bez lodu i coli im paskudniejsze, tym lepiej – potakuje z powagą. – W życiu byłem pijany może trzy razy. Raz nawet oświadczyłem się... koledze. Ale to historia na inny odcinek. Spróbowałem też zioła i głos mi siadł. Potem ekstazy... skończyłem na SOR-ze. Wystarczyło.

Wzrusza ramionami.

– Nigdy mnie to nie kręciło. Sprawdziłem, jak działa, i tyle. Lubię sport, ruch, adrenalinę. I rzygam po nikotynie.

Zawiesza się na sekundę, po czym uśmiecha się zawadiacko.

– Imprezy? Kocham. – Rzuca porozumiewawcze spojrzenie zespołowi. – Ale serio, do dobrej zabawy wcale nie trzeba być nawalonym.

Thomas kiwa głową, a Paul chichocze pod nosem. Kamera zatrzymuje się na twarzy Villego – pogodnej, lekko ironicznej.

– Jesteśmy bardziej jak grupa wsparcia niż zespół rockowy. Co jest z nami nie tak?

W tle słychać już tylko śmiechy. Obraz powoli ciemnieje. Koniec odcinka.

Jari odkłada gitarę na bok, bierze łyk drinka, poprawia się w fotelu i przeciąga z zadowoleniem.

– No proszę... jacy grzeczni, poukładani – rzuca półzartem, zerkając na Thomasa.

Robert sięga po telefon leżący na oparciu kanapy, odblokowuje ekran i zaczyna scrollować.

– A wiecie, że po tym odcinku dostaliśmy trochę hejtu? – mówi z lekkim uśmiechem.

Zatrzymuje się na jednym z komentarzy i czyta na głos:

– „Fajnie, że nie pijecie. Ale trochę to wygląda, jakbyście się bali życia. Gdzie adrenalina, gdzie chaos, gdzie bałagan?”

Paul przeciąga się i ziewa, podciągając nogi pod siebie.

– Tak, ale tego było naprawdę mało. I tak się utopiło w fali dobrych komentarzy. Poza tym coraz więcej muzyków i artystów jest świadomych i mówi o tym coraz głośniej. To nie lata siedemdziesiąte.

Rami nachyla się w stronę Mii, całuje ją w rękę, po czym kieruje wzrok na zespół.

– Zawsze byłem z was dumny – mówi spokojnie. – A najbardziej z Thomasa. Bardzo się zmienił. I to bez żadnej terapii. Nikt go nie musiał ratować.

– To dawało poczucie luzu – mówi, unosząc wzrok i wzdychając cicho. – I iluzji, że wszystko mam pod kontrolą, że jestem ponad tym całym syfem. I tak szczerze? – zwraca się do Villego. – Nigdy ci nie podziękowałem, że wyciągnęłaś mnie z mojego towarzystwa.

Ten przybija z nim żółwika, bez słów, bez patosu.

Rose, oparta o poręcz kanapy, unosi brew z udawaną powagą.

– Wy to jesteście dwa ancymony. I uwierzcie mi, kolejny odcinek pokaże to bardzo dobrze.

– Ale nie dziś. Dziś już mam dosyć – mruczy Ville przeciągając się szeroko.

Rob patrzy na niego i ziewa odruchowo. Paul też przymyka oczy, a Emma przykrywa się kocem. Suczka Echo przeciąga się jeszcze raz i wzdycha głośno, jakby potwierdzała, że pora się zbierać.

Wtedy nagle Sandra prostuje się na fotelu odgarniając swoje blond włosy.

– Ej, ale zaraz! Ja się nie zgadzam! Co to za teorie spiskowe studentów Mii? O co chodzi?

– Ja też chcę wiedzieć – mówi cicho Jari z lekkim uśmiechem na twarzy i ulgą, że to nie on musiał pytać.

– Dobrze – odpowiada Mia lekko zmęczonym głosem. – Opowiemy wam wszystko. Ale... jutro.

Rozdział 6

Mia Rian czy Miraaya Rathore.

Środek tygodnia, zbliża się ósma rano. Rezydencja powoli budzi się do życia, ktoś przechodzi przez korytarz z laptopem pod pachą, ktoś poprawia koszule przed zejściem na dół, ktoś jeszcze rozciąga się przy balustradzie zbierając siły na to co ma nastąpić. Słyszą kroki, szelest ubrań, rozmowy z drugiego końca salonu oraz dziecięcy śmiech. Dom tętni cichym, porannym rytmem, każdy wie, gdzie iść, co robić, o której wyjść.

Jari nie może usiedzieć w miejscu. Od rana przestępuje z nogi na nogę przy drzwiach czekając na sygnał do startu. Co chwilę zerka w kierunku zegara, sprawdza, czy torba jest dobrze zamknięta, czy kurtka nie ma zagnieceń. Zdecydowany, skupiony, gotowy. Mimo że w domu słychać śmiechy i zapach kawy kusi, jego energia idzie w inną stronę. Szybkość, dyscyplina, zadanie. Na jego twarzy widać cień rozczarowania bo historia Mii, ta ze studentami, będzie dopiero przy kolacji. Jako były wojskowy ma słabość do wszelkich teorii spiskowych i opowieści „zza kulis”, ale wie, że teraz nie pora. Przeciąga się jak zawodnik przed biegiem, kręci głową próbując odgonić pokusę zostania jeszcze na moment. W końcu chwytając torbę, rzuca krótkie „do zobaczenia” i wychodzi. Dziś poprowadzi wykłady dla kursantów na szybowce. To jego pasja, jego przestrzeń. Potem czas z Oskarim, nastoletnim synem, a późnym popołudniem próba zespołu, już tu w rezydencji. Ma wszystko zaplanowane, krok po kroku. Dzień intensywny, taki, jak lubi.

Domownicy powoli schodzą się do kuchni. Krzesła są odstawiane, czajnik wyłącza się z cichym kliknięciem, szuflada z łyżkami zasuwana się jakby sama. Na blacie migają powiadomienia z telefonów i tabletów, na stole leżą okruchy po śniadaniu najmłodszych. Kamery są już włączone. Poranki u Rianów, zwłaszcza teraz, gdy dom tętni obecnością gości, to kopalnia ciepłych rozmów, żartów i drobnych zdarzeń, które bez trudu mogą stać się częścią nowej serii Liberty Fade Life.

Przy wyspie kuchennej siedzi Wendy ze słuchawkami na uszach. Laptop otwarty, obok zeszyt zapisany drobnymi japońskimi znakami. Co chwilę coś notuje, zatrzymuje się, skreśla i zaczyna od nowa. Na ekranie migają kolejne maile.

Obok siedzi Rami, jak zawsze o nienagannym wyglądzie, nućąc coś o *przemijaniu* szykuje sobie kanapki, które jak doskonale wie zostaną zmiecione kiedy tylko reszta ekipy zejdzie na dół. Rose, przy ekspresie, z jedną ręką na uchwycie filiżanki, drugą poprawia kosmyk włosów za uchem. Zerka na małe kanapkowe dzieła sztuki szykowane przez jej teścia.

Amidala zajmuje miejsce koło dziadka. Co raz otrzepuje okruchy ze swojego mundurka poprawiając przy tym emblemat elitarniej, prywatnej szkoły w Helsinkach. Dziewczynka powoli kończy swoje śniadanie i wzdycha jakby właśnie myślała o *przemijaniu*, gdy Ville podchodzi do niej scenicznym, powolnym krokiem, z teatralnym zawrotem głowy i dramatycznym gestem wskazuje zegarek, który ledwo wystaje spod rękawa jego eleganckiej marynarki.

– No, moja panno, zaraz spóźnisz się na lekcje. Mam nadzieję, że odrobiłaś pracę domową. Dziewczynka przewraca oczami i lekko kręci głową. Łyżka wpada do naczynia z resztą mleka z cichym stuknięciem.

Rose spogląda na Villego z tym swoim klasycznym „serio?”

– Błagam, nie zamieniaj się doktor Rathore... – i dodaje, widząc Mię wchodzącą właśnie do kuchni – ...znaczy w moją ukochaną teściową.

Mia wpada lekkim, pewnym krokiem, przechodzi nad Echo która idealnie leży na środku między lodówką, a zlewem.

– Dzieciaki, to jakie mamy plany na dziś?

– Jadę z ojcem do wytwórni – odpowiada Ville, już sięgając po kanapkę z talerza Ramiego – mamy trochę pracy i spotkanie z działem finansowym. Pewnie księgowa znowu będzie nas ochrzaniać.

Mia krzywi się instynktownie; słowo „księgowa” wywołuje na jej twarzy grymas jak łyk kwaśnej cytryny. Tuż za nią Rose mijają Ramiego, jednym płynnym ruchem zgarnia jego kanapkę i odsuwa się z triumfalnym błyskiem w oku, a teść rzuca jej teatralnie groźne spojrzenie.

– Ja podłapałam fajne zlecenie, popracuję w domu – mówi wesoło – ale najpierw odwiozę Amidalę do szkoły, a po południu idę do kosmetyczki.

Ville z westchnieniem osuwa się na hoker, opiera łokieć o blat i podpira brodę, jakby nagle ujrzał raj.

– Też bym poszedł do kosmetyczki... – ożywia się – A co to za zlecenie?

– Podobnie jak ostatnio – włam na stronę...

Ville podchodzi do niej, obejmuje od tyłu, dłonie zsuwają się na jej biodra.

– Ja cierpię na brak kadry przy programie, a moja ukochana znowu będzie klepać w klawiaturę... – i w odwecie klepie ją po pupie – Mam nadzieję, że chociaż kupisz mi waciki.

– Po pierwsze, masz ekipę do programu. Po drugie, to świetna fucha. I tak, kupię ci waciki. Mam wrażenie, że zjadasz paczkę na śniadanie.

Po czym szczypie go w rewanżu, Ville odskakuje; kuchnia wybucha śmiechem jak zapalnikiem.

– O rany, zaraz muszę wychodzić – mruczy Emma patrząc na zegarek. – Dziś wielki dzień – przywożą monstrum ze Szwecji. Wrócę późno.

– Co przywożą? – pyta Amidała, spijając resztkę mleka prosto z miski.

– Trak taśmowy. Kiedy go uruchomimy, to zabiorę cię i pokażę wszystko.

– Trak to maszyna do cięcia kłód na deski lub belki – Rami tłumaczy, patrząc na wnuczkę z powagą wykładowcy.

– Bardzo chętnie zobaczę tego potwora, już sobie wyobrażam jak lecą wióry. Uwielbiam zapach ciętego drewna.

Na sekundę wszystko cichnie jedynie ekspres syczy, a w powietrzu zdaje się krążyć nuta wymaglinowanych trocin. Emma wykorzystuje ten moment – chyłkiem zsuwa kolejną kanapkę z talerza Ramiego.

– Hej! To moje! Łapska przy sobie!

– Chyba ci się troszkę przytyło, tatusiu... – rzuca klepiąc ojca po brzuchu.

– Oczywiście, że tak – wtrąca Mia, wchodząc w rozmowę bez cienia litości. – Tylko czekać, aż się zapuści. Podobno zaczyna się od brzuszka, a kończy na dziurawych skarpetach.

Rami siedzi bokiem przy kuchennym blacie, z nogą zarzuconą na nogę, i patrzy z namysłem na swój biceps, jakby właśnie rozważał powrót na siłownię.

– Zejdźcie ze mnie! Te rodzinne wieczory z paluszkami i krakersami zrobiły swoje. – Podciąga koszulkę i poklepuje się po brzuchu z udawaną rezygnacją. – Ale spokojnie, przyjdzie wiosna, to zrzucę parę kilo.

Sandra przechodzi właśnie z kubkiem herbaty, słysząc końcówkę zdania.

– O co wam chodzi? Rami świetnie wygląda.

– Dziękuję bardzo. A z ciebie niezła laska. Wiesz, że z takim uśmiechem można wyrządzić poważne szkody? Na przykład doprowadzić rockmana do utraty wątku?

Sandra unosi brew, zadowolona z komplementu. Mia, oparta o kuchenny blat, kiwa głową z rozbawieniem.

– Ty flirciarzu! – rzuca z przymrużeniem oka w stronę dziewczyny. – Nie psuj zabawy Sandra, tak okazujemy sobie miłość w tej rodzinie.

– Nie mogę się przyzwyczać, wybaczcie.

– Wybaczymy! – odpowiadają chórem Rianowie.

Wendy zamyka notatnik ze swoimi japońskimi zapiskami i nie podnosząc wzroku znad monitora mówi:

– Paul ostatnio spał w dziurawej skarpetce... nie wiem, co o tym sądzić.

– W życiu bym sobie na to nie pozwolił – mówi Ville, przewracając oczami i poprawiając rękaw, jakby właśnie przeszedł kontrolę jakości.

Emma podnosi głowę znad kubka:

– Dziurawe skarpety to jeszcze nic. Dla mnie najgorszy u chłopów jest zarost. W uszach, w nosie. Fúj.

– Ble, to jest obrzydliwe – Amidała aż się wzdryga. – Tato, ty też masz włosy w uszach?

– Po to chodzę do kosmetyczki, żeby nie mieć! – odpowiada Ville podnosząc głowę z godnością.

– Mi wystarczy trymer. Po co kosmetyczka? – mówi Paul wchodząc do kuchni.

Wendy nachyla się lekko i z uśmiechem zagląda mu do nosa i kiwa głową z aprobatą. Emma bez słowa podchodzi do basisty, przygląda się jego uszom jak technik na przeglądzie gwarancyjnym, po czym pokazuje kciuk w górę. Później coś mu szepcze, a Paul reaguje głośnym oburzeniem:

– No wiesz! Wendy, to było lekkie przetarcie na pięcie!

Ktoś parska. Ktoś krztusi się herbatą. Wszyscy wybuchają śmiechem. Po chwili zapada krótkie zawieszenie – z rodzaju tych, które pojawiają się tylko w dużych domach, gdy ktoś akurat czegoś szuka lub sięga po coś jednocześnie.

Tymczasem progu kuchni pojawia się Thomas. Jest jeszcze w piżamie, włosy potargane, zaspany jak po pięciu minutach snu. Drapiąc się po głowie, podchodzi do stołu i bezceremonialnie kradnie kolejną kanapkę z talerza Ramiego.

– Nienawidzę cię – mówi mężczyzna z kamienną twarzą, ale nikt się nie nabiera.

Sandra uśmiecha się, przyciąga swojego chłopaka do siebie dając mu buziaka w czoło pyta:

– O co dziś będzie robił mój kochany DJ? Znowu targi?

– Tak – rzuca wesoło Thomas – W zasadzie zaraz muszę wychodzić. Mam kilka spotkań i całą listę zadań od ojca.

Mia, zapinając zegarek na nadgarstku, włącza się:

– Może i ja bym pojechała na te targi? Co tam konkretnie będziesz oglądać?

– Zależy mi na podłapaniu dostawców części do robotyki. Byłoby miło, gdybyś pojechała ze mną.

– Świetnie, spotkamy się na miejscu!

Ville wzdycha przeciągle, teatralnie:

– Też bym pojechał na te targi, ale... księgową.

Mia znowu marszczy nos, jakby to słowo ją fizycznie bolało. Thomas parska i klepie Villego po plecach: – Pamiętasz targi sprzętu muzycznego? – zwraca się nagle do jednej z kamer, jakby nigdy nic. – Kiedy zobaczył pianina, to cały się obśliął, zaatakował handlowca i zadawał mu milion pytań, aż gość się zagotował. A potem zebrał się tłum fanów wokół nas. Oczywiście byliśmy „anonimowo”. Przynajmniej teoretycznie.

Śmiech rozlewa się po kuchni. Ekspres znów paruje, ktoś dopija kawę, ktoś już szuka kluczy. Dom płynie dalej – jak dobrze zgrana orkiestra przed dniem pełnym prób. Nagle Wendy, wciąż siedząc przy laptopie, rzuca soczyste przekleństwo – krótkie, głośne i absolutnie niecenzuralne.

– Wendy! Słownictwo! – woła z oburzeniem Amidala, podnosząc wzrok znad pustej miski, jak mały sędzia moralności.

– Wybacz, kochanie. Na drugi raz zrobię to inaczej – odpowiada Wendy bez większej skruchy... i bez zawahania rzuca pełną wiązkę po japońsku, nawet nie odrywając palców od klawiatury.

Amidala wstaje, poprawia rękawy swojej sukienki ruchem godnym przemówienia na forum ONZ. Mówi spokojnie, jakby zaraz miała wystąpić w programie dokumentalnym:

– Ja to tej pracy przy komputerach, tego całego home office, nie rozumiem – oznajmia z przekonaniem.

– Dziewczyny nic nie robią.

W kuchni zapada nagle cisza. Wszyscy zamierają w bezruchu. Ami patrzy po zebranych bez cienia wahania i kontynuuje z pełnym zaangażowaniem, już w rytmie wykładu:

– Wendy tylko siedzi i klnie pod nosem po japońsku. Mama? Klepie w klawiaturę i śmieje się szyderczo do monitora. A najgorsza Sandra – rysuje jakieś kreski i twierdzi, że to kratownica, choć rysunek nie jest nawet w kratkę!

Paul wkłada bułkę do ust i zastyga, Robert patrzy w okno z absolutną koncentracją na... cokolwiek, byle nie Ami. Ville zaciska wargi. Ale Amidala w ogóle tego nie zauważa bo już jest w trybie pełnej analizy.

– Za to babcia Mia wykłada na seminariach i spotyka się z ważnymi ludźmi, dziadek Rami robi super projekty muzyczne. Emma zarządza firmą, w której maszyny do drewna chcą cię pożreć żywcem.

Ville prawie dławi się krakersem. Paul i Robert wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, dalej udając, że widok za oknem to coś niesamowitego. Amidala jednak nie przestaje, teraz już z pasją:

– Ale szczerze mówiąc, dla mnie najciężej pracują chłopcy z Liberty Fade. Próby, nagrania, koncerty. A do tego wszystkiego... tata liczy pieniądze w RRstudio, Paul prowadzi gospodarstwo, Rob ma klub, Jari uczy ludzi latać, a nawet Thomas wziął się ostatnio do roboty.

Dziewczyny nie wytrzymują. Wendy aż podskakuje na stołku, z laptopem chwiejącym się na kolanach:

– No wiesz! Jak tak możesz?! Użeram się z klientami od rana do nocy!

Amidala spogląda na nią z kamienną twarzą i bez mrugnięcia okiem odpowiada:

– Jesteś w piżamie.

Cisza. Absolutna. Przez sekundę nikt się nie rusza. Potem Mia parska śmiechem, podchodzi do wnuczki i przyciąga ją do siebie, przytulając mocno i całując w policzek. Ami wtula się z dumą, jakby właśnie zakończyła bardzo ważne wystąpienie. Chłopcy z Liberty Fade wymieniają spojrzenia pełne samozadowolenia. Ville teatralnie zapina niewidzialną muchę pod szyją, Thomas pokazuje dwa kciuki w górę, Paul kiwa głową z miną naukowca, a Robert prostuje się przy drzwiach niczym generał odbierający raport. Wendy zamyka laptop z przesadną ostrożnością próbując ukryć dowody zbrodni.

Sandra tylko kręci głową, ledwo powstrzymując uśmiech. Rose, która do tej pory wycierała blat ściereczką, nagle zatrzymuje się w pół ruchu. Kładzie dłoń na biodrze i spogląda na Ami z miną matki, która nie zamierza wdawać się w dyskusje.

– Czas do szkoły, moja panno! – stwierdza stanowczo, choć w oczach tańczy duma.

Dziewczynka nie oponuje. Zeskakuje z hokera, stuka butami o podłogę i podbiega do Rose, obejmując ją mocno w pasie.

– Ale i tak fajnie jest mówić, że mam mamę hakerkę – szepcze wesoło i całuje ją w policzek.

Rami przeciąga się na krześle i rzuca z zadowoleniem, jakby podsumowując wszystko, co właśnie się wydarzyło:

– Kocham was, ale jednocześnie nienawidzę. To emocjonalna schizofrenia w czystej postaci.

Spojrzenia wędrują na czerwony zegar na ścianie, którego wskazówki wyglądają jakby się rozpuszczały

– jak u Dalego. Pora ruszać. Dom się opróżnia, kurtki lecą z wieszaków, torby lądują na plecach, drzwi się otwierają i zamykają. Dzień pracy się zaczyna.

Mia dojeżdża na targi. Jest gwarно i tłoczno, ktoś się spieszy, gdzieś dzwoni telefon, ktoś się wyklóca o rezerwację, głośnik zawodzi niskim *“Please enter through Gate B”*. Thomas siedzi na murku, z głową schowaną w kapturze, czapka z daszkiem wciśnięta głęboko na oczy. Scrolluje telefon z miną człowieka czekającego na ekipę do jazdy na deskorolce, a nie na spotkanie technologiczne. Obok, z miękkim stukiem obcasów, przystaje kobieta. Obcisłe szare džinsy, czarna kangurka, ciasno związany kucyk. W ręku kawa w papierowym kubku. Zapach cynamonu i jaśminowych perfum zostaje w powietrzu, zanim jeszcze odezwie się cicho:

– Hej.

Thomas unosi brwi i rozdziawia usta. Wygląda, jakby zobaczył zjawisko pogodowe o randze tornada.

– Hej? Pani Rathore?

Wokół ktoś się odwraca. Dwie osoby w garniakach zerkają z dezorientacją, trzecia robi zdjęcie. Mia podchodzi bliżej i syczy konspiracyjnie:

– Cicho, jaka pani?

– Wiesz, zawsze wyglądasz jak miliard baksów, ale teraz... przesłaś samą siebie. Jesteś może wolna?

– Nie. Szybka. I dobrze o tym wiesz. – Nachyla się i mruczy mu do ucha: – Wrum... wrum...

Chłopak parska śmiechem, poprawia czapkę i pyta:

– Wskoczmy później na lunch?

– Jasne. Mam ochotę na burgera. To co, będziesz mnie dalej podrywał, czy idziemy oglądać te twoje roboty?

– Oczywiście. Pani przodem.

Po chwili obydwójce są już w środku. Wysoki sufit odbija metaliczne echa rozmów, stukot obcasów, szuranie walizek na kółkach. Gdzieś brzęczą porcelanowe filiżanki, a z głośników syczy się zapętłona reklama najnowszych systemów automatyki. Hala tętni ruchem – sprzęt miga kontrolkami, stoiska błyszczą od nowoczesnych paneli, a przez przejścia przewijają się przedstawiciele firm i technicy w polowych uniformach. Thomas trzyma kamerę, filmuje z wprawą – dokładne ujęcia, ustandaryzowany komentarz, wszystko zgodnie z instrukcją. To nie pierwszy raz, kiedy ojciec wysłał go na taką misję. Dziś ma zebrać dokumentację i wypytać o konkretne rozwiązania. Zbiera dane techniczne, porównuje,

analizuje. Przy jednym ze stoisk rozmawia z przedstawicielem firmy – zadbanym, nieco zmęczonym mężczyzną. Ten na początku traktuje go jak dzieciaka zagubionego w świecie inżynierii. Ale po kilku pytaniach jego mina się zmienia bo Thomas nie tylko wie, o co chodzi, ale też celnie punktuje potencjalne słabości. Rozmowa robi się rzeczowa. Mia stoi z boku, uśmiechnięta, z założonymi rękami. Czasem sięga po prospekt, czasem zerka na interaktywne ekrany. Lubi towarzyszyć takim młodym „świrkom technologicznym” zwłaszcza kiedy mają w oczach iskrę, a w rękach konkret. Przez ponad godzinę krążą między stoiskami: zatrzymują się, zadają pytania, komentują półgłosem, robią zdjęcia i notatki.

– Zadowolony? – pyta Mia kierując się do wyjścia. – Misja wykonana?

– Tak. Dzięki. Z takim towarzystwem pracuje się jak na planie reklamy: stylowo i bez stresu. A ty? To przecież dla ciebie nic nowego.

– Może nie nowość – odpowiada wesoło – Ale nadal potrafi być fajnie. Więc... lunch?

– Słyszałem, że niedaleko jest amerykańska knajpa. Burgery, frytki, cola w litrach. Co ty na to?

Ona sięga do kieszeni bluzy i wyciąga kluczyki z breloczkiem pandy. Rzuca je w powietrze, Thomas łapie je w locie.

– Ty prowadzisz.

Chłopak patrzy na kluczyk z niedowierzaniem – metaliczny emblemat jasno wskazuje na Lamborghini.

– To są kluczyki od Urusa? Wzięłaś auto Villego?

– On cały czas zabiera moje.

Parskają śmiechem i ruszają przez parking, przyciągając spojrzenia przypadkowych przechodniów.

Dziesięć minut później są już na miejscu. Stoliki z drewna, na ścianach amerykańskie tablice rejestracyjne, za szybą kuchnia otwarta na bar. Mia i Thomas siedzą przy oknie, jedzą hamburgery i żywo gestykują, dyskutując o tym, co widzieli na targach. W między czasie kelnerka przynosi zamówioną szarlotkę z lodami na deser. Mia wącha pięknie pachnące ciasto i przeciąga się w fotelu. Następnie opiera łokieć o oparcie, kładzie podbródek na dłoni i patrzy na Thomasa z lekko przekrzywioną głową.

– Ładny i fajny z ciebie chłopak – mówi z rozbawieniem, puszczając mu oko jakby właśnie wyłoniła zwycięzcę castingu.

Thomas unosi brwi, bierze powolnego łyka coli, po czym odkłada kubek na stół. Uśmiecha się zadziornie, przechyla się lekko w jej stronę.

– A ty masz świetne nogi. Przez ciebie połowa hali zapomniała, po co przyszła. Momentami... czułem się zazdrosny.

Mia zanosí się krótkim śmiechem, odsuwając się teatralnie z ręką na sercu. Ale po chwili jej twarz poważnieje. Nachyla się bliżej, przesuwając serwetkę na bok i kładzie swoją dłoń na jego. Jej głos staje się niższy, ciepły i bardziej osobisty:

– Thomas... następnym razem, zamiast wyważać otwarte drzwi, po prostu przez nie przejdź.

Nie spuszczać z niego wzroku, sięga po telefon, kilka szybkich stuknięć palcami i ekran rozświetla się potwierdzeniem wysyłki.

– Sprawdź skrzynkę. Wysłałam ci to, o co prosiłeś. Możesz działać.

Chłopak sięga po telefon, przegląda wiadomość. Jego oczy robią się duże jak spodki.

– Wow. Naprawdę? Dziękuję... Głupio mi było z tym przychodzić. Nie chciałem cię w to angażować.
– Daj spokój. Żaden problem. Naprawdę. A teraz wracamy. Ville napisał, że mam mu zatankować auto...
– rzuca, nieco zbyt niewinnie.

– Ale tego nie zrobisz?

– No dobrze, zatankuję mu. Ale... trochę mnie kusi. Wiesz, parę zakrętów, trochę lasu, szutrowa droga
– w końcu mamy terenówkę.

Chłopak zastyga w bezruchu. Otwiera usta, ale zanim cokolwiek zdąży powiedzieć, Mia już wstaje, bierze kurtkę, zarzuca ją na ramię i rusza w stronę wyjścia. Po drodze kręci kluczykami na palcu jak rewolwerem. Panda na breloczku podskakuje przy każdym jej kroku. Thomas goni ją szybkim krokiem, z miną człowieka, który za chwilę weźmie udział w nielegalnym wyścigu.

– Mia... ty jesteś niemożliwa – rzuca jeszcze kierując się stroną czarnego Urusa, który odbija się od asfaltu jak uśpiony potwór.

Kilka kilometrów dalej. Zjeżdżają z głównej drogi przez niewielką bramkę techniczną za stacją badawczą. Przed nimi rozciąga się opuszczony tor testowy – dawny plac manewrowy z kawałkami asfaltu, długimi pasmami idealnego szutru i sztucznie usypanymi górkami. Po bokach trochę śniegu, a w zagłębieniach rozlane szerokie kałuże błota i roztopionej brei.

Najpierw robią okrążenie testowe sprawdzając nawierzchnię, gdy wszystko wydaje się być w porządku, Mia zaciera ręce na kierownicy.

– Gotowy?

– Chyba? – odpowiada, przypinając pas, choć już wygląda na lekko spanikowanego.

Nie czekając na pozwolenie, Mia wciska gaz. Urus rwie do przodu z rykiem. Piach i drobne kamyki uderzają o nadkola. Silnik wyje, a auto błyskawicznie wchodzi w pierwszy zakręt, bokiem, w kontrolowanym uślizgu. Mia trzyma kierownicę pewnie, z precyzją zawodowca. Oczy jej błyszczą, usta rozciągają się w dzikim uśmiechu.

– Uwielbiam to!

Thomas krzyczy i śmieje się jednocześnie, kurczowo trzymając się uchwytu nad drzwiami.

– To jakiś kosmos! Libertyn cię zabije!

Ona tylko parska śmiechem i dodaje gazu. Wjeżdżają na lekką górkę, Urus podskakuje i opada miękko na zawieszaniu, z tyłu sypią się kaskady szutru.

Nagle przed nimi rozciąga się błotnista kałuża – przynajmniej kilka metrów śnieżno-brunatnej brei. Auto wjeżdża w nią z pluskiem i rykiem, a błoto rozbryzguje się w każdą stronę, lądując na szybach, nawet na dachu.

– On ci tego nie daruje! Przecież myje to cacko codziennie!

– Lakier to nie wszystko. Dusza auta jest szczęśliwa – rzuca Mia filozoficznie i bierze kolejny zakręt bokiem, dokładnie tak, jakby wróciła do swoich wyścigowych korzeni.

Zjeżdżają z góry, ślizgając się lekko po rozmokłym piachu, potem jeszcze jeden przeskok przez nierówność – koła odrywają się na moment od podłoża – i w końcu wyjeżdżają z toru. Samochód wygląda jak po starciu z brudnym tornadem: zakurzone, ubłocone, z matowymi smugami na szybach i resztkami trawy na oponach. Mia staje na poboczu i odwraca się do Thomasa z triumfującym uśmiechem, jakby właśnie wygrała mistrzostwa świata.

– Mam nadzieję, że wszystko się nagrało. Teraz wracamy do domu. Właśnie zapaliła się rezerwa. Thomas parska cicho śmiechem i patrzy na nią z mieszaniną podziwu i niedowierzania.

– Nie brakuje ci tego? Wyścigów, adrenaliny, zwycięstw?

– Nie. Ponad piętnaście lat byłam związana z rallycrossem. Dużo osiągnęłam w świecie zdominowanym przez facetów. Ale raz na jakiś czas... należy mi się zabawa. Prawdziwa, brudna i bez reguł. Przecież wiesz...

Oboje wybuchają śmiechem. Auto stoi nieruchomo, dymek z rur wydechowych unosi się leniwie, a w powietrzu wciąż czuć zapach mokrej ziemi i zbyt bogatej mieszanki paliwowej.

Słońce już dawno zaszło, jedynie światło z latarni rzuca długie cienie na podjazd. W oddali słychać niski pomruk silnika – czarne Lamborghini powoli wjeżdża za bramę, pokryte warstwą błota, kurzu i śladów po leśnych kałużach. Przy garażu stoi Ville – ręce skrzyżowane na piersi, nogi rozstawione, mina nieczytelna. Ale jego oczy mówią wszystko: ten człowiek przeczuwa tragedię. Gdy Urus zbliża się do garażu, światło latarni odbija się już tylko od fragmentów niesplamionych błotem. Ville patrzy, jak jego ukochany samochód, jego czarne cacko sunie przez podjazd w stanie, którego nie życzyłby najgorszemu wrogowi.

I wtedy wydaje z siebie dramatyczny jęk:

– AAA!!!

Brama podnosi się powoli, z mechanicznym buczeniem, a Mia wjeżdża do środka z gracją, jakby prowadziła limuzynę na czerwony dywan. Auto staje idealnie w wyznaczonym miejscu, silnik cichnie. Drzwi się otwierają, Mia wysiada spokojnie, bez śladu poczucia winy. Thomas za nią – z torbą przerzuconą przez ramię i miną, która oznacza: „to nie moja wina, ja tylko tu siedziałem”.

Ville rusza sprintem. Buty uderzają o kamienny podjazd, rozpięta bluza łopocze jak peleryna.

– Co to ma być?! – krzyczy, zanim jeszcze dobiegł. – Gdzie wy byliście moim samochodem? Na wycieczce po amazońskiej dżungli?!

Mia zamyka drzwi z cichym *klik* i rzuca obojętnie:

– Wjechaliśmy w kałużę.

Ville opada na nogi, jakby dostał w brzuch. Obchodzi swoje Lambo dookoła, dotyka błota na drzwiach, spogląda na zacieki po bokach. Błotnik... lakier... felgi...! Sapie coraz głośniejsze, coraz cięższe. Jakby miał zemdleć.

– W kałużę?! To nie były kałużę, to był bagienny kataklizm!

Patrzy na zasychającą breję na lakierze jego ukochanego samochodu, które przecież miał dziś zatankować i zabrać *na spokojną jazdę po mieście*. Nie po szutrowym torze. Nie przez las. Nie w śniegu i błocie!

– Mam... on był umyty. Wczoraj! Ręcznie! Z woskiem!

– No to już nie jest.

– Jakby co, to ja tylko filmowałem. Później pokaże ci nagrania – dodaje Thomas szczerząc się niepewnie.

Ville zostaje sam. Sam ze swoim brudnym, poranionym Urusem. Opiera się o maskę, spogląda w sufit.

– Oni mnie wykończą... – mruczy.

Późnym wieczorem w Rianhouse panuje ten znajomy, ciepły harmider – ktoś krząta się w kuchni, z góry dobiega śmiech dzieciaków i dźwięk muzyki. Chłopcy wrócili z próby. Ville z rozmazanym eyelinerem, mokrymi włosami i ciałem obolałym od choreografii ledwo trzyma się na nogach. Usiłuje nalać sobie soku, lecz ręce drżą, a każdy ruch przypomina o napiętych mięśniach. Nie skarży się jednak – wie, że show, które tworzą, wymaga nie tylko śpiewu, ale i tańca, gdzie każdy krok jest wyliczony i doprowadzony do perfekcji. Thomas właśnie zakłada bluzę, kiedy dostaje dyskretnego sms-a: „Gabinet. Teraz. – R.R”

Nie potrzebuje wyjaśnienia. Rusza w stronę gabinetu. Po drodze mija Villego, który wpycha sobie zimnego naleśnika do ust i mamrocze coś o „braku godności”.

Chłopak wchodzi do środka, szklane drzwi zamykają się za nim z cichym kliknięciem. Rami stoi obok panoramicznego okna z rękami założonymi za plecami, jak generał przed odprawą. Odwraca się powoli i lustruje Thomasa.

– Masz mi coś do powiedzenia, chłopcze?

Thomas mruży oczy, zdejmując czapkę, podchodzi bliżej.

– ...Nie?

– Na pewno?

– ...Tak? – odpowiada Thomas bez pewności w głosie.

– To tak czy nie?

– Nie wiem? – stwierdza bezradnie rozkładając ręce.

Rami robi krok w jego stronę, patrzy mu prosto w oczy.

– Podrywałeś moją żonę.

– A ty flirtowałeś z moją dziewczyną.

– No tak... – rzuca potakując głową.

– Głupia sprawa... – przyznaje Thomas, drapiąc się po karku z rozbrajającym uśmiechem.

Rami też się śmieje, krótko i szczerze. Sięga po marynarkę przewieszoną przez oparcie fotela.

– Mia jest szczęśliwa. Uwielbia być adorowana. A czas spędzony z młodymi ludźmi zawsze poprawia jej humor. A teraz chodź na kolację, lowelasie. Jari nie może się doczekać jej opowieści o studentach.

Obaj wychodzą z gabinetu, rozmawiając półgłosem, jakby byli współnikami w jakiejś dawno ustalonej grze.

W jadalni panuje subtelne napięcie oczekiwania. Wszyscy są już na swoich miejscach, lecz nikt jeszcze nie tknął jedzenia. Powietrze pachnie świeżym chlebem, ziołami i kawą. W chwili, gdy do pomieszczenia wchodzi Mia, rozmowy cichną. Wstają niemal jednocześnie – jak w teatrze, w którym ona gra główną rolę. Siada z gracją. Dopiero wtedy reszta zajmuje miejsca.

Jari, niespokojny jak chłopiec w wigilijny poranek, przebiera nogami.

– No Mia, opowiadaj. Co było z tymi studentami?

Ona uśmiecha się lekko, sięga po kieliszek z wodą, zanim odpowie:

– No dobrze... żeby to miało sens, muszę wyjaśnić kilka rzeczy. Do wakacji 2024 roku byłam na uczelni postrzegana jako zwykły wykładowca, który dodatkowo współpracuje z Indivar Group. Ani koledzy z uczelni, ani studenci nie wiedzieli, że Rami to mój mąż, a syn... no, wiadomo.

Jari kręci głową z niedowierzaniem:

– Jak to nie wiedzieli? Przecież teraz pierwsze, co robisz, poznając kogoś, to wpisujesz go w wyszukiwarkę.

Rami unosi rękę i przecząco kiwa głową.

– Nie tak szybko. Po pierwsze: nikt nie szukał, bo po co – nie było takiej potrzeby. Po drugie: Mia miała dwie tożsamości. I nie z powodu jakiegoś ukrywania się, tylko przez zbieg okoliczności.

W świecie internetu i powszechnej dostępności informacji może się to wydawać zaskakujące, ale faktycznie Mia Rian i Miraaya Rathore funkcjonowały jak dwa odrębne byty. Jedna była postrzegana jako osoba związana z Indivar Group – twarz nauki, wykładowczyni, ekspertka. Gdy ktoś szukał głębiej, trafiał również na archiwalne artykuły i zdjęcia z wyścigów samochodowych, w których brała udział lata wcześniej.

Gdy jednak w wyszukiwarkę wpisywano „Mia Rian” albo „Rami Rian z żoną”, pojawiały się wyłącznie zdjęcia Mii u boku męża – z gal, wernisaży, branżowych wydarzeń. Bez kontekstu naukowego. Bez przeszłości sportowej.

Co więcej, wielu znajomych przez długie lata nie wiedziało nawet, jak Mia ma naprawdę na imię ani że po ślubie nie przyjęła nazwiska Rian. Z biegiem lat nie było już sensu tego prostować, a w gruncie rzeczy było to nawet na rękę.

– Unikałam rozgłosu – wtrąca Mia z rozbawieniem. – Rzadko pokazywałam się z Antero. I tak jakoś wyszło, że żyłam podwójnym życiem. Nie miałam czasu na show-biznes. Teraz to co innego. Bawię się świetnie.

Wszyscy się uśmiechają. Ville patrzy na matkę z udawaną dezaprobatą.

– Tak, moje Lambo widziało, jak się bawisz. Wystawię fakturę za autodetailing...

Rami spogląda na syna z teatralnym gniewem.

– Doba w tym domu kosztuje dwa tysiące euro za osobę.

Ville pochyla głowę, jakby nagle dotarło do niego, że nie ma jeszcze własnego domu – i że w gruncie rzeczy nigdy nawet nie planował go kupić.

– Oczywiście – mruczy. – Mycie Lambo wrzucę w koszty... życia.

Wie, że schowa fakturę między innymi kosztownymi wydatkami zespołu.

Mia dopija wodę, po czym kontynuuje:

– Reasumując – nikt nie był w stanie powiązać Mii z Miraayą. Tylko osoby, które znały mnie osobiście, mogły się domyślić. A stało się to z bardzo prozaicznego powodu. W odcinku w Amsterdamie Thomas powiedział, że matka Villego goniła go po ogrodzie, zabrała skręta i zdeptała obcasem.

Spogląda na Thomasa. Ten uśmiecha się niewinnie.

– Zwróciłeś się do kamery i powiedziałeś, że czułeś się jak przemytnik bomby nuklearnej i padło przy okazji moje imię. I wtedy moim studentom zapaliła się lampka. Zaczęli zadawać pytania: „Kim jest ta matka Villego, że DJ ucieka przed nią jak złodziej polonu?”. Wpisali w przeglądarkę „Rami Rian z żoną” i... wszystko stało się jasne. No i się zaczęło. Szepty. Komentarze. Teorie spiskowe, które powoli zalewały portale uczelniane.

Ville śmieje się pod nosem.

– Były różne hipotezy: że to przypadkowe podobieństwo, że dr Rathore ma siostrę bliźniaczkę, że to hologram... albo że Mia i Miraaya to ta sama osoba. Ludzie zaczęli porównywać rysy twarzy, ułożenie rąk, biżuterię... Niektórzy zrobili naprawdę solidną robotę.

– A gdy nadszedł październik – ciągnie Mia. – I rozpoczął się nowy rok akademicki zaczęły się pytania krzyżowe.

Rose, która zna tę historię doskonale, uśmiecha się i włącza do rozmowy:

– I na tym, kochani, kończymy naszą opowieść na dziś. Jeśli chcecie więcej o teoriach spiskowych studentów Mii zostawcie łapki w górę!

– Jesteś okropna dla naszych widzów – rzuca Ville, posyłając jej rozbawione spojrzenie, a następnie zwraca się już do matki:

– Proszę, kontynuuj.

– To był początek roku akademickiego. Aula wypełniona po brzegi. Przyszli nawet tacy, którzy nie byli zapisani na moje zajęcia...

Duża, nowoczesna sala. Rzędy drewnianych blatów, metalowe krzesła, białe ściany odbijające światło z góry. Panowało skupienie. Słychać było jedynie cichy stukot długopisów, szelest papierów, przesuwanie kartek. Kilka osób leniwie sączyło kawę z kubków z logo uczelni. Powietrze pachniało jesienią przyniesioną na kurtkach i świeżym tonerem z drukarek.

Miraaya Rathore – w dopasowanym, granatowym garniturze i wysokich szpilkach – stała przy katedrze. Jej głos brzmiał pewnie, każde słowo było precyzyjne, jakby kalibrowane pod kątem zrozumiałości i powagi tematu.

– Czy są jakieś pytania o systemy pasywnego chłodzenia w reaktorach? – zapytała spokojnie, składając dłonie przed sobą.

Przez chwilę panowała cisza. Słychać było tylko tykanie zegara na ścianie i krótkie kaszlnięcie z końca sali. Aż wreszcie jedna ręka powędrowała nieśmiało w górę, gdzieś w czwartym rzędzie.

Mia nie zmieniła wyrazu twarzy. Oparła się swobodnie o biurko, założyła ręce na piersi. Wskazała dłonią.

– Słucham pana.

Student, szczupły chłopak w koszuli w kratę, chrząknął nerwowo i powiedział:

– Pani doktor... to nie pytanie o system chłodzenia. Ale... czy jest pani fanką Liberty Fade i Villego Riana?

W sali zapadła cisza. Ktoś gdzieś zachichotał pod nosem, ktoś inny odwrócił wzrok. Większość zerknęła to na chłopaka, to na doktor Rathore. Kobieta ani drgnęła. Jej twarz była jak wyrzeźbiona z lodu – opanowana, profesjonalna. Gdy negocjowała budowę reaktora przy granicy z Pakistanem, miała dokładnie taki sam wyraz twarzy.

– Hmm... – powiedziała z chłodnym dystansem. – A co to ten Liberty coś tam?

Chłopak, nieco zbity z tropu, spróbował wytłumaczyć:

– Zespół rockowy. Alternatywa. Ville to wokalista. Teraz nagrywają taki program... no, ciekawy. I... podobno jego mama jest bardzo do pani podobna.

Mia spokojnie odwróciła się do komputera. Wpisała: „Liberty Fade”. Chwila – i ekran projektora rozświetlił się rzędem kolorowych zdjęć: Ville w makijażu, chłopcy na scenie, logo zespołu. Cała aula patrzyła.

Ona przyglądała się uważnie, lekko mrużąc oczy.

– O rany... a co on taki pomalowany?

Studenci zaczęli się uśmiechać. Kilkoro próbowało stłumić, ale nikt nie ośmielił się skomentować. W powietrzu zawisło napięcie, lekko podszyte rozbawieniem.

– A co oni w tym programie takiego robią, że moi studenci to oglądają? Hmm?

Ten sam chłopak odpowiedział, wyraźnie starając się nie wybuchnąć śmiechem:

– Grają koncerty... imprezują... no i bawią się. Trochę o życiu zespołu. Trochę prywatnie.

Mia rozejrzała się po sali. Jej spojrzenie przesuwano się powoli po twarzach studentów. Żadnego uśmiechu, żadnego błysku w oku. Tylko absolutny spokój i precyzyjna kontrola jakby skanowała audytorium w poszukiwaniu słabych punktów.

– Powiem wam jedno – powiedziała cicho, niemal bezbarwnie, ale z tą specyficzną siłą, która sprawiała, że wszyscy milkli. – To skandal, żeby przyszli inżynierowie od bezpieczeństwa nuklearnego oglądali takie rzeczy. Zastanówcie się nad sobą, moi państwo.

Zamknęła laptopa, zebrała notatki. Nie było w tym żadnego pośpiechu – każdy ruch był spokojny, kontrolowany. Kiedy sięgała po pendrive, jej palce nawet na moment się nie zawahały. Pochyliła głowę w niemal niezauważalnym geście pożegnania i wyszła bez słowa więcej.

Drzwi auli zamknęły się za nią cicho. Dziesiątki par oczu wpatrywało się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stała Miraaya Rathore – kobieta, która najpewniej właśnie potwierdziła najgłośniejszą uczelnianą teorię spiskową roku, nawet nie drgnąwszy brwią.

Od tego dnia studenci na wykładach doktor Rathore siedzieli cicho, notowali każde słowo, nie podnosili wzroku znad zeszytów, nie zadawali zbędnych pytań i starali się nie zwracać na siebie uwagi. W powietrzu unosiło się bowiem niejasne, lecz bardzo wyraźne przecucie, że konsekwencje tamtej ciekawości mogą przyjść później, na przykład w formie wyjątkowo wymagającego egzaminu.

Ville, który od jakiegoś czasu przysłuchuje się tej historii z rosnącym rozbawieniem, unosi brwi.

– Tak, ale niedługo po tym były jeszcze lepsze jaja.

– To prawda. To było tuż przed premierą odcinka, w którym Ville i Emma oficjalnie przedstawiają swoją rodzinę. Czyli nas. Po tym już wszystko było jasne – nie było odwrotu.

Na moment milknie, jakby ważyła słowa.

– Ale zanim odcinek się ukazał, postanowiłam delikatnie zażartować ze swoich studentów. Trochę z przekory, trochę dla sportu. W końcu i tak kończyłam już karierę wykładowcy – miałam wolną rękę. A było to tak...

Na korytarzu przed gabinetem doktor Rathore panowała nerwowa cisza. Grupa studentów czekała na konsultacje. Krążyły szeptane plotki – „podobno dziś nie w humorze”. Ci, którzy przyszli oddać sprawozdania, mieli ściśnięte gardła i trzymali notatki w spoconych dłoniach.

W środku panował spokój. Gabinet był jasny i uporządkowany. Przy drugim biurku siedział Ville – elegancki, ubrany na czarno, z codziennym makijażem. Na uszach miał słuchawki, głowę opierał o dłoń, oczy trzymał przymknięte – wyglądał, jakby dryfował gdzieś między światem dźwięku a własną wyobraźnią.

Mia, w białej koszuli i grafitowej marynarce, wertowała notatki. Kiedy drzwi się uchyliły, nie podniosła nawet głowy.

Weszło dwóch studentów. Już od progu ich wzrok padł na Villego – jeden z nich mruknął niepewnie:

– Dzień dobry?

Ville tylko uniół rękę w niemym geście przywitania, nie otwierając oczu. Następnie znów zanurzył się w muzyce. Mia powoli podniosła wzrok znad kartek, spojrzała na nich z tą spokojną, surową aurą, która kazała natychmiast się wyprostować i mówić do rzeczy.

– Dzień dobry. Choć to ja dziś będę zadawać pytania. Z czym panowie do mnie przyszli?

Student w granatowej bluzie, nie mogąc oderwać wzroku od Libertyna, zebrał się na odwagę:

– Mamy szkic prezentacji na seminarium... Chcieliśmy skonsultować dalszy zakres materiału?

Kobieta uniosła brew. Uśmiech błąkał się gdzieś na granicy jej ust, ale nie przebijał się przez kontrolowaną twarz.

– To już kolejne pytanie?

Student w okularach co chwilę zerkał na Libertyna, jakby próbował rozpoznać, czy to faktycznie on, czy tylko jakiś perfekcyjnie wykonany hologram.

Ville, jakby wyczuł napięcie, powoli zdjął słuchawki. Otworzył oczy i zaczął przysłuchiwać się rozmowie, opierając się wygodnie o oparcie.

– Nie, pani doktor. Chcieliśmy po prostu zasięgnąć pani opinii...

Mia wzięła referat, rzuciła okiem na wykresy i tabelki, po czym skierowała pytanie do studenta w okularach:

– O, to ciekawe. – Przesunęła palcem po linijce tekstu. – A jaki wpływ na kontrolę reakcji łańcuchowej ma współczynnik reaktywności temperaturowej?

Student w granatowej bluzie spróbował odpowiedzieć, ale coś go zdekoncentrowało – Ville właśnie ziewnął teatralnie, zakrywając usta dłonią.

Zapadła cisza. Mia przerzuciła kolejne kartki i powiedziała nieco bardziej przystępnie:

– Dobrze, to może bardziej po studentku: jak zmiana temperatury wpływa na reakcję i stabilność reaktora?

Studenci milczeli. Mia wpatrywała się w dane. Ville uniół rękę. Ona, bez mrugnięcia, sięgnęła po pilota, wycelowała w syna i nacisnęła *play*.

Libertyn zaczął swobodnie, z tym swoim scenicznym luzem:

– Współczynnik reaktywności temperaturowej to czynnik, który mówi, jak bardzo reaktor jądrowy się wkurza, kiedy robi mu się gorąco.

W sali zapadła martwa cisza. Nawet Mia lekko uniosła brwi, ale nie przerwała.

– Kiedy temperatura rośnie, to ten współczynnik decyduje, czy reaktor powie: spokojnie, wszystko pod kontrolą, czy raczej: o nie, lecimy w górę bez trzymanki! I najlepiej, żeby był ujemny bo wtedy reaktor sam się uspokaja, jakby miał wbudowaną jogę – po czym z entuzjazmem dodał: – Serio.

Znów zamknął oczy teatralnie, jak po występie dla niewidzialnej widowni.

Mia, nawet nie odrywając wzroku od referatu, rzuciła z chłodną precyzją:

– O, teraz jest audycja radiowa o reaktorach dla laików. Zazwyczaj puszczają tam przeciętną muzykę.

Studenci nie wiedzieli, co robić – nie śmiali się, nie ruszali. Tylko gapili się na Villego, który z lekko uniesionym kąciem ust wyglądał, jakby właśnie dostał w twarz... jedwabną rękawiczką z logiem Uniwersytetu.

– Panowie – prezentacja idzie w dobrym kierunku. Nie mam większych uwag. Unikajcie teorii, która nie przekłada się na praktykę. Liczę na porządne wystąpienie na sympozjum.

Student w granatowej bluzie pochylił głowę:

– Oczywiście, pani doktor.

Mia, zbierając materiały, dodała mimochodem:

– A jeśli któryś z was kiedyś trafi do sterowni reaktora, musi być przygotowany na wszystko. Nawet na wokalistę w brokacie mądrzącego się na tematy, o których nie ma pojęcia. Dziękuję panom i trzymam kciuki.

Studenci skłonili się i zanim wyszli, zatrzymali wzrok na Libertynie – nieruchomym, z zamkniętymi oczami. Kamienna twarz. Zero ruchu.

Kiedy drzwi się zamknęły, Ville otworzył oczy. Kąciki ust drgnęły mu lekko, jakby właśnie walczył z napadem śmiechu. Mia również miała ewidentnie dobry humor, choć jej twarz nadal pozostawała elegancka i chłodna.

– Wiesz, zaskoczyłeś mnie, taka wiedza... – powiedziała, odkładając referat.

– Daj spokój, mam. Wpisałem hasło w internet.

– Podejrzewam, że jest tam dość skomplikowana definicja. A ty wytłumaczyłeś to tak, że laik zrozumie. Nawet niektórzy moi studenci tak nie potrafią. Szkoda, że nie chcesz się dalej uczyć...

Ville wzruszył ramionami z cieniem uśmiechu – tym półironicznym, półznaczącym. Przez ułamek sekundy w jego oczach pojawiło się coś jeszcze. Zniknęło to równie szybko, jak się pojawiło.

– Oj mam. Akurat to była oczywistość i podstawa. Po tylu latach słuchania, jak się przygotowujesz, znałbym to nawet przez sen.

Ona posłała mu całusa w powietrzu – lekko, z rozbawieniem, kończąc małą prywatną scenę teatralną.

– Mój kochany syneczek. A teraz... kolejni do golenia już się tam duszą.

Jari nachyla się nad stołem, łokcie wspiera na blacie, a w ciemnych oczach płonie ciekawość.

– A były jakieś komentarze, że przyprowadziłaś wokalistę do gabinetu? – rzuca, jakby zaraz miała paść najpikantniejsza historia dnia.

Mia przeciąga palcem po cienkim rancie filiżanki i dopiero wtedy odpowiada:

– Nie wszystkim wykładowcom przypadło to do gustu. A przecież odwiedził mnie mój własny syn, siedział cichutko, nikomu nie wadził. Pojawiło się kilka złośliwych uwag, nic wielkiego. – Wzdycha lekko.

– A potem usłyszałam na korytarzu, że jestem „wyluzowaną babką” i że szkoda, że już nie będę uczyć. Zaczęłam się zastanawiać, czy moje perfekcyjne, trochę sztywne wykłady nie mogłyby czasem złapać oddechu, odrobiny żartu, bliższego kontaktu ze studentami.

– Ale przecież wciąż zdarza ci się wykładać. – wtrąca Jari. – Żartujesz czasem?

– To zależy – odpowiada Mia, spoglądając w stronę okna, gdzie gałęzie rysują tańczące cienie. – Gdy patrzę na pełną aulę młodych ludzi, pozwalam sobie na coś łżejszego. Ale inżynierowie i specjaliści od fizyki jądrowej potrzebują dyscypliny. Rozmawiamy przecież o bezpieczeństwie świata.

Rami muska ustami czubek jej głowy, a po chwili wyłącza kamery. Piknięcie urządzenia rozpuszcza napięcie.

Mia unosi kącik ust w psotnym uśmiechu, który Rami kwituje:

– Znam ten grymas, niegrzeczna dziewczynka. Opowiedz, jak załatwiłaś profesorka. Kamery wyłączone.

– Dawaj, uwielbiam takie akcje – rzuca Jari przysuwając się bliżej.

– Był taki jeden, nazwijmy go po prostu Profesorkiem – zaczyna, przeciągając się i poprawiając bransoletkę. – Wiedzę miał ogromną, ego jeszcze większe. Od początku traktował mnie z góry, nigdy nie chciał współpracować. Chamstwo toleruję najgorzej. Po scenie z Ville i studentami zaczął mnie obgadywać.

– Trzeba mieć tupet, żeby obgadywać kobietę, która trzyma w ryzach koncern nuklearny i zna wszystkich z pierwszych stron gazet – stwierdza Jari.

– Wtedy już wszyscy wiedzieli, że Ville jest moim synem, a Rami mężem – ciągnie Mia. – Nie mieli tylko pojęcia, czym naprawdę się zajmuję. Widzieli we mnie wykładowczynię dorabiającą w Indivar Group. Fakt, że jestem jedynym udziałowcem Imperium, pozostawał tajemnicą.

– Ale przecież te dane są w sieci... O, proszę jesteś wpisana w rubryce właścicielskiej jednego z holdingów – wtrąca Sandra, machając telefonem i puszczając porozumiewawcze oczko Rose. – Nie trzeba być hakerem, żeby je znaleźć. Mniej niż minuta.

– Nikt nie szukał, a mnie to pasowało – Mia wzrusza ramionami. – Dzięki temu widziałam, kto naprawdę pracuje i na kogo mogę liczyć. O sprawie wiedział tylko rektor, zresztą był dyskretny. Akademicy są mistrzami teorii, z biznesem im nie po drodze, nie znają się na wpisach do rejestrów.

Zwraca się nagle do Thomasa z uznaniem:

– Masz bardzo mądrą i ładną dziewczynę.

Chłopak uśmiecha się zawadiacko i przytula delikatnie Sandrę. Mia ciągnie dalej swój wątek.

– Profesorek powiedział publicznie: „Jak to wygląda, że przyprowadza syna celebrytę do gabinetu? To nie przedszkole.” A potem dodał, że „niby wykładowczyni, a zachowuje się jak księżniczka w przebraniu”. Tego było za wiele. Zablokowałam mu grant.

– Szczególnie, że Mia jest prawdziwą księżniczką – mruczy Rami, rozgorączkowany z dumy.

– Dokładnie. Pamiętam jego minę w pokoju socjalnym: wyrwane włosy, przekleństwa. Wzięłam herbatę, popatrzyłam na niego i posłałam oczko. Podobno zrozumiał. Kiedy później wyemitowano odcinek o naszej rodzinie i o pałacu w Surrey, ktoś sprawdził Indivar Group. Nazwisko rozwiało ostatnie wątpliwości.

Mia poprawia włosy i bierze łyk herbaty.

– Kilka miesięcy później spotkałam Profesorka na sympozjum. Był przesłodka uprzejmy, prosił o rozmowę. Nie miałam czasu. Grantów już nie zobaczył, teraz uczy za grosze.

– Nie uważasz, że nauka mogła stracić? – wtrąca Wendy obracając szklankę w palcach. – Sama mówiłaś, że to świetny fizyk.

– Zdolnych, przyzwoitych ludzi nie brakuje.

– No to nauka nie straciła – stwierdza Wendy poważnym tonem.

Kobieta wzdycha z satysfakcją i nuci cicho *Marsz Weselny*, wodząc wzrokiem między Wendy a Paulem, który od razu się prostuje.

– My mamy dzieci...

– I pszczoły, jesteście nowocześni – dodaje Wendy, unosząc brew.

Mia posyła im udawane, karcące spojrzenie, po czym przesuwa wzrok na Emmę i Roberta, którzy z trudem tłumią śmiech.

Robert unosi ręce w obronnym geście, próbując zachować powagę:

– My też mamy dziecko... i jesteśmy nowocześni.

Kobieta zdycha teatralnie i kręci głową z rezygnacją, jakby właśnie traciła ostatnią nadzieję na klasyczne wychowanie tej rodziny.

– Ale załatwiłaś epicko tego Profesorka! – Jari aż klaszcze w dłonie. – Przyznam, liczyłem na coś bardziej mafijnego, ale i tak zrobiłaś robotę.

– Tyle lat znosiłaś tego człowieka – mówi Rose z uznaniem głosem. – I nie przyznałaś się, że Indivar Group i granty to ty. Cicha siła. Podziwiam.

Mia kiwa jej z wdzięcznością patrząc to na synową to na syna, a Ville rozkłada ręce w teatralnym geście:

– Ja się z nią ożeniłem.

– Owszem, Libertynie – odiera Rose z kpiącym błyskiem – jesteś dostatecznie staroświecki, żeby się żenić, i dostatecznie libertyn, żeby brzmiało to dziwnie.

Robert kręci głową ze śmiechem:

– Rozpustnik i tradycjonalista w jednym. Ta rodzina to eksperyment społeczny.

Reszta potakuje próbując zachować powagę, ktoś zagryza usta, ktoś pije wodę, ktoś inny coś szepcze.

I w tej mieszaninie chichotów, szczeknięć Echo i dalekich pisków wybiegających dzieci, wieczór w Rianhouse toczy się dalej – wcale nie łagodniej, ale z poczuciem, że nawet najbardziej wybuchowe sekrety można zamknąć w jednej filiżance herbaty i jednym puszczonej oczku.

Rozdział 7

Emocjonalny chłopak do przytulania.

Biały fortepian stojący pod wielkim oknem lśni w grudniowym świetle. Za szybą rozciąga się panorama ośnieżonych Helsinek – szeroka ulica rozświetlona girlandami i ozdobami świątecznymi, ruchliwa, a jednak cicha z tej wysokości. Światła tramwajów, złote gwiazdy zawieszane nad jezdnią, białe płatki opadające powoli na chodniki. Mijający się ludzie, zapach pieczonych kasztanów gdzieś z dołu, widok migoczących światełek – to wszystko istnieje, ale nie dla niego.

Ville siedzi przy instrumencie, pochylony, zatopiony w swoim świecie. Na uszach ma słuchawki, a w palcach – delikatny puls melodii. Ubrany w dopasowaną czarną marynarkę, z długim srebrnym kolczykiem w prawym uchu, wygląda teatralnie i eterycznie. Włosy ma perfekcyjnie ułożone, choć kilka kosmyków spada mu na oczy. Paznokcie pomalowane na czarno z drobinami brokatu błyszczą przy każdym stuknięciu w klawisz. Przed nim leży zeszyt, świeżo zapisany, pomięty, pełen emocji. Ruch jego dłoni jest płynny, choć ledwo zauważalny. Dźwięki, które rozbrzmiewają tylko w jego głowie, wydają się miękkie i wolne – ale to może być cisza przed burzą. Gdy Libertyn tworzy, nie wiadomo, dokąd poprowadzi go melodia. Jedno jest pewne: nikt nie powinien mu teraz przeszkadzać.

W drzwiach pojawia się Rami. Stoi chwilę nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi na piersi, przyglądając się synowi. Ville wygląda jakby był nieobecny, zamknięty w sobie, odcięty od wszystkiego poza tą jedną linią dźwięku, która właśnie się rodzi. Mężczyzna zna ten stan aż za dobrze. Sam napisał w życiu mnóstwo hitów, również tych radiowych i doskonale wie, że takie momenty, kiedy rodzi się muzyka – są święte. Dlatego cicho zamyka drzwi i wychodzi. Mimo że przyszedł z ważną sprawą – sprawą rady nadzorczej RRstudio, do której Ville niedawno dołączył, to nie jest ten czas. Jeszcze nie.

W rodzinie Rianów każdy wie, że kiedy Libertyn komponuje, świat może poczekać. Nikt go nie rusza, nikt nie odważy się przerwać. No, prawie nikt. Rose ma swoje prawa. Jeśli jej nie ma, ktoś inny z ekipy sprawdza, czy Ville coś zjadł, czy wypił herbatę, i czy jeśli znowu zaśnie pod fortepianem – ma poduszkę i ciepły koc. Rose wielokrotnie spała razem z nim na podłodze, z twarzą wtuloną w jego ramię, pod miękkim pledem, przy ledwo tłącej się lampce. Dla niej to nie ekscentryzm – to ich codzienność. Być może dziś znów będzie musiała nad nim czuwać...

A może jednak nie, bo już kilka godzin później gabinet Libertyna wygląda inaczej. Ville siedzi już przy biurku, w głębi pomieszczenia, pochylony nad dokumentami. Na stole porozrzucone są karteczki samoprzylepne z liczbami, słowami, strzałkami i pytajnikami. W tle gra cichy jazz – stary, kojący, ledwo słyszalny. Drzwi uchylają się lekko, z cichym skrzypnięciem. Do środka wpada chłodniejsze powietrze, niosąc ze sobą zapach pieczonych jabłek i cynamonu z kuchni.

– Komponowałeś? – pyta Rami, stając w progu.

Ville podnosi wzrok znad kartek i uśmiecha się niemal odruchowo.

– Owszem. Byłeś tu wcześniej?

– Tak, tylko zajrzałem – odpowiada opierając się luźno o framugę.

Chłopak kiwa głową z rozbawieniem, a z jego nadgarstka opada cienki srebrny łańcuszek, gdy poprawia długopis.

– Tak mi się wydawało.

– Jak postępy? – pyta zerkając na rozrzucone kartki. – Będzie hit?

– Miałem wenę. Mam solidny szkic. Wszystko na dobrej drodze. Może Rose nie będzie musiała ścielić mi na podłodze.

Rami siada naprzeciwko syna, odchyła się na krześle, przeczesując palcami włosy. Jego spojrzenie robi się poważniejsze.

– Przychodzę w sprawie spotkania rady.

W tym samym momencie drukarka ożywa. Krótkie mruknięcie, kliknięcie rolek, a potem świst papieru. Tabele z liczbami wysuwają się z niej powoli.

Ville sięga po kubek, ale ten okazuje się pusty. Stawia go z westchnieniem, a po chwili patrzy pytająco na ojca.

– Wyszedłeś bez słowa. Bez żadnego wyjaśnienia. Synu, to duży projekt. Nie możesz zniknąć w połowie spotkania.

– Kosztorys się nie zgadzał – rzuca sucho. – A oni się ze mnie śmiali.

Rami unosi brwi, ale zaraz potem kręci głową z niedowierzaniem. Przesuwa palcem po krawędzi teczki leżącej na kolanach szukając sposobu, by nie wybuchnąć z irytacji.

– Podobno rzuciłeś okiem na dokument, stwierdziłeś, że brakuje pięćdziesięciu tysięcy euro... i po prostu wyszedłeś. Bez komentarza. Bez słowa.

Libertyn sięga po jedną z karteczek, odkleja ją mechanicznie, po czym przykleja ją z powrotem kawałek dalej, jakby to miało coś zmienić.

– *Pi razy drzwi* pięćdziesiąt tysięcy.

– Wiem. Ale właśnie po to są te spotkania. Każdy ma prawo się wypowiedzieć. Jeśli miałeś wątpliwości, to był dobry moment, żeby je zgłosić. Takie błędy w projektach się zdarzają, to nie katastrofa.

Ville spogląda na szereg cyfr zapisanych naprędce na jednej z karteczek. Drapie się w głowę, jakby sam siebie pytał, po co to wszystko tu zanotował.

– Nie wzięli mnie na poważnie. Żartowali.

Rami bierze głęboki oddech, prostuje się na fotelu i przez chwilę milczy. Widać, że chce coś powiedzieć inaczej niż zwykle. Kładzie dłonie na kolanach, zaciska je, po czym powoli rozluźnia. Patrzy na syna długo, uważnie, jakby próbował zajrzeć pod powierzchnię.

– Ville... przecież znasz ich od lat. Wszyscy tam ciągle żartujecie. I co? Aha – mruczy z lekkim westchnieniem. – Miałeś wenę, prawda?

– Kiedy zaczęli się śmiać z moich wyliczeń... – mówi, stukając cicho paznokciem w blat – pojawił się refren.

Ojciec przewraca oczami, ale nie potrafi się nie uśmiechnąć. Sięga do teczki i wyciąga plik dokumentów.

– Proszę. Tu są twoje pięćdziesiąt tysięcy. A dokładniej – czterdzieści cztery i pół. Dziewczyna przepisująca tabelki pominęła jedną pozycję. Jak ty to w ogóle zauważyłeś?

Ville rozkłada ręce z bezradnym, ale nieco zuchwałym gestem.

– Robiliśmy podobne rzeczy w fundacji. Tylko na mniejszą skalę. Znam koszty, znam rynkowe ceny. Wiem, ile co zajmuje. Przecież to nie jest skomplikowane.

– Synu... – mówi cicho. – Po prostu następnym razem nie wychodź bez słowa, dobrze? Nie musisz się nikomu tłumaczyć – nie w mojej firmie. Ale miło byłoby im chociaż pomachać na pożegnanie.

Ville unosi głowę, uśmiecha się z lekkim zakłopotaniem. Przez chwilę wygląda jak chłopak, który rzeczywiście coś przeszkrobał, ale nie zamierza się kajać zbyt długo.

– Moja wina. Następnym razem zapiszę tekst w telefonie, dokończę spotkanie i dopiero wtedy wyjdę... z przytupem.

Rami parska śmiechem, kręcąc głową, jakby już dawno przestał próbować zrozumieć, jak działa umysł jego syna. Wstaje z lekkim przeciągnięciem, podchodzi do okna. Za szybą zaczyna padać śnieg – drobne, lekkie płatki spadają pionowo, równo, rozświetlone ciepłym światłem latarni. Jeszcze nie ma ich wiele, ale wystarczy, by wiedzieć, że zima przyszła na dobre.

– O to mi chodziło – mruczy, wciąż patrząc w okno. – Masz coś nagrane? Chętnie posłucham.

Chłopak bez słowa wskazuje głową fortepian, gdzie na lakierowanej powierzchni leżą słuchawki i zeszyt z tekstem. Ruch bez zbędnych wyjaśnień – wystarczająco wymowny, by odpowiedzieć na pytanie.

Rami siada w miękkim fotelu vintage, który stoi obok fortepianu, przegląda zeszyt – pomięty, pełen koślawych wersów, przekreśleń i wtrąceń pisanych w natchnieniu. Zakłada słuchawki, zamyka oczy i słucha raz. Drugi. Trzeci. Trwa w tej muzyce, jakby na chwilę chciał zapomnieć, że to jego syn ją stworzył.

W międzyczasie Ville przynosi z kuchni litrowy bidon z wodą i garść czekoladowych cukierków, które rzuca luźno na biurko. Jeden z nich trafia tuż przy klawiaturze laptopa. Rami w końcu zdejmuje słuchawki i odkłada je ostrożnie na fortepian. Wstaje, przeciąga się lekko, czując w barkach echo muzyki. Podchodzi do biurka, a Libertyn bez słowa rzuca mu cukierka przez pokój. Mężczyzna łapie go bez trudu, jakby robili to setki razy. Zgrzyt folii, krótki szelest – rozpakuje i gryzie kawałek, przymykając na chwilę oczy.

– Może być – mówi w końcu, nie zdradzając jeszcze, co ma na myśli.

Ville zerka z ukosa, z cieniem rozbawienia.

– Cukierek czy melodia?

– I to, i to. Ale ja bym tam dał skrzypce.

– Nie będzie skrzypiec.

– Wiem – wzdycha teatralnie, przeżuując ostatni kawałek czekolady. – Pewnie Thomas coś zmiksuje. Syn posyła mu rozbijający uśmiech. Przez chwilę milczą. Potem ojciec zerkając na zegarek, robi lekki grymas.

– Piąta. Już czas wracać do domu – mówi, wstając. Kieruje się powoli do wyjścia ale zatrzymuje się w progu i rzuca przez ramię. – Aha. Masz nową ksywkę.

Ville przeciąga się i przewraca oczami, z udawaną rezygnacją.

– Jeszcze jedną?

– *Pi razy drzwi*. – uśmiecha się złośliwie. – Z naciskiem na *drzwi*. – Przesuwa dłonią po skrzydle, jakby je oceniał, teatralnie wolno i z przesadną powagą.

Rezydencja Rianhouse pachnie pieczonymi jabłkami, świeżo parzoną herbatą i czymś niespokojnym, trudnym do nazwania. Ville wcześniej zadzwonił, że spóźni się na kolację. Rami, jak

większość domowników wrócił już dawno i od dłuższej chwili krąży po domu z kubkiem herbaty, co kilka minut zerkając na ekran telefonu.

W kuchni Rose opiera się o blat, stukając nerwowo palcami w porcelanowy talerzyk. Na jej czole pojawia się drobna zmarszczka.

– Napisał tylko, że wróci później – rzuca w stronę Emmy i Wendy. – Znowu nie odbiera telefonu. Dam mu jeszcze chwilę i pojedę do RRstudio.

Emma sięga po winogrono z półmiska i zasiada na blacie, gotowa do akcji.

– Pojadę z tobą. Najwyżej we dwie go stamtąd wyniesiemy.

Wendy, wtulona w narożnik z laptopem na kolanach, nie odrywa wzroku od ekranu.

– Dawno nie widziałam go w transie. Kiedy ostatnio miał wenę tak silną, że spał pod fortepianem kilka dni?

Rose wzdycha i zsuwa rękawy grubego swetra.

– Fakt, minęło trochę czasu. Ostatnio komponuje szybko, jakby bardziej przejmował się finansami RRstudio niż muzyką... Puszczą oczko do Ramiego, który właśnie przechodzi przez kuchnię z filiżanką.

– Chociaż... może to cisza przed burzą – dodaje odgarniając kosmyk włosów z policzka. – Pamiętacie, jak rok temu, z braku weny, chciał iść, tam gdzie chciał iść?

– Pamiętam – mruczy Jari, rozciągnięty na fotelu z kubkiem kakao. – Na szczęście go nie przyjęli. A zaraz potem napisał *Behind The False Mustache* na czwarty krążek.

– Mam pewne nagrania – przyznaje Rose cicho, z wahaniem. – Spanie na podłodze, brzdąkanie bez sensu, płacz... Ale nie wiem, czy chcę do tego wracać. Może kiedyś zmontuję odcinek. Jeśli widzowie będą chcieli.

Nagle jej twarz rozjaśnia się niespodziewanym uśmiechem. Z oddali dobiega znajomy, głęboki pomruk silnika V8 – Ville wraca. Chwilę później ciszę przerywa ciężkie otwarcie drzwi z poziomu podziemi. I wtedy się pojawia – staje w progu jak postać z filmu, teatralnie rozchylając idealnie skrojony, czerwony płaszcz z miękkiej wełny. Włosy w lekkim nieładzie, spojrzenie rozświetlone błyskiem twórczej energii. Na ustach – jego charakterystyczny, półzadziorny uśmiech.

– Hej, już jestem. Jest coś do jedzenia?

Rose natychmiast rusza w jego stronę i całuje go w policzek. Amidala, która wybiegła z drugiego pokoju, rzuca się ojcu na szyję.

– Martwiłam się – mówi Rose, szukając jego wzroku.

– Nie ma czym, ukochana Libertyni – odpowiada beztrząsko. – Skończyłem piosenkę. Nie wiem, czy będzie hit, ale jestem zadowolony. Już się nie mogę doczekać próby. Zacieram ręce z entuzjazmem. – No, rozbieram się, wrzucam kanapkę na ruszt i chłopaki – idziemy na dół pograć!

Z salonu dobiega stłumiony głos Roberta:

– Dopiero co wróciłem z treningu. Daj mi spokój, ledwo żyję. Poza tym – zastanawia się chwilę. – Werbel poszedł na strajk głodowy.

Thomas, przysypiający na długiej sofie z Sandrą obok, unosi rękę i nie otwierając oczu pokazuje Villemu środkowy palec.

– Ja się z tej kanapy nie ruszam do jutra... i... kable od konsoli mi się spaliły.

Paul, z powagą kamerdynera, podchodzi do Libertyna, odbiera od niego płaszcz i teczkę, odkłada je do szafy i gestem wskazuje drogę do jadalni.

– Chodź, coś dla ciebie zostało. A ja... jestem bardzo ciekawy, co tym razem wymyśliłeś. Zaraz idę grzać bas.

Jari odkłada kubek na komodę i rusza przez salon z energią, jak po sygnale do startu. Przeskakuje przez leżący na podłodze koc i staje naprzeciwko Villego.

– Koniecznie daj posłuchać – mówi, wyciągając dłoń, jakby odbierał artefakt o magicznej mocy.

Ville wręcza mu pendrive i siada do kolacji. Rose zajmuje miejsce obok, nachyla się nad stołem, coś mu szepcze. On kiwa głową, a potem pyta zawadiacko:

– Libertini, czy ci się podobam?

Dziewczyna kładzie dłoń na jego dłoni i patrzy mu w oczy, próbując zachować powagę.

– Oj ty moje *pi razy drzwi*. Plotki szybko się rozchodzą.

– Nie jestem alfą i omegą. Sami by zauważyli błąd.

Rose uśmiecha się, patrząc mu w oczy. On posyła jej całusa po czym bierze duży kęs kanapki.

Tymczasem chłopcy w salonie zaczynają zbierać się do domowego studia. Robert ziewa, przeciąga się i podnosi z kanapy. Thomas, wlokąc za sobą koc, idzie za nim. Jari i Paul są już na schodach.

Chciałoby się powiedzieć, że w domu zapada cisza. Ale nie u Rianów.

Właśnie przyjeżdża Oskari – dwunastoletni syn Jariego. Chłopak ma spędzić kilka dni w Rianhouse. Amidala zrywa się z sofy i biegnie w jego stronę, rzucając mu się na szyję.

– Hej, stęskniłam się za tobą! Jak jesteś głodny, to chodź do jadalni – Ville zrobił sobie kanapki.

Oskari – chudy brunet w okularach, lekko stylizowany na emo – uśmiecha się szeroko.

– Nie, dzięki, jadłem. Poza tym nie chcę się narażać twojemu ojcu.

– To co, idziemy do mnie? Obejrzymy kolejną część *Gwiezdnych wojen*. Tam Amidala zakochuje się w Anakinie. Przewraca oczami z teatralną miną. – Pewnie starszyzna znowu będzie oglądać stare odcinki *LFL...*

– Tak. Nie wolno mi ich oglądać, a i tak znam je na pamięć.

Obydwoje szczerzą się do kamery i uciekają na górę.

Chwilę później zespół wraca ze studia. Rozmawiają żywo, widać, że nowa piosenka przypadła im do gustu – tak bardzo, że zamiast rozejść się do swoich spraw, wszyscy idą towarzyszyć Villemu... w kąpieli. Libertyn z dumą podąża do sypialni jak sułtan w obstawie janczarów.

Teraz już w nowoczesnej, czarnej wannie pełnej piany leży oparty wygodnie o rant. Jari cicho stroi akustyczną gitarę. Thomas i Rob siedzą na podgrzewanych kafelkach, z zamkniętymi oczami. Paul unosi wzrok znad notatek i zwraca się do operatora kamery:

– Tego już nie można nagrywać. Trzeba zachować tajemnicę.

I ma rację. To, co właśnie skomponował Ville, może trafić na nową płytę albo zostać singlem. Fani zespołu będą musieli poczekać. I to długo, ostatni krążek przecież dopiero co wyszedł.

Dopiero przed północą chłopcy kończą omawianie nowej piosenki napisanej przez Libertyna. Energia wciąż ich trzyma, krąży między nimi, znają ten stan aż za dobrze i wiedzą, że sen nie przyjdzie szybko. Postanawiają więc to wykorzystać i obejrzyć kolejny odcinek *Liberty Fade Life*. Nikt nie

protestuje – weekend dopiero się zaczął, noc jest długa, a jutro nie ma powodu, by się spieszyć ani wczesnie wstawać.

Do salonu wchodzi Sandra z tacą filiżanek i dzbankiem herbaty. Emma podnosi się z poduszki, by pomóc jej ustawić wszystko na stoliku kawowym.

Po tym, jak Rami został skrytykowany za przybranie kilku kilogramów, stanowczo zabronił przynoszenia do pokoju telewizyjnego przekąsek i słodkich napojów.

Wszyscy zajmują wygodnie swoje miejsca. Rami przygasza światło, Mia wciska *play* i na ekranie pojawia się tytuł: *Emocjonalny chłopak do przytulania*.

Pierwsze ujęcie zaczyna się od hotelowego ogrodu, zielonego, spokojnego, tonącego w zapachu kawy, pieczonego chleba i lawendy z doniczek ustawionych przy kamiennym murku. Na środku patio – wielki drewniany stół, a wokół zespół. Poranek po nocy. I zupełnie inna historia.

W oddali widać Thomasa – sunie na deskorolce po brukowanej alejce między krzewami róż. Mija kamerę, robi szybki *kickflip*, potem *manual* przez niski murek przy fontannie. Słuchawki ma wsunięte na uszy, a koszulkę przerzuconą przez ramię. Na zakończenie zatrzymuje się efektownym *powerslidem* tuż przy stole, przy którym siedzi zespół.

– Już jestem – oznajmia wesoło, zakładając koszulkę.

Ville spogląda na niego znad okrągłych różowych okularów i uśmiecha się powoli, przeciągle.

– Widziałem te twoje tricki. Bardzo ładnie.

Thomas unosi brew i staje przy stole, nie od razu siada.

– A ty zawsze oglądasz mnie z taką uwagą, czy tylko wtedy, gdy mam rozczochrane włosy i pot na karku?

– Tylko wtedy, gdy nie masz na sobie koszulki – odpowiada przegryzając kącik ust.

Thomas siada z wolna, celowo blisko Villego – tak, by ich kolana niemal się stykały.

– Dobrze wiedzieć, że mogę liczyć na twoją uwagę.

– Daj buziaczka.

Bez słowa muskają się ustami. Naturalnie, spokojnie jakby to była część rozmowy. Reszta bierze głęboki oddech i wraca do śniadania. Tymczasem Robert, który siedzi wygodnie na leżaku, popija espresso i raz po raz zerka w stronę Emmy z podstępny uśmiechem. Dziewczyna odwzajemnia spojrzenie, jednak po chwili prostuje się i zwraca do kamery.

– Zaraz ruszamy, wykorzystamy chwilę wolnego.

– To co dziś w planie? – pyta Ville zerkając na siostrę.

– Jedziemy na plażę. To tylko piętnaście kilometrów od Kopenhagi. Pogoda piękna. Czas na zabawę. Później skoczmy do klubu – mam wejściówki VIP.

– Gramy jeszcze trzy koncerty i do domu – dopowiada Robert.

Paul wykonuje gest zwycięstwa i sięga po chleb. Robert znów uśmiecha się do Emmy, a ona posyła mu buziaczka w powietrze. Ville wstaje i z wyraźną dezaprobatą przygląda się wymianie spojrzeń między siostrą a perkusistą. Kamera oddala się lekko, pokazując cały stół – ich śniadanie, ich wspólnotę, ich ciszę.

Obraz przechodzi w ujęcie z drona, który zakreśla szeroki łuk nad szmaragdową taflą cieśniny. Poniżej asfaltowa droga przecina wydmy, prowadząc wzdłuż linii brzegu, a na jej tle dwa punkty w ruchu: czarny motocykl z Robertem i Emmą oraz czerwony kabriolet z opuszczonym dachem.

GoPro przy kierownicy łapie każdy wychylony zakręt. Szum wiatru miesza się z gardłowym pomrukiem V-ósemki. Cisza poranka ustępuje przestrzeni – prędkości, światłu, latu. Robert siedzi wyprostowany, pewny siebie, trzyma mocno gaz. Emma obejmuje go w pasie, jej włosy rozwiewa wiatr. Na kasku odbijają się promienie słońca – widać naklejki z tras: Tokio, Austin, Kopenhaga.

W kabrioletcie Thomas prowadzi jedną ręką, w drugą rytmicznie uderza o drzwi. Ville siedzi obok, rozpina kolejny guzik swojej koszuli i rozgląda się dookoła, szukając ujęć do materiału zza kulis. Paul siedzi z tyłu, rozkłada ramiona jak w kinowym fotelu z efektami.

Samochód zatrzymuje się na parkingu przy plaży. Zespół wysiada, przymrużając oczy od słońca. Idą w stronę wypożyczalni sprzętu wodnego. Emma od razu wybiera kitesurfing, zakłada trapez i odbiera latawiec. Ville i Thomas decydują się na windsurfing – biorą deski i kolorowe żagle. Paul i Robert zostają na plaży, siadają w cieniu parasola i rozkładają ręczniki.

Pierwszy podmuch bryzy uderza od strony wody. Kamera lekko drży, mikrofony rejestrują szelest piasku pod butami. Ville i Thomas niosą sprzęt, mijając kamerzystę, który celuje obiektywem w maszt – na ekranie pojawia się ujęcie fioletowych i turkusowych paneli. Emma biegnie wzdłuż brzegu z rozłożonym latawcem. Widać, jak unosi się lekko, przygotowując do startu. Jej cień przesuwa się po falach.

Robert przeciąga się, zerkając w stronę dziewczyny.

– Emma ma świra na punkcie latania. Szybowce, spadochrony, no i teraz to. Kitesurfing totalnie ją pochłonął. Próbowałem ale ja wolę coś co ma silnik. Latanie i zdawanie się na wiatr? Nie dla mnie.

Paul poprawia kapelusz, udaje znudzenie i wzdycha teatralnie.

– Windsurfing– próbowałem raz. Nie wyszło. Wolę góry i wspinaczkę. Następnie zwraca się do przyjaciela – A może skoczmy na skutery?

Kilka metrów dalej Ville robi krótką rozgrzewkę. Ma na sobie czarne kąpielówki, włosy rozczochrane, w oczach błysk rozbawienia. W końcu wybucha śmiechem.

– Dla was dwóch to chyba rower wodny!

Paul nie zostaje mu dłużny. Naśladuje rozciąganie Villego, choć jego zakres ruchu jest raczej żenujący.

W końcu odpala:

– Cicho bądź. Wskakuj na żagiel. Widzowie chętnie zobaczą perfekcyjnego Libertyna przemokniętego jak kura.

– Chyba mnie jednak nie zobaczą przemoczonego. Jestem w tym dobry. A dziś fajnie wieje... To leceć!

Kamera zaczyna śledzić Villego z łodzi – gimbal przycina falę tuż przed jego deską. Nabiera prędkości, niemal leci nad powierzchnią. W tle Thomas wpada do morza już trzeci raz, rzucając soczystą wiązanekę w kilku językach. Jednak znowu gramoli się na deskę, ponownie staje i teraz płynie już pewniej, łapiąc prawidłową technikę. Emma wybija się z krawędzi. Latawiec unosi ją wysoko – na dobre trzy metry nad poziomem wody. Łąduje lekko, rozchlapując drobne krople, które w zwolnionym ujęciu zawisają w powietrzu. W tym samym czasie Paul i Robert mkną na skuterach wzdłuż brzegu. Skaczą na grzbietach fal, śmiejąc się i krzycząc do siebie przez szum wiatru. Ville robi zwrot tuż przed bojkami

kąpieliska i z premedytacją wpada do wody. Po chwili opiera się o deskę i zagaduje dwie dziewczyny, które leżą na dmuchanych materacach.

Jakiś czas później słońce stoi już wysoko. Piasek parzy stopy jak rozgrzany kamień. Emma i Robert rozkładają ręcznik i kładą się obok siebie. Po raz pierwszy w historii programu przytulają się tak otwarcie. Robert gładzi jej ramię, delikatnie przytyka czoło do jej włosów. Nie szukają kamery, po prostu przestali na nie zwracać uwagę.

Paul rozsiada się na leżaku i zaczyna stukać w ekran telefonu. Na twarzy ma szeroki, ewidentnie zadowolony uśmiech.

– Nie mów, że jakaś laska się kręci – rzuca Emma, zerkając znad okularów przeciwsłonecznych.

– Zobaczymy... – odpowiada przeciągle, nie odrywając wzroku od ekranu. Po chwili dodaje: – A gdzie Ville?

Kamera zaczyna przeszukiwać plażę. W końcu zatrzymuje się na dwóch postaciach pod rozłożystym drzewem. Tam, częściowo ukryty w cieniu, Libertyn rozmawia z efektowną brunetką w zielonym bikini. Kamera przybliży obraz. Ville i dziewczyna splatają palce, ich cienie rysują się na piasku. Chłopak pochyła się z lekkim, pewnym uśmiechem i muska jej usta krótkim, spokojnym pocałunkiem – jakby oboje dokładnie wiedzieli, czego chcą. Po chwili para znika za ścieżką prowadzącą w stronę campingu. Następnie obiektyw chwytą Thomasa flirtującego z roześmianą blondynką stojącą z nim w wodzie po kolana. Najwyraźniej opowiedział jej jakiś żart, bo dziewczyna wybucha śmiechem i całuje go w policzek. Kilka metrów dalej Emma przytula się mocniej do Roberta, a Paul wciąż stuka coś w telefon, z miną człowieka, który właśnie dostał wiadomość, na którą czekał cały dzień.

Libertyn wraca jakiś czas później, spokojnym krokiem, jakby nic się nie stało. Na łydce wciąż ma przyklejony piasek, a w dłoni trzyma małą papierową torebkę. Przez moment jego wzrok omija obiektyw – zerka gdzieś w bok, udaje skupienie na drodze i poprawia włosy.

– Od kiedy lubisz zwiedzać campingi? – rzuca Paul złośliwie, nie podnosząc głowy znad telefonu.

– Byłem po żelki – rzuca, siadając na ręczniku i unosząc torebkę do góry. – Trzeba mieć energię na...

– zastanawia się chwilę i szybko dodaje: – resztę dnia.

Wyciąga jednego żelka i z namaszczeniem wkłada do ust, jakby to była najbardziej autentyczna rzecz, jaką mógł w tej chwili zrobić. Thomas prychnął, Rob się śmieje, a Emma tylko unosi brwi, nie komentując niczego. Kamera łapie to wszystko bez słowa, rejestrując drobne gesty, spojrzenia, milczenie.

Zespół siedzi w apartamencie hotelowym gotowy do wyjścia. Walizki, niemal wszystkie już zamknięte stoją przy drzwiach, obok równo ustawionych butów. Pokój wygląda jak chwilę przed opuszczeniem, ale panuje w nim znajomy chaos poranka: porozrzucane bluzy, otwarta torba z kosmetykami, telefon podpięty do ładowarki na stole. Thomas opiera się plecami o ścianę, jedną nogą wsparty na walizce. Emma przechadza się tam i z powrotem, stukając o drewnianą podłogę. Zmarszczone brwi, zaciśnięte usta. Kiedy zbliża się do okna, blask słońca wydobywa złote refleksy z jej ciemnych włosów.

– Cholera, gdzie on się podział? Jestem głodna – mruczy pod nosem, nerwowo poprawiając rękaw marynarki.

Paul, siedzący na kanapie spogląda na zegarek z westchnieniem. Jego ramiona pozostają skrzyżowane, jakby od dawna pogodził się z tym, że wszystko dziś trwa za długo.

– Zadzwońcie do niego – mówi zniecierpliwionym tonem. – Mieliśmy ogarnąć się wcześniej. Ostatni koncert i wracamy do domu.

– No tak – rzuca złośliwie Robert – nie możesz się doczekać spotkania... z koleżanką.

Thomas zaśmiewa się cicho, chrupiąc płatki prosto z pudełka.

– Albo raczej z pszczołami – dorzuca ze śmiechem.

Emma przewraca oczami. Cała ta sytuacja: spóźniony Ville, przeciągające się poranki, głupie żarty chłopaków ma w sobie coś dziecinnie znajomego, a jednak teraz działa jej na nerwy. Wyciąga telefon i unosi go jak rekwizyt w spektaklu.

– Koniec zabawy. Dzwonię – oznajmia chłodno.

Włącza głośnik. Przez chwilę w pomieszczeniu panuje cisza, przerywana tylko delikatnym szumem wentylacji. Potem w słuchawce rozlega się ciężkie dyszenie i dobrze znany, lekko zachrypnięty głos brata:

– No co tam, sis?

– No idziesz czy nie? Wszyscy już czekamy.

– Potrzebuję jeszcze... pięciu minut – odpowiada, ewidentnie łapiąc oddech po czymś intensywnym.

– Ville, do cholery, noc już dawno minęła!

– Czekaj, nie... Jeszcze cztery minuty i dwadzieścia pięć sekund. Zaraz będę.

Połączenie się urywa.

Rob unosi wzrok znad telefonu i spogląda na Emmę z niedowierzaniem.

– On to serio tak dokładnie odlicza?

– Mam dosyć – warczy Paul. – Nie wiem, co on tam odprawia, ale niech się w końcu ruszy.

Podchodzi do drzwi sypialni Villego i puka pięścią, bardziej teatralnie niż groźnie.

– Wyłaż! Nie jesteś pępkiem świata!

Z drugiej strony nie odpowiada nikt. chłopak wzrusza ramionami i odwraca się do reszty.

– Ja tam nie wchodzę. Wolę głodować.

Wybuch śmiechu przetacza się przez apartament. Emma w końcu przystaje, opierając dłonie na biodrach. Thomas chrupie kolejnego płatka, a Robert chowa się za ekranem telefonu.

Słońce, wytrwale rozlewające się po ich bagażach i twarzach, przypomina, że dzień właśnie się zaczyna – a Ville wciąż jest kilka minut za światem.

Drzwi otwierają się z cichym kliknięciem i do apartamentu wchodzi Libertyn – spocony, z ręcznikiem przewieszonym nonszalancko przez kark, rozpiętą bluzą i mokrymi włosami przylepionymi do skroni. Pachnie świeżym potem, ciepłem, ruchem. Wygląda, jakby właśnie wyszedł z intensywnego treningu a może z jakiejś innej, równie wymagającej aktywności ale jego sylwetka jest jak zawsze nienaganna: szczupła, wyprostowana, a każda część ciała idealnie ustawiona pod kamerę.

– Byłem na siłowni – oznajmia z uśmiechem, który mógłby zmiękczyć stal. – Idę się umyć. Kto idzie ze mną? Paul? Thomas? Może Robuś?

Cisza, idealnie wymierzona. Przez ułamek sekundy nikt się nie porusza. Potem jakby uruchamia się niewidzialny impuls wszyscy zrywają się równocześnie. Krzesła szurają, telefony wpadają do kieszeni, drzwi trzaskają o futryny. Chłopcy dosłownie wybiegają z pokoju.

Emma, jako ostatnia, rusza za nimi, rzucając przez ramię:

– Kiedy już się wymalujesz, to dołącz. Idziemy na śniadanie. Tylko się nie zgub po drodze!

Ville robi minę jak zbity pies – teatralnie wygina brwi, usta układa w tragiczną podkówkę. Stoi na środku apartamentu z rozchełstany dekoltem niczym z reklamy bielizny.

Obraz przenosi się do hotelowej restauracji – jasnej, nowoczesnej, z przeszkloną ścianą, przez którą wpada poranne światło i odbija się od lśniących powierzchni. Ciepły zapach świeżego pieczywa, jajek i kawy miesza się z ledwo wyczuwalną wonią perfum eleganckich gości i przyjemną nutą drewna. Na zewnątrz miasto budzi się do życia, ale tutaj panuje spokój, rozmowy tłumione obiciami foteli, szum ekspresu w tle, okazjonalny szczeł sztuców. Zespół siedzi przy jednym z większych stolików przy oknie – Emma z kubkiem czarnej kawy w dłoni i lekkim grymasem niezadowolenia, Paul sączy espresso i przegląda coś w telefonie, Robert powoli je jajecznicę z kiełbasą, a Thomas, oparty łokciem o stół, grzebie widelcem w talerzu z naleśnikami i ma na twarzy pełen uśmiech.

– Ville to dziwak – zaczyna z rozbawieniem, a w jego oczach błyszczy coś złośliwego – ale pozytywny. Wykorzystuje każdą okazję, żeby się przytulić. Na początku mnie i chłopaków z zespołu to strasznie denerwowało, goniliśmy Kurdupla, ale wracał. Jak upierdliwa mucha.

Emma bierze do ust kawałek grzanki, żuje wolno, z namysłem oceniając nie tylko smak, ale i sens wypowiedzianych właśnie słów. Nie komentuje, jej milczenie jest bardziej wymowne niż jakakolwiek riposta.

– No to w końcu – ciągnie Thomas – daliśmy mu zielone światło na te jego przytulaski. I teraz w zespole zrobiło się... trochę gejowato. Ale przynajmniej jest zabawnie. Libertyn jak coś sobie wkręci, to koniec – mówi dalej. – Chciałem kiedyś pogadać z nim o koncercie – skończyło się tym, że rozmawialiśmy w łazience, kiedy się kąpał. Kurduplowi tak się to spodobało, że od tamtej pory mnie woła. Tak często, że... dla świętego spokoju czasem idę.

Zapada krótka cisza, po czym Thomas dorzuca z udawaną powagą:

– Ostatnio nawet zaczął mnie nagabywać na „mały przyjacielski romans”. A najgorsze? Że się waham...

– Mnie zwabił tekstem, że ma „ważną sprawę” – dodaje Paul. – Wchodzę do łazienki, a on w pianie jak w reklamie mydła. Teraz kiedy tylko słyszę, że idzie pod prysznic – uciekam.

Ville pojawia się w drzwiach restauracji z takim rozmachem, jakby właśnie wchodził na scenę podczas bisu. Wilgotne włosy zaczesuje do tyłu, zostawiając na skroniach kilka niesfornych pasm. Oczy błyszczą mu niepokojąco – wygrywa coś albo właśnie coś planuje. Idzie pewnym krokiem między stolikami, zatrzymuje się na moment przy młodej kelnerce w granatowym fartuchu. Pochyla się lekko, rzuca jej półuśmiech, a potem coś szepcze, coś zbyt cichego, by usłyszeć, ale wystarczająco czarującego, by dziewczyna zarumieniła się po same uszy i zakryła usta dłonią, próbując stłumić śmiech. Emma obserwuje tę scenę z boku, oparta o oparcie krzesła, z łyżką zawieszoną nad jogurtem. Jej spojrzenie jest nieprzeniknione, ale kiedy Ville rusza dalej w ich stronę, kącik jej ust drga w chłodnym, pełnym ironii uśmiechu.

– Widać, rekin jeszcze poluje.

– Czarna płetwa w brokacie i cekinach – dorzuca Paul bez cienia emocji, jakby komentował stan morza. Libertyn wraca z tacą jak kelner z pięciogwiazdkowego lokalu – ułożone starannie sałatki, kilka plasterków szynki, ciemne pieczywo.

– Dzień dobry, potworki – mówi łagodnie i przysiadają się bez większej ceremonii.

Ville pośpiesznie zatrzymuje film. Obraz na projektorze zastyga w pół ruchu. Teraz w salonie zapada miękka cisza, przerywana tylko cichym szumem wentylacji i odległym tykaniem zegara.

– Po tym odcinku też były teorie spiskowe – mówi wesoło.

Z kąta pokoju dobiega zaspane:

– Nie?

To Jari, który najwyraźniej przysnął w trakcie seansu, teraz podnosi głowę z oparcia kanapy i przeciera oczy próbując złapać punkt zaczepienia w rzeczywistości.

– Były też listy od fanek – dodaje Libertyn. – Każda deklarowała, że będzie moją cudowną dziewczyną. Na zawsze. I że mnie uratuje.

Rose głaszcząc go po głowie, jednostajnym, spokojnym ruchem, jakby właśnie nagradzała pupila po udanym występie. Jej palce suną po włosach bez pośpiechu, mechanicznie, z czułością wypracowaną przez lata.

– Opierałeś się strasznie, żeby nie mieć dziewczyny...

W salonie rozchodzą się pomruki, półszepety i ciche chichoty. Ktoś parska śmiechem, ktoś inny przeciąga się na kanapie.

Thomas przysiadł się przy Ville, opiera się o jego ramię, ciężarem ciała wpisując się w jego przestrzeń.

– Zaraz obejrzymy początki naszej wielkiej miłości. Daj buziaczka.

Patrzy mu w oczy, a jego dłoń zatrzymuje się na moment na twarzy Villego. Kciuk sunie po jego ustach powoli, z uważnością nie potrzebującą słów ani pośpiechu. Chłopcy zbliżają się do siebie naturalnie, a pocałunek trwa dłużej, niż wymagałby gest – spokojny, osadzony, całkowicie oderwany od faktu, że ktoś jeszcze jest w pokoju.

Obok Sandra bez wahania siada okrakiem na Rose. Dziewczyny całują się intensywniej, z większą pewnością i widoczną przyjemnością, nie próbując niczego tonować. Ville i Thomas zerkają na nie i unoszą brwi w przesadnym, niemal scenicznym geście dezaprobaty.

Reszta nawet nie podnosi wzroku. Nikt nie przerywa rozmowy, nikt nie komentuje. To jeden z tych obrazów, które dawno przestały być wydarzeniem.

Jedynie Mia załamuje ręce.

– Sodoma i Gomora... i to w moim domu!

Rami odwraca się do niej z bezczelnym uśmiechem, jakby tylko czekał na ten komentarz.

– Rianhouse to mój dom – mówi, posyłając jej oczko.

Odpowiada mu zimne, krótkie spojrzenie żony – jedno z tych, które nie potrzebują komentarza.

– Zresztą... co wy wszyscy robicie w moim domu? – ciągnie Rami, tym razem tonem tak przesadnie protekcyjnym, że aż trudno brać go serio.

– Mieszkamy, Rami. Mieszkamy – odpowiada Paul.

– Za darmo – dorzuca Wendy.

– I wyżerkę też mamy za darmo. Dobrze mi tu! – śmieje się Thomas, a reszta mu wtóruje, kiwając głowami.

Przez moment robi się gwarno i lekko – rozmowy nachodzą na siebie, ktoś się śmieje, ktoś komentuje pod nosem. I wtedy Rami nagle ucisza atmosferę. Bez gestu, bez podniesionego głosu. Po prostu patrzy na zatrzymany ekran projektora, jakby prowadził rozmowę sam ze sobą, i rzuca sucho, prawie niedbale: – Wyżerka, dach nad głową, całusy... a na końcu i tak ja liczę zyski. Więc bawcie się, moje inwestycje muszą być zadowolone.

Naciska *play* z satysfakcją. Obraz znów rusza, a Mia przybija mu żółwika z ironicznym uśmiechem.

Tourbus delikatnie kołysze się na długiej trasie do kolejnego miasta. Słońce przesącza się przez zasłony, rozlewając złotawe smugi na ciemnych fotelach i podłodze wyłożonej miękkim, dźwiękochłonnym materiałem. W środku panuje spokojny półmrok, przerywany cichą muzyką sączącą się z głośników – ustawioną na tyle nisko, by nie przeszkadzała rozmowom ani myślom. Wbrew pozorom rockowego nightlinera panuje tu zaskakujący porządek.

Każda rzecz ma swoje miejsce. Butelki z wodą stoją w uchwytach przy siedzeniach, kable od ładowarek są starannie poprowadzone wzdłuż boków, zwinięte i spięte rzepami. Na blacie leżą zamknięte etui ze sprzętem i notes, ułożone równolegle do krawędzi.

Emma i Rob, wtuleni na kanapie pod oknem, sprawiają wrażenie, że świat poza nimi przestał istnieć – czoła przyciśnięte do siebie, półprzymknięte oczy, spokojne, miękkie uśmiechy. Ich dłonie splatają się co chwilę, odkrywając na nowo, że mogą robić to bez lęku.

Paul siedzi naprzeciwko, z telefonem w dłoni, rytmicznie przebierając nogami. Wzrok ma utkwiony gdzieś poza ekranem, jakby liczył sekundy do końca jazdy.

Ville i Thomas rozkładają się obok siebie na jednej z koi i obserwują resztę towarzystwa. Między nimi stoi butelka coli, leży opakowanie nerkowców i zapas suchych żartów.

Libertyn, z uniesionym palcem i teatralną miną, zaczyna parodiować Emmę z przesadnym dramatyzmem:

– Oh Rob, jakie ty masz mięśnie... Czy to w ogóle legalne?

Thomas nie pozostaje dłużny, obniża głos i włącza tryb Roba z warsztatu:

– Patrz, mała, na te ręce mechanika... Dokręcić ci śrubkę?

Emma odrywa się od Roberta i spogląda na nich z rezygnacją. Kręci głową z rozbawieniem, po czym znów wtula się w ramię swojego chłopaka.

Ville jednak nie śmieje się długo. Jego twarz poważnieje, głos robi się cichy, rzeczowy. Patrzy przed siebie, ale mówi wyraźnie do nich:

– Ogólnie fajnie, że po tylu latach jesteście oficjalnie razem. Ale... mi się to średnio widzi. Chodzi o zespół. Prędzej czy później się pokłócicie – będą problemy, fochy, napięcia.

– Daj nam szansę. Akurat do strojenia fochów jestem ostatnia.

Libertyn spogląda w kamerę zawieszoną nad ich głowami i mówi już zupełnie poważnie:

– Z jednej strony jestem wkurzony, bo może się to odbić na zespole. Ale z drugiej... – urywa na moment i patrzy znów w kierunku pary. – Kręcą się wokół siebie tyle lat, że aż żal było patrzeć. On – ciapowaty alfa. Ona – magister sztuki. Pasują do siebie.

Para nie słucha już dalej tego wywodu. Zrywają się i ruszają na koniec busa, przemykając między kolejnymi kojami jak dzieci uciekające z lekcji. Ville wychyla się za nimi i krzyczy:

– Znowu idziecie się lizać?!

Nie doczekuje się odpowiedzi, więc po chwili, już spokojniej i z półzartem, dodaje:

– Taki początek związku. Trzeba wszystko wylizać.

Thomas przewraca oczami i mruczy:

– Zajadów można dostać... ale to chyba najlepsza część.

Paul odkłada telefon na podłokietnik, przeciąga się szeroko, aż chrupią mu plecy i przysiada do chłopaków z przodu. Przez chwilę patrzy w okno, potem zerka na Villego:

– A ty jak uważasz, Libertynie? Która część związku jest najlepsza?

Ten się krzywi, teatralnie rozgląda, jakby szukał wyjścia awaryjnego, po czym wzdycha i wskazuje coś palcem za szybą:

– Culumbimusy za oknem.

Thomas unosi brwi z typowym dla siebie cwaniackim uśmieszkiem:

– Pogadajmy o związkach. To ciekawsze niż chmury, hmm?

Ville wzdycha i robi poważną minę, jakby właśnie stanął przed trybunałem:

– Czego chcecie?

– Ile miałeś poważnych związków z dziewczynami? – pyta Thomas. – Nie przygód na jedną noc – związków.

Libertyn patrzy na niego spode łba:

– O, odezwał się specjalista. Ty ile najdłużej byłeś z jedną? Miesiąc? Dwa?

Rozgląda się po nich:

– Śmiejecie się, ale Paul tak samo. Od razu się zakochuje, planuje życie, domek z białym płotkiem... a potem wszystko się sypie.

Przyjaciel wzrusza ramionami, bez złości:

– No dobra, ale trzeba szukać. Skąd masz wiedzieć, że to ta jedna, jeśli skaczesz z kwiatka na kwiatek?

– A ty niby wiesz? – burczy Ville, coraz bardziej zirytowany.

Thomas unosi ręce pojednawczo:

– Doświadczenie w związkach to ważna sprawa. Żeby później nie popełniać tych samych błędów.

– Wiecie co? Ja przynajmniej jestem uczciwy wobec dziewczyn. Nikomu nic nie obiecuję. Jest impreza, jest fajnie – to wszystko. A wy? Thomas – chłopak na miesiąc, a potem dziewczyny przeżywają rozstania, bo pan DJ już podłapał inną. Paul? Wielka miłość, ale ciągle wracasz do kilku dziewczyn, z którymi kiedyś się spotykałeś. Z którą się teraz widzisz? A może znowu jesteście w separacji? Czy może nawet nie wiesz?

Thomas kręci głową z lekkim uśmiechem, ale nie przerywa.

– Nie oburzaj się tak. Po prostu nie chcesz o tym gadać. Czemu?

– Bo nie potrzebuję dziewczyny.

– Przecież nigdy nawet nie miałeś... – wtrąca Paul rzeczowo.

– Miałem narzeczonego. To była poważna relacja.

– Trwająca miesiąc. Spałeś pod fortepianem!

– Ale mamy dzięki temu kilka dobrych kawałków na drugiej płycie – odpowiada Ville bez złości.

– To akurat się ceni – przyznaje Thomas z uznaniem. – Ale... dlaczego nie chcesz dziewczyny?

– Bo nie mam czasu. Wiecie, jak żyję. Poza trasą – praca, obowiązki, spotkania. Nie mam czasu na fochy, na pisanie SMS-ów co pięć sekund. Sorry, to nie dla mnie.

– A masz zamiar kiedyś zmienić zdanie? – pyta Thomas, cicho, bez napierania.

– Nie wiem. Może kiedyś – odpowiada znudzonym głosem.

Paul waha się, ale zadaje pytanie z pewną ostrożną ciekawością:

– To jaka by miała być? Dziewczyna... albo może chłopak?

– Wolałbym chłopaka – odpowiada uśmiechając się lekko. – Ale pod warunkiem, że kupilibyśmy deskę do prasowania, która oddziela połowy łóżka. Mam swoje granice.

– A z dziewczyną dzieliłbyś łóżko? – pyta Thomas konspiracyjnie.

– No tak. Oczywiście!

– To jaka by miała być? – dopytuje.

Ville bierze oddech i zaczyna mówić z większą swobodą:

– Serio? Nie wiem. Najgorsze jest to, że najpierw poznajesz fajną dziewczynę, a potem zadajesz to głupkowane pytanie: „Będziesz ze mną chodzić?” Laska się zgadza – i nagle dzieje się jakieś hokus-pokus. Z fajnej dziewczyny robi się tylko dziewczyna. Zaczynają się fochy, dramy i krzyki. Po co mi to?

– Nie chciałbyś zostać filozofem? – rzuca Paul.

– Problem w tym – ciągnie – że dziewczyny, które spotykam, chcą poznać Libertyna. A nie mnie.

Nastaje cisza – nie niezręczna, raczej pełna zrozumienia. Thomas i Paul robią słodkie miny, po czym odpuszczają temat. Ville przeciąga się, opiera głowę o szybę i patrzy w przesuwające się powoli pola i dachy.

Paul już wraca na swoje miejsce i znów pisze na telefonie, rozmowa nie kończy się napięciem, tylko jakąś małą, wspólną zgodą.

Ville przesuwając wzrok na Thomasa, uśmiecha się pod nosem i mówi tonem konfesyjnym dzieląc się nowym odkryciem:

– Na pokładzie mamy dwie pary: jedną normalną, drugą wirtualną. Poza tobą nie mam już z kim rozmawiać.

Thomas bierze go za rękę. Cicho, nieśpiesznie, jakby to było najoczywistsze na świecie.

– Wiesz, gdybyś był laską, to bym się z tobą ożenił.

Libertyn unosi brwi, ale jego oczy miękną.

– Ze wzajemnością.

Milknie na moment, potem dodaje, spokojnie, prawie szeptem, jakby to była propozycja między snem a jawą:

– Skoro zostaliśmy tylko we dwóch, to co powiesz na to, żeby być moim emocjonalnym chłopakiem do przytulania?

– Emocjonalne przytulaski na wyłączność?... Czemu nie?

Ville cieszy się naprawdę – całą twarzą. Przez chwilę wygląda jak ktoś zupełnie inny – lekki, bezbronny, wolny od tej roli, którą gra przed światem.

– Super. Będę teraz mówił, że mam chłopaka i już nikt nie będzie mi dziamgolił, że jestem sam.

– Ty wybierasz deskę do prasowania – rzuca Thomas z udawaną powagą.

– Liczyłem jednak na jakieś nocne przytulaski.

Przyjaciel patrzy na niego z boku, podejrzliwie kalkulując, czy warto się pakować w ten układ.

– Dobra, ale trochę – mówi w końcu. – A później łapska przy sobie, zbroceńcu.

– Mam chłopaka! – oznajmia Ville z triumfem, po czym na moment cichnie, uświadamiając sobie konsekwencje właśnie w tej chwili. – Ale komentarze nas zmasakrują – dodaje już poważniejszym tonem.

Thomas również się uśmiecha, choć w jego oczach pojawia się cień niepewności – jakby nie był do końca pewien, w co się właśnie wplątał.

– Jestem hetero, a mam chłopaka. To chyba mój największy upadek... – rzuca z przekąsem chowając się za poduszką.

Ville wybucha śmiechem.

– Ja mam lekkie odchyły. Ale to chyba po mnie widać, co? – puszcza oko z rozbijającą szczerością.

Ekran ciemnieje na chwilę by kamera zaraz przeniosła widzów do wąskiego korytarza rozświetlonego ciepłym, scenicznym światłem i drżącym lekko od dudnienia basów dochodzących zza grubych kotar. Wszędzie krzątają się techniczni, szeleszczą kable, unosi się zapach potu, lakieru do włosów i rozgrzanych reflektorów. Paul siedzi na niskim stołku z gitarą na kolanach, porusza palcami z precyzją zegarmistrza. Jego twarz jest skupiona, ale oczy błyszczą ekscytacją. Przed nim, na podłodze, stoi kubek z zimną już kawą. Rob i Emma stoją z boku, wtuleni w siebie, każde z nich ma słuchawki na uszach. Ona opiera czoło o jego ramię, on delikatnie trzyma ją za biodro. Oboje wyglądają na spokojnych – jakby oddychali tym samym rytmem. Na miękkim, rozłożystym fotelu przy ścianie siedzą Ville i Thomas. Libertyn wtula się w niego bokiem, jego dłoń oparta jest o klatkę piersiową DJ-a. Ma perfekcyjny makijaż sceniczny – mocny, graficzny, z połyskiem na powiekach i konturowanym spojrzeniem. Ubrany w czarną, błyszczącą koszulę i jasne dżinsy wygląda na gwiazdę z lat 2000., ale z nowoczesną precyzją.

Thomas, jak zawsze wyluzowany – w czapce z daszkiem, luźnych skaterskich spodniach i dresowej bluzie – obejmuje Villego ramieniem.

DJ przesuwając wzrokiem po nadgarstku przyjaciela, potem podnosi jego dłoń i lekko nią obraca.

– Nigdy wcześniej nie przyglądałem się twoim paciorkom – mruczy z rozbawieniem. – Dużo tego masz. Ja bym oszalał, gdybym nosił tyle bransoletek.

Libertyn szczerzy się jak dziecko przyłapano na psikusie, nie zabiera ręki, tylko pozwala Thomasowi oglądać swoją kolekcję. Chłopak przekręca palce, jakby szukał czegoś konkretnego, aż jego wzrok zatrzymuje się na pierścieniu z czarnym kamieniem.

– Ciekawy wzór – zauważa spokojnie. – Skąd go masz?

– Pierścionek po pradziadku.

– Tym pradziadku? – dopytuje z uniesioną brwią.

Libertyn tylko kiwa głową. Spokojnie, ale z pewnym napięciem, jakby nie chciał rozwijać tematu.

– Pewnie wartościowy – mruczy Thomas, nadal obracając pierścień między palcami. – Nie boisz się, że go zgubisz?

– To replika – mówi Ville cicho, ale z uśmiechem. – Oryginał jest schowany.

Thomas kiwa głową z uznaniem, a potem z zamyśleniem czocho mu włosy.

– Hej! Moja fryzura! Układałem godzinę! – wybucha nagle.

Emma, wciąż przy Robercie, odwraca głowę i komentuje z nieskrywaną ironią:

– No proszę was... Serio? Musicie aż tak wylewać te swoje uczucia?

– Tak, serio – odpowiada Ville odwracając się w jej stronę.

Potem znów patrzy na przyjaciela, a jego twarz łagodnieje.

– Kocham cię, wariacie, tak na swój sposób.

Thomas parska cicho, ale jego uśmiech jest ciepły. Składa dłonie w serduszko i posyła mu całusa.

– Szkoda, że nie pojedziesz do Niemiec ze mną.

– Wiesz, że nie mogę – odpowiada z cichym westchnieniem. – Zresztą strasznie za nią tęsknię... a teraz będę też tęsknić za tobą. A co dokładnie będziesz tam robił?

– Mam spotkanie z ojcem – mówi znudzonym głosem. – Nagram coś przy okazji do programu. I ja też cię kocham, tak po swojemu.

Libertyn nie odpowiada od razu – tylko patrzy. W jego oczach miesza się ulga, wdzięczność i coś bardzo miękkiego, niewypowiedzianego. Po chwili odwraca wzrok, spogląda na zegar nad nimi odliczający minuty do występu, po czym prostuje się dynamicznie.

– Już czas. Zróbmy rozpierduchę. Mam fazę!

Potężna energia roznosi się po arenie. Flesze pulsują w rytmie muzyki, basy rozrywają powietrze. Na gigantycznych ekranach suną hipnotyzujące animacje, laserowe światła przecinają przestrzeń nad głowami widzów. Zespół daje z siebie wszystko. Widać to w każdym ruchu, w każdym uderzeniu, w każdej kropli potu.

Gdy zaczyna się *By The Way*, eksplozja światła przecina halę. Ville zeskakuje ze sceny, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Przebija żółwiki, robi selfie z fanami, chwyta ich dłonie, uśmiecha się, rzuca spojrzenia, które każdy z nich zapamięta na całe życie. Tłum pulsuje wokół niego jak jedno ciało. W drugim refrenie podchodzi do lewej strony barierki. Tam, na ramionach postawnego mężczyzny, siedzi kilkuletnia dziewczynka ze słuchawkami tłumiącymi hałas. Ma skórzaną kurtkę, kolczyki, pierścionki i różowe okulary w kształcie serc – wygląda jak miniaturowa rockowa księżniczka. Śpiewa każdy wers z takim zaangażowaniem, że Ville nie może przejść obojętnie. Zatrzymuje się i nachyla do jej ucha. Dziewczynka wybuchuje śmiechem, jakby właśnie usłyszała największy sekret świata. Przybijają piątkę. Światła gasną powoli, dźwięk cichnie. To ostatnia przebitka z koncertu w Manchesterze – pełna energii, ale już przesiąknięta ciszą nadchodzącego końca.

Ostatnie ujęcie odcinka przenosi widzów do hotelowego pokoju. Ville i Thomas zostali sami – reszta ekipy poszła na afterparty. Za drzwiami wciąż dobiega stłumione echo śmiechów i urwane fragmenty muzyki, niosące się po korytarzu niczym wspomnienie kończącego się wieczoru. W środku panuje cisza – ciepła, miękka, spokojna. Ville i Thomas leżą razem w łóżku, przykryci niedbale narzuconym kocem, z rozrzuconymi poduszkami wokół. Ich rozmowa przetacza się spokojnym rytmem, jakby nic poza tą chwilą nie istniało.

– To co, śliczny? – pyta Thomas z półuśmiechem patrząc mu w oczy.

Libertyn podnosi się lekko na łokciu, nie spuszczając z niego wzroku.

– Jeśli chcesz, to idź do nich. Zabaw się z jakąś fajną dziewczyną. Ja zostaję.

– Ta trasa mnie wykończyła. Również fizycznie. Nie chce mi się iść. Chętnie ci potowarzyszę.

– To co, partyjka?

Thomas sięga do walizki i wyciąga talię kart.

– Tylko nie płacz jak ostatnio.

– Idę zobaczyć, co i jak, zaraz wracam.

Libertyn wstaje z łóżka z gracją i znika w drugim pokoju. Po chwili wraca, zamykając drzwi niemal bezgłośnie. Na jego twarzy rozbłyska znajomy, filuterny uśmiech, ciepły, trochę zmęczony, ale pełen satysfakcji bo wszystko jest na swoim miejscu.

Thomas, bez podnoszenia wzroku, rozkłada karty na stole. Ville przystaje w półkroku.

– Wchodzę za tyśiąc – rzuca wesoło.

Kamera cofa się powoli. Zatrzymuje na nich – dwóch chłopakach, śmiejących się cicho nad kartami, w blasku ciepłego światła lampki nocnej. Ekran gaśnie. Koniec odcinka.

W salonie na chwilę zapada cisza – taka, jaka pojawia się po dobrym filmie, gdy nikt jeszcze nie wie, co powiedzieć. Jari podnosi się z fotela, przeciąga i prostuje nagle. Echo, leżąca u jego stóp, ziewa cicho i przewraca się na bok.

– Z tego, co wiem, ten odcinek powstał jeszcze długo przed tym, jak pokazaliście w programie rodzinę Rianów – zaczyna Jari, przechadzając się wolno po pomieszczeniu. – A jednak już wtedy było dość jasno zasugerowane, że Libertyn najprawdopodobniej ma córkę. Przejrzałem pobieżnie komentarze i... nic. Zero podejrzeń.

Emma, oparta o ramię Roberta, unosi brwi. Zakłada nogę na nogę i odgarnia włosy z twarzy.

– Były jakieś sugestie, że to ktoś z rodziny albo kuzynka. Pojawiła się nawet hipoteza, że to może córka, ale te głosy kompletnie się nie przebiły.

Robert nie odrywa wzroku od telefonu, przewija ekran szybkim ruchem kciuka. Mruczy coś pod nosem, po czym podnosi głos:

– Mam tu. Była fala odpowiedzi na sugestię, że ta tajemnicza dziewczynka to córka Libertyna, ale większość ludzi uznała, że to mało prawdopodobne. Bo Ville musiałby być bardzo młody.

Ville chowa twarz w poduszce, mruczając spod niej:

– Nie miałem jeszcze siedemnastu lat, kiedy Amidala się urodziła.

Paul błyskawicznie wrywa mu poduszkę i unosi ją triumfalnie w górę.

– Kamera i tak cię widzi. Proszę państwa – oto zawstydzony Libertyn!

Śmiech przetacza się przez pokój jak burza. Sandra parska, Wendy klepie się dłonią po kolanie, a Echo szczeka krótko, jakby chciała dołączyć do gwaru. Mia przewraca oczami, sięga po szklankę i upija łyk, a Rami pochyła się i całuje ją w czoło. Ville unosi się nieco, spoglądając ponad kolana.

– Czasem boję się, że w drzwiach stanie grupka dzieciaków w wieku Ami – mówi półżartem. – To mi się śni po nocach.

– Błagam was, skończcie ten temat – muczy Mia składając ręce do modlitwy.

Jari krąży dalej po salonie z rękami splecionymi za plecami, jego kroki miękko tłumi dywan. Przechyla głowę jak sędzia wygłaszający uzasadnienie wyroku.

– Ludzie patrzą, ale nie widzą. Słuchają, ale nie słyszą. W tym odcinku wyraźnie mówisz: „tęsknię za nią”. Potem jest tajemnicza dziewczynka na koncercie, a na końcu – zamiast iść na imprezę – zostajesz

i sprawdzasz, co dzieje się w drugim pokoju. Nietrudno się domyślić, że Ami tam spała. Szczerze mówiąc, jestem zawiedziony, że tak mało osób to połączyło.

Mia wzdycha ciężko.

– Bo wszyscy skupili się na związku Thomasa i Villego. Tym żyli. I to pokazuje, co naprawdę ludzi interesuje. Tylko show. Nic więcej.

– Za to dużo więcej osób zwróciło uwagę na pierścień pradziadka – wtrąca Sandra przeglądając coś w telefonie Thomasa. – Powstał nawet fanpage poświęcony temu sygnetowi. „Pierścień wygląda na inspirowany indyjskimi sygnetami z połowy XIX wieku, najpewniej w stylu Radżastanu. Czarny kamień to prawdopodobnie onyks, oprawiony w srebro. Tego typu pierścienie noszono wyłącznie w rodzinach arystokratycznych lub książęcych.”

Rose przeciąga się z błogim westchnieniem i opiera głowę na ramieniu Villego. Spogląda na niego zawadiacko.

– Pomyśleć, że byłam pierwszą dziewczyną Libertyna...

Mia odzywa się cicho, z uśmiechem zawieszonym gdzieś między wzruszeniem a wspomnieniem:

– Nigdy nie zapomnę chwili, gdy dowiedziałam się, że wreszcie jesteście razem. Płakałam chyba całą noc.

– Mnie kamień spadł z serca – wtrąca Rami. – Po jego narzeczeństwie z Adrianem, emocjonalnym związku z Thomasem i tabunie dziewczyn przewijających się przez nasz dom, to była naprawdę miła odmiana.

– Tabun? Raczej cała armia – poprawia go teatralnie Mia.

Śmiech znów wypełnia salon. Echo szczeka krótko, zaniepokojona hałasem. Ville nie bardzo wie, czy powinien być z siebie dumny, czy raczej schować się w kącie.

Rozdział 8

Offline

Wendy siedzi w piżamie w głównym gabinecie rezydencji Rianhouse, pogrążona w ciszy, którą zakłóca jedynie stukot klawiatury i delikatny szum wentylatora. Setki nieprzeczytanych maili piętrzą się na ekranie, jakby przypominały jej, że świat korporacji nie zna snu. Poza Rose, która gdzieś na górze znów nurkuje w jakimś serwerze, dom dziś opustoszał. Chłopcy z Liberty Fade i Rami wyjechali na nagrania – mają wrócić dopiero za kilka dni. Jej dzieci są pod opieką niani.

Wendy wzdycha, opadając ciężko w fotelu. Wciąż ma w uszach niedawny żart Mii – ten moment, kiedy mimochodem zaintonowała marsz weselny, patrząc na nią i Paula z tym swoim charakterystycznym, niepokojąco celnym spojrzeniem. Poczwała wtedy znajome ukłucie. Jest z Paulem od lat, mają dzieci. A jednak ślub? Nie. To nie dla niej. Nie chce iść drogą swojej matki – kobiety, która całe życie spędziła na utrzymaniu męża, bez własnego głosu, bez poduszki bezpieczeństwa. Wendy, wyjeżdżając na studia do Wielkiej Brytanii, przysięgła sobie, że nigdy się nie uzależni. Od nikogo.

Jej firma, ta japońsko–brytyjska maszyna, dla której pracuje od lat, stała się jej drugim domem. A może raczej bezpieczną twierdzą. Poświęciła jej wszystko. Pracowała ponad siły, aż w końcu dostała upragniony awans. Praca zdalna miała być spełnieniem marzeń – mogła być z dziećmi, z Paulem, z zespołem w trasie. Tyle że w rzeczywistości codzienność zamieniła się w nieustający szum powiadomień, raportów i pretensji. Doba bez przerw. Japońska kultura pracy i chłód szefa perfekcjonisty tylko pogłębiały zmęczenie. Od tygodni czuje, że jest coraz bardziej nieobecna. Ma wrażenie, że między nią a Paulem zaczyna coś się sypać.

Kolejny mail z pretensjami. Wendy zamyka oczy, zaciska lekko szczękę. Przez sekundę po prostu siedzi w milczeniu, zanim wstaje i wychodzi z gabinetu. Idzie do kuchni bosą, powoli, jakby każdy krok był cięższy od poprzedniego. Nalewa sobie soku, siada przy wyspie i podpira głowę dłonią. Patrzy w jeden punkt, bez wyrazu. Czuje się pusta.

Cisza zostaje naruszona jedynie miękkim odgłosem otwieranych drzwi. Do kuchni wchodzi Emma – zadowolona z życia, uśmiechnięta, jak zawsze dopracowana w artystycznym stylu,

– Wow, znowu w piżamie? – rzuca z lekkim rozbawieniem, zerkając na zegar. – Już prawie południe.

Wendy wzdycha ciężko. Nie podnosi wzroku.

– Nie miałam czasu.

– Tak jak wczoraj... i przedwczoraj? – Emma siada obok, opierając łokcie o blat. Jej ton jest łagodny, ale spojrzenie uważne.

– Nie mam wyboru. Muszę pracować.

– Czasem trzeba też odpocząć.

– Przecież dopiero co miałam urlop.

– Przepraszam, co miałaś? Urlop? Niby kiedy?

– No... w zeszłym tygodniu.

– Chwila – Emma marszczy brwi – ja chyba śnię. Przecież nie odrywałaś się od telefonu i laptopa. To był urlop?

– To nie jest takie proste – wzrusza ramionami. – I tak cud, że dali mi parę dni w tym terminie.

– Rozmawialiśmy już o tym. Miałaś wziąć pełne dwa tygodnie, bez laptopa, bez telefonu. Złapać trochę dystansu, pamiętasz?

– Musiałam być w dyspozycji!

Emma milknie na moment. Bierze kilka głębokich wdechów, jakby sama potrzebowała się uspokoić.

– Miałaś też pomyśleć o normalnej pracy. Takiej, w której będziesz miała czas dla siebie i rodziny.

– Jestem w tej firmie od wieków. A teraz... teraz mnie docenili.

– Kochanie, znamy się tyle lat. Nie mogę patrzeć, jak twoje życie zamienia się w pasmo maili z pretensjami, na które odpisujesz dniami i nocami. Twoje dzieci dorastają. Paul znalazł swoją drogę – muzyka, ekologia, ten jego cały mikroświat. A ty? Tkwisz w miejscu.

– Dostałam awans!

Emma tylko kiwa głową, zrezygnowana.

– Kiedyś pracowałaś pół doby. Teraz – całą dobę. Błagam cię, Wendy. Opamiętaj się.

– Niezależność jest dla mnie najważniejsza – odpowiada cicho, ale z uporem. – Nie będę jak moja matka.

– Ale ty nie jesteś swoją matką. Jesteś z Paulem. Człowiekiem spokojnym, odpowiedzialnym. On cię kocha. Macie dzieci. Może właśnie dlatego powinnaś odpocząć. Wziąć prawdziwy urlop. A potem... poszukać normalnej pracy, dającej więcej oddechu. Paul ma podobne zdanie. Zresztą... słyszałam waszą poranną kłótnię.

Delikatnie dotyka ramienia przyjaciółki. Ta przymyka oczy i wtula twarz w jej dłoń, jakby nagle cały ciężar ciała opadł.

– Ty też masz rodzinę, firmę, odpowiedzialność...

– Ale jest południe, a ja jestem w domu – przerywa jej Emma. – Mam dziś jedno spotkanie, potem odbieram małego ze żłobka. I jestem z rodziną. Nie śpię z laptopem pod poduszką.

Wendy spogląda na nią z cieniem złości.

– No właśnie. Dostałaś nowoczesną, rozwiniętą firmę... w prezencie.

– To nie chodzi o firmę. Tylko o styl życia. O to, żeby nie być niewolnikiem. Popatrz na dziewczyny – Sandra? Ma etat, ale znajduje czas dla Thomasa, na pasje, imprezy. Rose? Pracuje tyle, żeby nie musieć być w pełni zależną od Villego. A ty... masz wybór. Możesz znaleźć coś, co cię nie wypali.

Przyjaciółka spuszcza głowę. Z jej oczu cicho wypływają łzy. Nie robi sceny. Po prostu siedzi i płacze. Pociąga nosem, głos jej drży.

– Mama dzwoniła... znowu miała pretensje, że nie mam ślubu z Paulem...

– Nie rozumiem tej azjatyckiej presji na małżeństwo, ale może... może właśnie tego ci brakuje? Może ślub dałby ci poczucie, że jesteś z Paulem naprawdę. Że ktoś cię chroni. Może wtedy odpoczniesz. I może wtedy... rzucisz tę cholerną pracę.

Telefon pika. Znów. Powiadomienie. Wendy sięga odruchowo, ale Emma łapie go w pół gestu i zdecydowanym ruchem wrzuca do szuflady ze sztućcami.

Przyjaciółka wybucha płaczem. Tym razem naprawdę. Z głębi. Cicho na początku, potem głośniejsze. Całe napięcie tygodni, miesięcy wylewa się razem z łzami.

Emma przytula ją mocno.

– Płacz, Wendy – szepcze. – Płacz...

Do kuchni wchodzi Rose – uśmiechnięta, promienna. Jej obecność rozjaśnia przestrzeń.

– O, coś się stało? – pyta z troską. – Mogę jakoś pomóc?

Emma podnosi wzrok znad ramienia przyjaciółki. Odpowiada cicho, ale stanowczo:

– Nasza koleżanka ma dość. Dość pracy i klientów.

Rose siada po drugiej stronie, blisko, z empatią niepotrzebującej wielkich słów.

– Gdybym pracowała całą dobę, też bym miała dość – mówi łagodnie. – Kto by nie miał?

Zna Wendy od lat. Wie, że należy do tych kobiet, które nigdy nie proszą o pomoc. Tak jak ona — obie są ambitne, obie cenią niezależność. Rose nauczyła się jednak czegoś jeszcze: że czas dla rodziny, dla siebie, dla miłości nie jest luksusem, lecz koniecznością. I choć stara się nie brać od Villego na swoje wydatki, nie zaprotestowała, gdy to on wziął na siebie pełne utrzymanie ich małej rodziny.

Tymczasem Wendy nie chce niczego od Paula. Nie mają nawet wspólnego konta. Dokłada się do wszystkiego, mimo że Paul zarabia dwadzieścia kilka razy więcej, z muzyki, z dzierżawy pól, z mikrofirmy kosmetycznej. I nigdy jej tego nie wypomniał.

– Z Paulem ciągle się kłócimy – mówi cicho, z trudem, jakby każde słowo ważyło zbyt wiele. – Tu, w rezydencji, staramy się to ukrywać, ale...

– Szczególnie dzisiaj rano – wtrąca Rose.

– Wszyscy to zauważyli – wtóruje jej Emma. – U Rianów dom jest zazwyczaj głośny, pełen zamieszania, ale to ciepły chaos. Tu się nie kłóci. A dziś...

Wendy unosi twarz, cała rozmazana od łez.

– Widziałam spojrzenia innych. Amidala wyglądała na przerażoną.

– Skoro dziewięćlatka tak to odebrała – to pomyśl, co czują bliźniaki. Dla nich to kompletnie niezrozumiałe. A najgorsze jest to, że wszystko dzieje się w imię czego?

Rose pochyla się lekko, mówi bez gniewu, ale z pasją:

– W imię pracy, która wypala cię od środka i niszczy wszystko wokół.

W kuchni zapada cisza. Ciepła, gęsta, potrzebna. Wendy nie odpowiada, ale w jej oczach widać cień ulgi. Emma wstaje pierwsza. Ma spotkanie w centrum – krótkie, ale ważne. Zakłada elegancki płaszcz i rzuca ostatnie spojrzenie przyjaciółce, pełne siostrzanego ciepła. Rose również podnosi się z krzesła.

– Pójdę jeszcze popracować – mówi z miękkim uśmiechem. – Godzinę, może dwie. Potem odbiorę młodą ze szkoły i skoczmy na jakieś ciacho. Chcesz iść z nami?

Wendy tylko kręci głową. Jeszcze nie teraz. Dziewczyny wychodzą, każda w swoją stronę, zostawiając ją samą przy kuchennej wyspie. Przez chwilę w domu panuje absolutna cisza. Tylko w szufladzie ze sztucami... telefon nadal pika. Uparcie, natarczywie i nieubłagane.

Wieczorem tego samego dnia w drzwiach wejściowych staje Mia – ubrana w ciemny, dopasowany dres, który na niej wygląda bardziej jak stylowa kolekcja niż strój treningowy. Pod pachą niesie matę do ćwiczeń. Zdejmuje buty, opierając się o ścianę, i z westchnieniem rzuca pod nosek:

– Ta zumba mnie kiedyś zabije.

Z salonu wypada Echo, która na widok Mii podskakuje niczym sprężynka. Mia kuca przy niej.

– No kto tu jest najpiękniejszym pieskiem?

Echo przewraca się na plecy, wystawiając brzuch z rozczulającą bezbronnością. Mia śmieje się, tarmosi ją za uszami, gładzi po bokach, aż pies przymyka oczy z błogości. Potem wstaje, z lekkim skrzywieniem – coś ukuło w jej biodrze. Znowu mruczy:

– Chyba zaraz rozlecę się ze starości.

Zabiera matę i rusza przed siebie. W salonie widzi Wendy: skuloną na kanapie, z laptopem na kolanach i pustym wzrokiem utkwionym w ekranie. Dziewczyna podnosi głowę, dostrzega Mię i macha do niej słabo, z ledwo widocznym uśmiechem. Mia podchodzi kilka kroków bliżej. Na ogół nie wchodzi ludziom z butami w życie. Daje przestrzeń, czasem tylko sugeruje, rzuca luźne zdanie, które potem zostaje na długo. Teraz jednak nachyla się lekko i mówi z tym swoim charakterystycznym, zmysłowo rozbawionym tonem:

– Ulala... kieliszeczek prosecco by się przydał, co?

Wendy odpowiada uśmiechem bez głosu, bez siły i wraca wzrokiem do ekranu, znów bezwładnie stukając w klawiaturę.

Po schodach schodzą Rose, Sandra i Emma. Emma łapie matkę za rękę i, jakby w konspiracji, prowadzi ją do kuchni. Tam kamery na pewno są wyłączone. Następnie opowiada krótko o rozmowie z Wendy, kończąc na jednym – dziewczyna miała urlop, który urlopu nie przypominał.”

Mia opiera się o blat, spokojnie i z nutką ironii stwierdza.

– Tak mi się właśnie wydawało, że miała wolne.

– Jak to wydawało? – pyta Rose z niedowierzaniem. – Przecież miała nos w telefonie od rana do wieczora. Non stop.

– Może i tak, ale na przebranie się z piżamy czas znalazła...

– W sumie masz rację – przyznaje Rose po chwili. – A ja naiwnie myślałam, że wyluzowała w pracy. Że zmniejszyli jej zakres obowiązków.

Emma krąży wokół wyspy, nerwowo poprawiając rękaw swetra.

– Mamo... co mam zrobić żeby jej pomóc?

– Nie pomożesz jej. Nie uratujesz kogoś, kto nie chce być uratowany.

– Chyba żartujesz! Tu już nie chodzi tylko o nią. Chodzi o dzieci. O Paula. On tak bardzo ją kocha, a ona się oddala. I jeszcze ta jej matka... Znowu dzwoniła, znowu pytała o ślub. A ty, oczywiście, dorzuciłaś swoje z tym marszem weselnym.

– Czyli zadziało? – przerywa jej Mia z lekkim, niepokojąco spokojnym uśmiechem.

– Co? Jak to... zadziało?

– Skoro o tym rozmawialiście, to znaczy, że podziało. Skoro płakała i pękła, to może wreszcie coś do niej dotrze.

– Zawsze wszystko przewidujesz – mruczy Rose pod nosem.

– Nie zawsze. Ale tym razem zagrałam va banque. Idę się ogarnąć. Poczekaście na mnie chwilę.

Zabiera matę spod ściany i wychodzi z kuchni, zostawiając w powietrzu zapach perfum i niepokojącego przeczucia, że znów ma rację.

Dziewczyny idą za nią i kierują się do salonu, gdzie światło przygaszono na wieczorny tryb – ciepłe, przytulne, jakby dom sam chciał powiedzieć: „już wystarczy na dziś”. Mia wspina się po schodach na górę, zatrzymując się na półpiętrze, by rzucić przez balustradę:

– Naszykujcie winko. Byle nie czerwone. Niedługo zejdę... znaczy... mam nadzieję, że nie. Chodzi mi, że... z góry na dół... do salonu.

Śmiech rozbrzmiewa natychmiast. Rose i Emma parszają jednocześnie, a Wendy – mimo że jeszcze trzyma laptopa na kolanach – zamyka go powoli i odstawia na bok. Po prostu, bez słowa.

Na stoliku kawowym stoi pięć kieliszków, schłodzone białe wino i kanapki z łososiem na pełnoziarnistym chlebie. Obok, ponownie otwarty laptop, jakby Wendy nie potrafiła jeszcze całkiem się odciąć. Mia, która właśnie zeszła, siada z gracją, bierze łyk i mówi z tym swoim klasycznym tonem: półżartem, pół-wyzwaniem:

– Wiesz, Wendy, podziwiam cię. Taka oddana firmie... Gdyby moi pracownicy tak zasuwali po godzinach, połowa byłaby zbędna... – zamyśla się i dodaje: – Ale to w sumie bez sensu, bo przecież trzeba by było płacić im za nadgodziny. Prawda?

Rose i Emma wymieniają spojrzenia, jakby właśnie coś przeskoczyło im w systemie. Wendy patrzy na Mię z mieszaniną zdziwienia i podejrzliwości.

– Mam kontrakt – mówi powoli. – Nie mam wyznaczonych godzin pracy.

– Aaa, to tak się robi... – Mia kiwa głową z miną, która mogłaby wskazywać na to, że odkryła sekretny składnik kuchni japońskiej. – Chyba muszę pogadać z działem HR.

Trzy pary oczu wpatrują się w nią jak w mem wymykający się logice.

– Ale nie rozumiem – odzywa się Sandra, sięgając po telefon. – Zmieniasz podejście? Przecież twoja firma znowu została odznaczona jako... – przelatuje wzrokiem po ekranie – „modelowa organizacja w zakresie humanistycznego zarządzania zasobami ludzkimi”. – Czyta dalej, z lekkim akcentem dramatyzmu: – „Azjatyccy ekonomiści uznali Indivar Group za jedną z najbardziej zrównoważonych korporacji w Azji.”

Mia teatralnie wzrusza ramionami.

– Może to błąd? Po co ludziom czas na prywatne sprawy? Na przykład na... zumbę. Jeszcze ktoś wypluje płuca i po pracowniku.

Następnie unosi kieliszek w górę, jakby właśnie miała wygłosić manifest epoki. Rose, Sandra i Emma sięgają po swoje kieliszki. Wendy robi to jako ostatnia.

– Zrozumiałam aluzję – odpowiada, patrząc na Mię.

– Zobaczymy...

Wino powoli znika, kanapki z łososiem zostały zjedzone już dawno. W salonie robi się cieplej – nie od temperatury, ale od śmiechu i kobiecej solidarności. Rozmowa schodzi na temat, który zawsze działa i poprawia humor.

– Co was najbardziej wkurza w waszych facetach? – rzuca Sandra, opierając brodę o dłoń i rozciągając się na sofie.

Emma nie waha się ani chwili.

– Kiedy się nie goli. Nie cierpię jego drapiącej brody – mówi o Robercie z teatralnym obrzydzeniem.

– Przecież on zawsze jest ogolony! – protestuje zaskoczona.

– Bo wie, że mnie to wkurza.

Dziewczyny chichoczą. Sandra przewraca oczami i poprawia koc, który zsunął jej się z kolan.

– Thomas... – zaczyna i przez chwilę szuka słów. – On non stop chodzi ze słuchawkami. Nie wiem, kiedy naprawdę słucha muzyki, a kiedy ma dźwięk tak ściszony, że mogę do niego mówić.

– A powiedziałaś mu, że cię to denerwuje? – pyta Emma z udawaną powagą.

– W sumie... to nie pomyślałam...

Wybuchają szczery, ciepły śmiech. Nawet twarz Wendy nieco się rozjaśnia, teraz jej kolej.

– Kiedyś – mówi, podciągając nogi pod siebie – to były flanelowe koszule. Wiecie, takie... w kratę. Ale teraz? Chyba nic. – Zastanawia się chwilę. – Tak. Nic.

Mia patrzy na nią podstępnie, a Rose i Sandra klepią ją po ramieniu, jakby właśnie wygrała jakiś kobiecy quiz.

– Dobra, a Rami? – pyta Rose, zerkając na Mię przez brzeg kieliszka.

– Antero... ciągle z każdą flirtuje.

– Myślałam, że nie bierzesz tego na serio – mówi Emma, z lekkim zdziwieniem. – Że to tylko taka gra.

– Niech sobie flirtuje, a i tak jest mój. – Przez chwilę milknie, patrząc w taflę wina. – Zresztą... ja też czasem to robię.

Po czym robi minę niewinnej dziewczynki przyłapanej z ręką w słoiku ciastek.

Salwę śmiechu przerywa Sandra, która wskazuje na Mię palcem jak sędzia trybunału. Obie wiedzą o tym niewinnym niedawnym flircie Mii z Thomasem.

– A ty co? – zwraca się do Rose. – Co cię wkurza w Ville?

Dziewczyna wzdycha teatralnie i układa włosy na ramieniu.

– Że lepiej wygląda ode mnie.

Zapada niezręczna cisza. Dziewczyny uświadamiają sobie, że Libertyn faktycznie wygląda lepiej od każdej z nich.

Mia odchrząkuje i wstaje nagle z sofy, jakby właśnie doznała objawienia. Staże wyprostowana, z teatralną manierą unosi podbródek i wygłasza tonem nieznośnym sprzeciwu:

– To będzie słaby materiał. Najpierw płacz, potem gadanie przy winie... Komentarze pod odcinkiem będą niepochlebne. Znaczą... nie czytam komentarzy, ale i tak – zróbmy coś szalonego.

Rose podnosi brwi wysoko, jak ktoś, kto właśnie usłyszał propozycję nurkowania w przeręblu.

– Ja cię przepraszam, ale... dobrze się czujesz?

Sandra już się śmieje, bezwiednie przyciskając poduszkę do brzucha.

– Co szalonego można zrobić o dwudziestej drugiej?

– Pograjmy w strzelanki – rzuca Mia bez cienia zawahania, już w ruchu. – Rose, rozwijaj ekran. Ja idę po pady. Wendy, gaś tego laptopa. Sandra, popraw włosy.

Wendy unosi wzrok znad klawiatury z miną człowieka, którego właśnie wezwano na front.

– Ale ja właśnie...

Mia jest już w progu. Odwraca się przez ramię, spojrzeniem omiata cały pokój po czym celuje w nią dłonią złożoną w pistolet.

– Pif paf. Ostatnie ostrzeżenie.

Salon przygasa jeszcze bardziej, światła przechodzą w tryb nocny, a projektor oświetla ścianę szerokim kadrem. Dziewczyny rozsiadają się z padami, z nogami na poduszkach i kolanach poprzykrywanych kocami.

Mia siada bez zbędnych ceregieli, poprawia koszulę i zakłada słuchawki, jakby właśnie miała odprawić międzynarodową wideokonferencję. Przez moment wpatruje się w ekran z cieniem dezaprobaty – zbyt kolorowe menu, dziwaczna czcionka, absurdalne postacie w kostiumach bojowych. Mimo to przechodzi do samouczka bez słowa, z chłodną precyzją kogoś, kto nie lubi być zaskakiwany.

Jej postać porusza się powoli, ostrożnie, ale z dziwną gracją. Mia klika uważnie, przycisk po przycisku, jakby próbowała rozgryźć układ klawiatury na nowo. Nie szarżuje. Nie strzela bez sensu. Próbuje zrozumieć, co do czego – i dlaczego kamera obraca się tak głupio i przypadkiem upuszcza granat pod swoją postacią kończąc tym samym swoją misję.

Tymczasem Sandra gra jak urodzona strateg – biegnie, kryje się, atakuje, prowadzi grupę. Wendy, wierna swojej metodzie, siedzi w krzakach. Rose przypadkiem „zabija” Emmę, co spotyka się z falą protestów, a ta nie przestaje lamentować, że „przecież tylko szła za nimi”.

W drugiej rundzie Mia wraca do gry. Nie widać po niej emocji – tylko spokojna, wytrawna analiza. Kiedy wchodzi na otwarty teren, Rose już czai się z trybem snajperskim. Jeden ruch, jeden strzał – i po Mii.
Headshot.

Ekran bezwzględnie informuje o eliminacji. Mia zastyga. Patrzy na obraz bez mrugnięcia, jakby rozważała, czy w ogóle warto podejmować kolejną próbę.

– Nienawidzę was!

Odkłada ostrożnie pada na stolik. Wstaje z kanapy, z gracją poprawia włosy, zrzuca słuchawki i odwraca się na pięcie. Jej chód jest spokojny, wyważony, jakby schodziła z teatralnej sceny po zakończeniu aktu. Nie ogląda się za siebie, kiedy znika na schodach.

– Idę spać. Dobranoc.

Kolejne dni bez męskiej części rezydencji mijają wolniej, jakby czas celowo spuścił z tonu. Dziewczyny zajmują się swoimi sprawami: pracują, opiekują się dziećmi, korzystają ze strefy wellness, rozmawiają bez pośpiechu i śmieją się głośniejszym niż zwykle. Wieczorami znów zasiadają do strzelanek, które ku ich nieustającemu rozbawieniu niemal zawsze kończą się spektakularną kapitulacją Mii klnącej pod nosem w trzech językach.

Dla Wendy ten czas nie jest jednak lekki. Waha się długo. Każdego ranka budzi się z tym samym uczuciem ścisku w żołądku, jeszcze niepewna, czy to odwaga, czy zwykły strach przed zmianą. Otwiera laptop, zamyka go. Sięga po telefon, odkłada go na bok. Krąży na granicy decyzji, jakby bała się zrobić krok, po którym nie będzie już odwrotu.

Rozmowy z Rose, Sandrą i Emmą nie są nachalne. Nikt jej nie naciska, nikt nie stawia ultimatum. Są obok, przy kawie, przy kolacji, w drobnych gestach i krótkich zdaniach rzucanych mimochodem. To wystarcza. Wendy zaczyna powoli wierzyć, że nie musi wszystkiego dźwigać sama.

Największe znaczenie ma jednak Mia. Wendy obserwuje ją uważnie, jej spokój, sposób mówienia, tę bezbłędną umiejętność odróżniania rzeczy ważnych od pilnych. Widzi kobietę, która dowodzi imperium, a mimo to potrafi zamknąć laptop, pójść na zumbę i wieczorem usiąść z mężem przed telewizorem, bez poczucia winy. To wystarcza, by coś w dziewczynie pękło i ułożyło się na nowo.

Decyzja nie przychodzi z hukiem. Jest cicha, niemal niezauważalna. Wendy zaczyna porządkować sprawy. Przekazuje obowiązki kolegom i koleżance z zespołu, zamyka projekty, wysyła raporty, kończy formalności. Kiedy były szef próbuje jeszcze raz wzbudzić w niej poczucie winy, zrzucić na nią ciężar

własnej frustracji, ona odpowiada krótko i rzeczowo. Bez tłumaczeń. Bez emocji. Bez użalania się. To już nie jej sprawa.

Niedługo później, w nocy do rezydencji wracają chłopcy. Gdy wspinają się na górę mijając salon, zauważają piętrzące się pozostałości po kolacji, kieliszki i pady porzucone jak po wojnie.

– Zdaje się, że myszy harcują – mruczy Rami.

Libyrtyn wchodzi do sypialni. Rose jeszcze nie śpi, siedzi przed laptopem z miną kogoś, kto właśnie wykonał coś trudnego, ale satysfakcjonującego. Spogląda na niego z tym tajemniczym uśmiechem, który oznacza jedno: „koniec na dziś. Gdy tylko ich oczy się spotykają, wyłącza komputer i przeciąga się z wdziękiem. Wstaje, zbliża się do niego, sunąc cicho na bosy po podłodze, jej talia kołysze się zmysłowo pod czarną satynową koszulą nocną.

– Libertini, wyglądasz ponętnie – rzuca Ville z przekornym błyskiem w oku i teatralnie przetyka ślinę.

– Czekałam na ciebie, mój ukochany Vivaanie – odpowiada Rose, oplatając mu szyję ramionami i całując go namiętnie.

Chłopak nie protestuje. Wręcz przeciwnie, odwzajemnia pocałunek, a gdy ich usta rozdzielają się na chwilę, szepcze z czułością:

– Marzę o kąpeli. Może zdejmiesz tę koszulkę i dołączysz do mnie?

Rose tylko się uśmiecha i prowadzi go za rękę do łazienki. Odkręca wodę, wlewa do wanny płyn o zapachu jagód, tworząc miękką pianę. Bez słów zrzucają z siebie ubrania. Gdy zanurzają się razem w ciepłej wodzie, przytulają się do siebie i całują, bez pośpiechu, bez słów.

W niedzielne przedpołudnie dom powoli budzi się do życia. Dzieci są już dawno na nogach – Emma ubiera i karmi małego Roberta, Wendy ogarnia bliźniaki, a potem z niebywałą precyzją nakłada sobie makijaż. Amidala siedzi w salonie z książką przygodową, ignorując biegające wokół niej młodsze dzieciaki.

W kuchni rozpoczyna się wspólne śniadanie. Zapach kawy miesza się z opowieściami o norweskich fiordach, lodowcach i akrobatycznych ujęciach kręconych nad przepaściami. Chłopcy opowiadają z ogniem w oczach o nagraniach do teledysku *The Ball of Hidden Faces*. Ville od rana kicha i co chwilę wyciąga chusteczkę.

– Nie mów znowu, że będziesz chory... – rzuca Rose z uśmiechem.

– Chyba będę musiał poleżeć w łóżku... – odpowiada Ville, teatralnie przeciągając samogłoski.

Rose przewraca oczami, ale podaje mu kolejną chusteczkę, tym razem z paczki w kolorowe kotki.

– A może... mały meczyk siatkówki? – proponuje Ville, głośno dmuchając nos.

Temat zostaje szybko podchwycony, Rose natychmiast biegnie po kamery i statywy, przecież mecz u Rianów to coś, czego widzowie *Liberty Fade Life* nie mogą przegapić.

Cała ekipa przenosi się do sali gimnastycznej, natychmiast zabiegają o Libertyna – wiedzą, że kocha siatkówkę i potrafi zaskakiwać zagrywkami, których nie powstydziliby się zawodowiec. Po krótkiej dyskusji ustalają skład: mężczyźni kontra kobiety... z jednym wyjątkiem.

– Zamieniam się z Emmą – ogłasza Ville dmuchając nos i przechodzi na stronę dziewczyn.

– Zdrada! – krzyczy Robert teatralnie.

– Strategia – poprawia go Mia i zakłada opaskę na włosy z takim zacięciem, jakby szła na wojnę.

Mecz rusza z impetem. Piłka śmiga nad siatką, Sandra rzuca się z krzykiem do przodu, by uratować piłkę przy ziemi, Wendy gubi spinkę, ale nie przerywa biegu. Mia wykonuje serię precyzyjnych bloków – gra jak maszyna, a przy każdym zdobytym punkcie podnosi rękę do góry z lodowatą satysfakcją. Rami natomiast co chwilę podśpiewuje coś pod nosem.

Dzieci kibicują z boku. Ami gwiżdże, mały Rob klaszcze zawzięcie, a bliźniaki co chwilę chcą wejść na boisko. Rose śmieje się do łez, kiedy Thomas zderza się z Ramim przy próbie bloku. Po czterdziestu minutach walki, dyskusji kto zawinił i rzucania się po podłodze, kobieca drużyna wspierana przez Villego wygrywa mecz przewagą jednego punktu. Wszyscy schodzą z boiska zmęczeni, spoceni i roześmiani, komentując rozegrany właśnie mecz. Thomas leży rozciągnięty na podłodze, Sandra rozciera łokieć, a Mia dyskutuje z Ramim o „słabościach męskiej taktyki”. Wśród ogólnego rozgardiaszu Wendy łapie Paula za rękę. Jej oczy błyszczą, ale jest w tym coś poważnego.

– Musimy pogadać – mówi cicho, ale stanowczo.

Uśmiech znika z twarzy Paula. Napina ramiona, jakby szykował się na coś trudnego. Przez ostatnie tygodnie między nimi istniała dziwna cisza, żadne z nich nie mówiło tego na głos, ale oboje czuli, że coś się zbliża.

Wendy nie zwleka.

– Przez jakiś czas będziesz musiał mnie utrzymywać.

Paul otwiera usta, mruga, wpatruje się w dziewczynę, a potem oboje pochylają się do siebie, szepcząc przez chwilę. W końcu chłopak siada na ławce i chowa twarz w dłoniach. Milczy. Wszyscy wokół zaczynają zerkać ukradkiem, czując, że dzieje się coś istotnego.

Wtedy Wendy podchodzi do ławki, staje na niej i klaszcze kilka razy, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– Od dziś jestem oficjalnie kurą domową – oznajmia, unosząc ręce do góry w geście zwycięstwa. – A przynajmniej przez jakiś czas.

– Tak, z dużym domem na wsi, nianią i gospożą – wtrąca Sandra. – Nie przepracuj się specjalnie...

Wywołuje to salwę śmiechu. Wendy również chichocze, zakrywa twarz dłońmi, jakby naprawdę nie wierzyła, że to powiedziała na głos.

Paul wstaje powoli, przeciąga się teatralnie, po czym całuje Emmę, Sandrę i Rose w policzek bo właśnie usłyszał najlepszą wiadomość, na którą czekał od dawna. Podchodzi do Mii i bez słowa przytula ją z całej siły. Ona stoi zaskoczona, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Zresztą nie tylko ona – reszta domowników też nie rozumie tej nagłej euforii.

Ville już wstaje z podłogi, podchwytyjąc temat z entuzjazmem:

– Skoro Wendy nie musi siadać do maili od klientów... to może jeszcze jeden meczyk?

Odpowiedź jest natychmiastowa. Wszyscy znów podrywają się do gry – ktoś przynosi nową piłkę, ktoś inny zmienia skarpetki. Ville znów dmucha nos zaczynając kolejną paczkę chusteczek. W świetnych humorach wracają na swoje miejsca na boisku.

Wieczór zbliża się powoli, a to oznacza tylko jedno: czas usiąść razem przed ekranem projektora i obejrzeć kolejny odcinek *Liberty Fade Life*, który po raz pierwszy zagląda za kulisy życia zespołu – poza sceną, poza trasą, bez filtrów.

Robert właśnie schodzi z góry z triumfalną miną, unosząc kciuk w górę.

– Padł w pięć sekund – ogłasza, mając na myśli małego Roba.

Wendy dopija ostatni łyk herbaty i przeciąga się ze zmęczeniem.

– Idę zmienić Paula na polu walki – rzuca z uśmiechem i znika na schodach, by pomóc przy bliźniakach, które właśnie przechodzą w tryb nocnej furii.

Dziewczyna cicho uchyla drzwi do dziecięcego pokoju, trzymając w dłoni książkę: *Przygody Krecika i Tygrysa*. To już kolejny raz w ostatnich dniach, kiedy sama usypia bliźniaki. Jeszcze niedawno wydawało się to luksusem, na który nie mogła sobie pozwolić. Zawsze było coś do zrobienia, coś do dokończenia. Ale teraz... nie musi odbierać telefonów w środku kolacji ani pisać raportów po nocach. Rzuciła pracę. I zaczyna oddychać.

Dzieci już ją wypatrują, wyciągając rączki spod kocyka. Ich twarzyczki rozjaśniają się na widok mamy. Choć zdążyli się już przyzwyczaić do tych wieczornych chwil, wciąż traktują je jak małe święto. Wendy siada między nimi, otula dzieci ramionami i otwiera książkę. Zna te opowieści niemal na pamięć, ale to w niczym nie przeszkadza. Czyta spokojnym, rytmicznym głosem, akcentując znajome zwroty, robiąc te same pauzy, które maluchy już przewidują. Melissa uśmiecha się przy ulubionej scenie, a Peter powtarza końcowe zdanie, zanim Wendy zdąży je wypowiedzieć. Potem odkłada książkę i zaczyna nucić cicho kołysankę po japońsku. Melodia płynie miękko jak sen, łagodnie zamykając dzień. Gdy dzieci przymykają oczy, pochyla się, by pocałować je w czoło. Sprawdza jeszcze ustawienie kamerki w elektronicznej niani, gasi światło i wychodzi cicho, zostawiając za sobą pokój pełen ciepła i spokoju.

Rozdział 9

Wychowani perfekcyjnie, zepsuci idealnie

Ville i Rose wchodzą do salonu jako jedni z ostatnich. Na ich policzkach wciąż utrzymuje się lekki rumieniec, a spojrzenia, które sobie wymieniają, są zbyt zawadiackie, by dało się je zignorować. Zgromadzeni przed telewizorem nie komentują tego wprost: ktoś wzdycha, ktoś przewraca oczami, ktoś krzywo się uśmiecha. W końcu ktoś sięga po pilot i naciska play. Na ekranie pojawia się plansza tytułowa odcinka, jednego z tych bardziej osobistych: *Niemiecka precyzja*.

Silnik czarnego sportowego samochodu cicho pomrukuje, gdy Thomas skręca z głównej drogi do Adendorf. W środku gra techno — mocny, głęboki beat z syntezatorowym tłem i lekko industrialnym brzmieniem. Chłopak w czarnej czapce z daszkiem i ciemnych okularach przeciwsłonecznych lekko kołysze głową do rytmu, jakby nie wracał do rodzinnego domu, lecz do klubu w Hamburgu. Palce wystukują takt na kierownicy. Kiedy zbliża się do zakrętu przy starym buku, zerka w bok i skręca w prawo, a automatyczna brama z kutego żelaza otwiera się z cichym zgrzytem.

Jest późne popołudnie. Słońce wisi nisko, rozlewając złoto po dachówkach i szkle. Thomas widzi znajome linie — starą fasadę, portyk z kolumnami, rzeźbiony balkon, który kiedyś nazywał „amboną ojca”. Dom wygląda jak połączenie dwóch światów. Centralną część stanowi zabytkowa willa z końca XIX wieku. Góruje nad posiadłością białą elewacją, wysokimi oknami i mansardowym dachem. Jej skrzydła, dobudowane w ostatnich latach, są już zupełnie inne — przeszkłone, geometryczne, odważnie nowoczesne, a jednak dziwnie harmonijne. Garaż ukryto w zboczu. Automatyczne drzwi z czarnego, matowego metalu podnoszą się bezszelestnie, gdy Thomas naciska guzik na pilocie. Z tyłu posiadłości widać helipad, oznaczony białą literą H pośród soczystej zieleni. Obok, niczym schowany bunkier, w skarpe wkomponowany jest hangar z zielonym dachem, ledwie widoczny z góry. Wiadomo, że trzymają tam śmigłowiec, ale nigdy nie jest jasne, kiedy wraca i kiedy odlatuje. Nieco dalej, między linią sadu a ogrodem japońskim, rozciąga się basen o organicznym kształcie, z krawędziami wyłożonymi ciemnym kamieniem.

Thomas parkuje, wysiada z auta i zatrzaskuje drzwi z niemal teatralnym gestem. Potem wychodzi z garażu, gdzie stoją jeszcze trzy nowe samochody klasy premium, i kieruje się w stronę frontowych schodów, przy których na chwilę się zatrzymuje. Odsuwa lekko okulary na czapkę. Kamera nie nagrywa przypadkiem — wszystko jest częścią nowego odcinka.

– Witajcie w pierwszym odcinku Liberty Fade Life, pokazującym nasze życie prywatne, nasze rodziny i domy. Wychowałem się właśnie tutaj, choć szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy byłem tu ostatni raz. Dłoń Thomasa dotyka klamki. Wnętrze jest równie eleganckie jak dom z zewnątrz. Trochę klasyki, trochę nowoczesności, nieco eklektyzmu. Jasny salon z dużą łączy się z jadalnią. Nieco dalej rozciąga się otwarta biblioteka, dwupiętrowa, z antresolą i czarną, spiralną klatką schodową z metalu.

W fotelu przy regale z literaturą ekonomiczną siedzi ojciec Thomasa. Elegancki, zadbany mężczyzna po pięćdziesiątce, w okularach i z idealnie przyciętą brodą, wygląda tak, jakby właśnie wyszedł z sali konferencyjnej. Czyta gazetę, ale gdy dostrzega Thomasa, odkłada ją starannie na stolik obok.

– Witaj, synu. Jak przejażdżka? – pyta po niemiecku.

– Fajna maszyna. Możesz mi ją sprezentować.

Mężczyzna na moment nieruchomieje, nie drga mu nawet brew. Thomas parska cicho i robi minę chłopaka, który nie liczył na odpowiedź, ale musiał rzucić hasło, bo inaczej nie byłby sobą.

Zwraca się do kamery, tym razem po angielsku, bardziej pewnym, scenicznym tonem.

– Henrik Kleinert, mój tata. Prezes Klein Elektronik. Fabryka sterowników, automatyka przemysłowa.

Ojciec przez chwilę przygląda się synowi z wyważonym spokojem. W jego spojrzeniu nie ma ani złości, ani ciepła — jest czysta kalkulacja, jakby mierzył się z nowym projektem wymagającym zimnej głowy.

– Przemyślałem sprawę – mówi powoli. – Możesz sfilmować halę produkcyjną. Ale żadnych szczegółów. Kierownik produkcji dopilnuje reszty.

Potem uśmiecha się krótko i znów sięga po gazetę. Dla niego rozmowa jest zakończona.

– No jasne, tato. Zanim coś pójdzie w eter, dasz mi zielone światło. Obiecuję.

Obraca się wokół własnej osi, jakby szukał odpowiedniego kadru, zatrzymuje się i wreszcie mówi do kamery:

– Super. W takim razie jutro zabiorę was do fabryki. Ale najpierw pokażę wam kuchnię, w której może raz w życiu zrobiłem sobie kanapkę i herbatę.

Kuchnia jest nowoczesna i surowa – czarne fronty bez uchwytów, wyspa z ciemnego granitu, urządzenia w zabudowie tak dyskretne, że niemal niewidoczne. W tle słychać lekkie bulgotanie. Tu ewidentnie coś się gotuje. Thomas podnosi pokrywkę, uśmiecha się szeroko i kiwa głową z uznaniem. Po chwili podchodzi do lodówki, otwiera ją bez zastanowienia i nalewa sobie coli do szklanego kubka. Robi to machinalnie. Upija łyk, jakby potrzebował więcej czasu na zebranie myśli.

– Nie mam rodzeństwa, mama umarła już dawno temu. Ojciec się znowu ożenił, ale macochy w zasadzie nie znam – rzuca beznamiętnie, przechodząc do kolejnego pomieszczenia. – Tu na dole został jeszcze gabinet ojca. Tam są najciekawsze rzeczy.

Gabinet mieści się na końcu korytarza. Za ciężkim, dębowym biurkiem wisi czarno-biały portret dziadka Thomasa — mężczyzny z twardym spojrzeniem i wąsem, w kitlu roboczym, z rękami opartymi na modelu sterownika wielkości cegły. Poniżej, w przeszklonej gablocie, stoją stare, nieużywane już patenty i prototypy: aluminiowe skrzynki, płytki drukowane, fragmenty dawnych obudów.

– Dziadek Kleinert. Założył fabrykę Klein Elektronik w latach siedemdziesiątych. Inżynier, wynalazca, człowiek renesansu – mówi cicho i macha do postaci na portrecie. – Teraz chodźcie do mojego pokoju. Nie byłem tam chyba od wieków.

Wnętrze jest nowoczesne, surowe, chłodne, wszystko na swoim miejscu, ale wyglądające tak, jakby zostało wyjęte z katalogu. Łóżko z niską, grafitową ramą, równo zasłane, bez żadnych osobistych śladów. Biurko z czarnego metalu i szkła, puste poza lampką i stacją dokującą do laptopa. W rogu stoi konsola DJ-ska. Jedyne przedmiot, który wygląda, jakby ktoś wrócił tu po niego wczoraj. Na jednej ze ścian widać duże, wyblakłe graffiti, zrobione sprayem, kiedy Thomas miał może piętnaście lat. Pokój wygląda jak coś, co kiedyś żyło, ale zostało zatrzymane w czasie. Wszystko tu jest, tylko Thomasa już nie ma.

Chłopak zatrzymuje się na chwilę, bo właśnie coś usłyszał. Przekręca głowę, nasłuchuje, a potem spogląda na zegarek.

– O, wygląda na to, że czas na wyżerkę. Idziemy – rzuca z półuśmiechem i rusza w stronę schodów.

Zsuwa się po drewnianych stopniach, mija salon bez zatrzymywania się i kieruje prosto do części jadalnianej, gdzie wszystko jest już przygotowane. Ojciec również zasiada do posiłku. Gospoia sprawnym ruchem podaje talerze. W kuchni jej nie było, ale tutaj już jest, sprawna jak automat. Obiad przebiega w ciszy i spokoju. Nikt nie czuje potrzeby, by mówić. Thomas miesza łyżką zupę, próbując sobie przypomnieć, czy kiedyś to miejsce było głośniejsze.

– Jedziesz jutro do pracy? – pyta, nie odrywając wzroku od talerza.

– Nie. Lecę do Berlina, mam kilka spraw na głowie.

Następnie sięga po kromkę chleba. Gdy znów się odzywa, mówi po angielsku – elegancko i poprawnie, choć z wyraźnym niemieckim akcentem, który nadaje jego słowom szorstki rytm.

– Szkoda, że nie chcesz tutaj bywać częściej. Gdyby nie to, że koncertujecie w Niemczech, nie widywałbym cię wcale.

– Wiesz przecież, jakie życie prowadzę. Rzadko mam czas. Poza koncertami mam jeszcze inne projekty muzyczne.

Henrik unosi brwi z lekkim niedowierzaniem.

– I imprezy.

– A to też – przyznaje Thomas bez cienia wstydu. – Jadę dziś odwiedzić babcię Klarę. Pozwolisz, że wezmę jeszcze auto?

– Nie ma problemu – odpowiada, dalej przyglądając się synowi. – Cieszę się, że już nie chodzisz po domu w czapce z daszkiem. W końcu się nauczyłeś.

Odchyła się lekko na krześle.

– Wiesz co... weź to auto. W Londynie i tak ci się nie przyda, a tutaj będzie twoje. Może częściej będziesz mnie odwiedzał.

– Serio? Dzięki... wow!

Podbiega do ojca i całuje go w policzek. Henrik otwiera szeroko oczy, zupełnie zaskoczony.

– Sorry – rzuca Thomas ze śmiechem, obracając kluczyki do świeżego BMW w dłoni. – To przez Kurdupła. Zrobiłem się ostatnio trochę... wylewny.

Henrik tylko przytakuje, może nieco zbyt sztywno, po czym zerka w stronę kamery – wyraźnie nie czuje się z nią komfortowo. Wreszcie mówi spokojnie, bardziej do siebie niż do obiektywu.

– Thomas zawsze szedł pod prąd. W szkole miał dobre oceny, jakoś sobie radził. Chciałem, żeby został inżynierem. Wysłałem go na studia do Monachium ale uciekł po pół roku. Bez słowa wyjechał do Londynu.

– Zrobiłeś mi wtedy awanturę.

– I co, dziwi cię to? – odpowiada już nieco weselej. – Od zawsze interesowałem się muzyką elektroniczną. Doprowadzała mnie do szału. A ten jego styl ubierania... nie mogłem na to patrzeć. W Londynie zaczął grać na imprezach, szło mu coraz lepiej... ale podłapał to swoje towarzystwo. Na szczęście opamiętał się, gdy poznał młodego Riana.

Henrik śmieje się szczerze, zupełnie jak nie on.

– Ville Rian... z jednej strony totalny odklejeniec, artysta, ale z drugiej — chłopak trzyma poziom.

– Graliśmy kiedyś koncert w Hamburgu – wtrąca Thomas. – Zabrałem ekipę do fabryki. Libertyn stanął przy automacie montażowym i gapił się na to chyba godzinę. Musieliśmy go siłą wyciągnąć z hali.

– Mój syn poszedł w muzykę – ciągnie Henrik. – Spełnia się w tym. A zespół, którego jest częścią, osiągnął ogromny sukces. Powiem jedno... jestem z niego dumny.

Na ostatnim zdaniu głos lekko mu się łamie.

Thomas jest wyraźnie poruszony. Podchodzi i obejmuje ojca z całych sił.

Ekran na chwilę ciemnieje, by zaraz rozjaśnić się kolejnym kadrem: odrestaurowaną kamienicą w centrum Lüneburga. Thomas zatrzymuje się na chwilę przed wejściem — drewniane drzwi z mosiężną kołatką pamięta jeszcze z dzieciństwa. Mieszkanie babci znajduje się na drugim piętrze, z widokiem na rynek i kościół. Tu zawsze pachnie świeżo mieloną kawą i ciastem. To miejsce, w którym czas zwalnia, a nawet Thomas — wiecznie w ruchu — czuje się po prostu wnukiem, a nie członkiem zespołu rockowego. Babcia Klara mimo wieku emanuje energią, której mogłaby jej pozazdrościć niejedna czterdziestolatka. Zadbana, wyprostowana, o pewnym kroku, z siwymi włosami ułożonymi w modną fryzurę — gdzieś na granicy paryskiej elegancji i niemieckiego pragmatyzmu — wita Thomasa wylewnie, ściskając go tak mocno, że aż spada mu czapka.

– Też się cieszę, że cię widzę, babciu – mówi po niemiecku, próbując odzyskać równowagę.

Ona trzyma go za ramiona i patrzy z uwagą, jakby chciała zapamiętać każdą zmarszczkę i każdy cień na jego twarzy.

– Mój ukochany, jedyny wnuk... Pozwól, że ci się przyjrzę. – Uśmiecha się, a po chwili dodaje z rozbawieniem: – Dzięki temu waszemu programowi mogę chociaż wiedzieć, co u ciebie słychać. Choć nie wszystko mi się podoba, co ty i ten twój zespół tam wyprawiacie.

Grozi palcem, ale w jej głosie słychać tylko czułość.

Chwilę później przechodzą do salonu, gdzie wzrok od razu przykuwa kredens z porcelaną i rodzinnymi pamiątkami. Na półce obok stoją dwie winylowe płyty Liberty Fade, prezent od Thomasa, oraz kilka zdjęć zespołu oprawionych w ramki.

Chłopak siada w fotelu przy niskiej ławie, na której leży książka położona grzbietem do góry i miseczek z orzechami. Przez chwilę rozgląda się po salonie, po czym spogląda w stronę kamery.

– Babcia często bywa u ojca – mówi cicho. – Ale woli mieszkać sama.

– No bo tu mam koleżanki, klub seniora, wyskoczę na partyjkę kart, pogadam z sąsiadkami... – wtrąca Klara, stawiając przed nim filiżankę herbaty. – A tam? Pusty dom, Henrik z gazetą i szum czajnika co najwyżej. Nawet psa nie macie – dodaje z miną, jakby właśnie wygrała kolejną partię życia.

– Babcia jest duszą towarzystwa. W młodości grała na skrzypcach w filharmonii. Po niej mam słuch muzyczny.

– I urodę, którą chowasz pod tą swoją czapką z daszkiem.

– Babciu... to się nagrywa – przypomina Thomas z lekkim skrzywieniem, poprawiając włosy.

– I bardzo dobrze. Niech dziewczyny widzą. Może wreszcie jakąś znajdziesz, a nie skaczesz z kwiatka na kwiatek.

Wstaje z wdziękiem i rusza do kuchni. Gdy jej sylwetka znika za rogiem, Thomas pochyla się lekko do przodu i zerka w kamerę.

– Dobrze, że jestem tu teraz... zanim rodzina dowie się, że mam emocjonalnego chłopaka. Wtedy mnie wydziedziczą.

W tym momencie babcia wraca – cicho, ale zdecydowanie. W jednej ręce niesie dodatkowy talerzyk z ciastem, a drugą sięga do kieszeni bluzy wnuczka. Z wprawą, bez zbędnych słów, wsuwa mu do środka białą kopertę.

– Tylko nie wydaj na głupoty – mówi cicho.

Thomas natychmiast się prostuje, zaskoczony. Sięga do kieszeni, wyciąga kopertę i podnosi wzrok na babcię.

– Daję sobie radę. Naprawdę nie trzeba... – broni się, ale Klara już odwraca się z powrotem do stołu, zupełnie niezainteresowana protestami.

– To co tam słyhać u ciebie? – pyta, nalewając herbatę z dziwnym spokojem, choć właśnie wręczyła mu zawartość swojej emerytury.

Kadr powoli się ściemnia, zostawiając w tle cichy dźwięk gramofonu, który z każdą sekundą przybiera bardziej techniczne brzmienie, a obraz zmienia się nie do poznania. To fabryka sterowników – niski, nowoczesny budynek ze szkła i stali, którego chłodna elegancja kontrastuje z przemysłowym otoczeniem. Już od progu czuć tu precyzję: wnętrza są uporządkowane, ciche i pełne światła. Wysokie hale produkcyjne skrywają szereg maszyn o nieczytelnych dla laika funkcjach — wszystko działa tu płynnie, jak zaprogramowana symfonia. Pracownicy w białych fartuchach poruszają się w skupieniu, nie zwracając uwagi na odwiedzających. Nad całością czuwa kierownik produkcji, który dyskretnie dopilnowuje, by żadne wrażliwe detale nie znalazły się przed obiektywem kamery. Thomas prowadzi ekipę przez kolejne korytarze i wreszcie zatrzymuje się przy jednym z większych stanowisk, osłoniętym szybą ochronną i opatrzonym ostrzegawczymi piktogramami.

– A tutaj właśnie stał Libertyn – mówi z uśmiechem, wskazując na automatyczne ramię maszyny montażowej. – Patrzył na to tak, jakby odkrył nową planetę.

Za szybą urządzenie przesuwa drobne komponenty z precyzją godną zegarmistrza. Na ekranie migają wykresy i liczby, ale cały proces wydaje się niemal choreograficzne. Mechaniczne ruchy są płynne, niemal hipnotyzujące.

– To jeden z najstarszych automatów do montażu powierzchniowego – tłumaczy, uważnie dobierając słowa, by nie zdradzić niczego konkretnego.

Operator maszyny kiwa głową zza szyby, nie przerywając pracy. W tle słyhać ciche buczenie wentylatorów i szelest taśm. Ekran ciemnieje na dobre. Koniec odcinka.

Mia prostuje się na kanapie, przeciąga z gracją ramiona i unosi filiżankę herbaty, jakby celebrowała każdą sekundę. Jej usta rozciągają się w miękkim, pogodnym uśmiechu, a oczy błyszczą znajomym, ciepłym światłem.

– Kochana babcia Klara... – mówi z czułością, niemal szeptem. – Nic się nie postarzała. Widziałam się z nią kilka miesięcy temu. Zresztą Henrik też się nieźle trzyma.

– Od tamtego momentu moje relacje z ojcem bardzo się poprawiły – mówi Thomas. – Bywam w domu kilka razy w roku. A graffiti w mojej sypialni... wymieniłem. Ojciec nie był zachwycony – dodaje, mrugając porozumiewawczo.

Ville leży rozciągnięty na fotelu i niemal natychmiast parska śmiechem, aż poduszka zsuwa mu się spod głowy.

– W zeszłym roku graliśmy w Hamburgu. Pan Kleinert i babcia Klara przyszli na koncert – wspomina. – Babcia była z nami całą sobą. Znała wszystkie teksty, choć ledwo mówi po angielsku.

– A potem zrobiliśmy najazd na chatę Henrika – dorzucą Thomas. – Już po godzinie miał migrenę i błagał o ciszę, za to babcia Klara siedziała z nami do końca.

Mia wybucha śmiechem – tym charakterystycznym dźwiękiem, który od razu rozbraja wszystkich wokół.

– Dajcie człowiekowi spokój. Najważniejsze, że Thomas chętnie odwiedza ojca. To mnie naprawdę cieszy.

Odkłada filiżankę z delikatnym stuknięciem na blat i klaszcze w dłonie, jakby właśnie skończyła odprawę strategiczną.

– No dobrze. To co? Jedziemy z kolejnym odcinkiem?

Odpowiedź nie wymaga słów. Poduszki lądują na kolanach, ktoś podaje miskę z owocami, ktoś dopija swój napój, a na ekranie projektora już pojawia się napis: *La Mamma Italiana*.

Ekran rozjaśnia się powoli. Dron sunie nad rzędami zadbanej domów, tworzących harmonijną mozaikę czerwonych dachów i zielonych ogrodów, rozciągającą się wzdłuż spokojnych, krętych uliczek. W oddali majaczy panorama Londynu, ale tutaj panuje cisza, przestrzeń i domowe ciepło typowe dla eleganckich przedmieść.

Lot drona stopniowo się obniża, a w kadrze pojawia się urokliwy szeregowiec zachowany w klasycznym, angielskim stylu — ceglana elewacja, białe ramy okienne i starannie przystrzyżony żywopłot tworzą spójną, uporządkowaną całość. Z przodu widać dyskretnie wkomponowany garaż, który nie zaburza tradycyjnego charakteru domu. Przed drzwiami stoją Emma i Robert:

– Witajcie w Robhause. Nie zabiorę was do domu, w którym się wychowałem bo został sprzedany, kiedy moi rodzice przeszli na emeryturę i przenieśli się z Manchesteru do rodzinnego miasta mojej mamy, czyli Otranto we Włoszech. Za to ten dom – tu gestem wskazuje drzwi za sobą – odziedziczyłem po dziadkach. Zerwałem babcine tapety i zrobiłem po swojemu. Dziś razem z Emmą gościmy moich rodziców, a pewnie za chwilę wpadnie reszta hołoty z Liberty Fade. Zapraszam do środka.

Wnętrze zaskakuje od pierwszego kroku. Głęboko zielone ściany kontrastują z ciepłym drewnem podłogi i ciężkimi, industrialnymi półkami uginającymi się od narzędzi, kasków, modeli motocykli i starych części. W salonie, zamiast klasycznego zestawu wypoczynkowego, stoi rozłożysta skórzana sofa z wysokim oparciem, a nad nią wisi rząd oprawionych zdjęć z tras koncertowych, zlotów motocyklowych i rodzinnych spotkań. W rogu ustawiono perkusję i gitarę, które razem z puszkami oleju i winylami tworzą mieszankę warsztatu, muzeum i domowej bazy wypadowej.

Sercem domu jest jednak kuchnia — przestronna, nowoczesna, w wyraźnej kontrze do reszty wnętrza, jakby Robert oddał tu stery komuś innemu. Przy wyspie krząta się niska, krągła Włoszka o błyszczących oczach i ciemnych włosach spiętych w supeł. Ubrana w pastelowy fartuszek w kwiaty i domowe klapki, porusza się z werwą, jakby gotowanie było choreografią, którą zna na pamięć. Na ogniu bulgocze sos pomidorowy z bazylią, który miesza szczupły, siwy mężczyzna.

Emma rozkłada sztucę z wprawą kogoś, kto dobrze zna ten dom. Rzuca krótkie spojrzenie w stronę kuchni i zanim zdąży ułożyć serwetki, w drzwiach pojawiają się pozostali.

Libertyn nie zatrzymuje się ani na moment — w trzech krokach podchodzi do kobiety, rozkładając ramiona z teatralnym wdziękiem.

– La mamma italiana! Mniam, mniam!

Kobieta natychmiast obejmuje go z czułością i gładzi po włosach.

– Ah, ten chłopak... Zawsze coraz bardziej magro, ale też coraz bardziej przystojny. Ja cię jeszcze utuczę, tesoro, nie martw się.

Robert patrzy z ukosa, oparty o framugę, ale zanim zdąży coś powiedzieć, Ville wystawia mu język jak nieznośny brat. Robert uśmiecha się krzywo, podchodzi i przytula kobietę mocno.

– Moja mama, Lucia. Prawdziwa Włoszka z krwi i kości. Przez wiele lat pracowała jako inżynier dźwięku dla różnych telewizji. To ona zaraziła mnie muzyką.

– A to mój tata, Robert Walker – emerytowany pilot lotniczy i zapalony wielbiciel starych motocykli. Teraz już wiecie, skąd u mnie to hobby.

Na moment zatrzymuje wzrok na pustym kącie stołu, jakby widział tam coś więcej niż tylko wolne miejsce.

– Mam też dwie starsze siostry, ale mieszkają za granicą.

Matka Roberta zaczyna podawać obiad. Rozmowy płyną wartko, ktoś opowiada anegdotę, ktoś dorzuca żart. Ville prowadzi zażyłą dyskusję z panem Walkerem, gestykulując i układając dłonie w kształt skrzydeł samolotu. Emma dołącza do rozmowy, wyraźnie zainteresowana tematem.

Lucia popija herbatę, patrząc na zespół z czułym podziwem — jakby widziała w nich nie tylko przyjaciół syna, ale też wartości, które sama ceni.

– Ten dom należał do moich teściów – mówi. – Robert mieszkał tu z babcią, kiedy przyjechał na studia prawnicze, ale nigdy nie pracował w zawodzie. Zawsze miał w głowie te bębny i gary... choć co do garów, to do gotowania ma dwie lewe ręce.

Robert całuje ją w rękę i odwraca się do kamery.

– Chodźcie, pokażę wam, co jest dla mnie ważne.

Garaż przypomina męską twierdzę, w której każdy detal ma swoją historię. Czarne ściany stanowią tło dla dwóch motocykli z ręcznie malowanymi przez Roberta grafikami — jednego klasycznego, ze złotymi ornamentami, i drugiego nowoczesnego, w ostrych, kontrastowych kolorach. Na ścianach wiszą narzędzia, pistolety lakiernicze, maski i pojemniki z farbami, ułożone w równych rzędach. Wszystko mówi o precyzji, pasji i godzinach spędzonych nad szczegółem.

Kamera jeszcze przez chwilę sunie po chromowanych detalach motocykla, odbijających światło jak tafla wody, aż obraz łagodnie się rozmywa i przechodzi w kolejne ujęcie.

Robert i Emma przemierzają spokojne przedmieścia Londynu. Wrześniowe słońce rozlewa ciepłe światło, a liście zaczynają przybierać złote odcienie. Po chwili wyjeżdżają za miasto, gdzie droga prowadzi przez pola i łagodne wzgórza. Cisza i przestrzeń dają chwilę wytchnienia, a wiatr na twarzy przypomina, jak bardzo cenią te wspólne przejażdżki.

Zatrzymują się na skraju małej polany. Świat jakby zwalnia. Robert przyciąga Emmę do siebie i całuje. Kadr gaśnie i po chwili pojawia się neonowy napis *The Vinyl Den* nad wejściem do budynku z białej cegły. Klub, którego współwłaścicielem jest Robert, znajduje się w sercu modnej, artystycznej dzielnicy

Londynu. Znany i lubiany, przyciąga ludzi szukających dobrej muzyki i atmosfery. To nie tylko biznes, ale jego przestrzeń.

Zespół Liberty Fade siedzi już przy stoliku. Thomas i Ville obok siebie, blisko, ale bez przesady. Reszta rozproszyła się pod sceną.

Ville uśmiecha się szeroko, ale jego uwagę przyciągają dwie dziewczyny.

– Może coś podziałamy?

– Gadasz jak stary zboreźnik.

Libertyn parska śmiechem i palcem wskazuje miejsce nad górną wargą.

– Patrz, tu mi się wąs sypnął.

Thomas pochyla się bliżej, przygląda mu się uważnie, po czym przecząco kręci głową.

– Przepraszam, co ci się tam sypnęło?

– No, wąs. Muszę się ogolić, nie robiłem tego od wczoraj.

– Jesteś idealnie gładki – odpowiada, muskając go po policzku. – Gdybym ja się nie golił od wczoraj, miałbym tarkę. Albo Rob. Ten to by zarósł. Na amen.

Ville szczerzy się szeroko.

– U mnie to przez hormony.

Do stolika wraca reszta Liberty Fade, a tuż za nimi Emma, prowadząc za rękę wysoką, zjawiskową blondynkę. Dziewczyna ma na sobie obcisłą sukienkę w odcieniu szampańskiego złota, subtelnie połyskującą przy każdym ruchu. Jej krok jest sprężysty, a spojrzenie pewne siebie i lekko rozbawione. Gdy podchodzą bliżej, Ville z uśmiechem unosi wzrok i bez cienia wahania przyciąga ją do siebie jednym ruchem ramienia.

– Poznajcie Viktorię. Vika jest modelką – rzuca do kamery teatralnym, rozbawionym tonem, jakby zapowiadał atrakcję wieczoru.

Dziewczyna odwraca głowę i uśmiecha się uwodzicielsko. Przesuwa palcem po kołnierzu jego koszuli, nachyla się i daje mu namiętnego, ale kontrolowanego buziaka — dokładnie na tyle śmiałego, by kamera uchwyciła każdy szczegół, ale nie na tyle, by wyglądało to nieprzyzwoicie. Kiedy się odsuwa, jej spojrzenie celowo zatrzymuje się na obiektywie.

– Cześć, jestem Vika. A to? – gestem dłoni wskazuje Villego. – To mój ulubiony fotel na dzisiaj. Miękki i stylowy.

W kadrze pojawia się Paul. Prowadzi za rękę szczupłą dziewczynę o klasycznej japońskiej urodzie.

– Poznajcie moją ukochaną – mówi Paul, sadzając dziewczynę sobie na kolanach.

Ona odwraca głowę w stronę kamery i uśmiecha się szeroko, niemal z figlarnym przymrużeniem oka.

– Jestem Wakanae Tanaka, dla przyjaciół Wendy. Pochodzę z Tokio, ale od wielu lat mieszkam w Londynie.

– Znamy Wendy całkiem dobrze – mruczy Ville. – W zeszłym roku towarzyszyła naszemu basiście w trasie. W tydzień trzy razy się z nim rozstawiała.

Wendy od razu wybucha śmiechem i opiera czoło na ramieniu Paula. Doskonale wie, że Ville od dawna żartuje z ich relacji i że cała ekipa zna ten rytuał: rozstania, powroty, wyjazdy, kwiaty, kolacje i znowu ciche dni. Śmieją się wszyscy, nawet Paul, choć teatralnie potrząsa głową, nieco zrezygnowany.

– Było, minęło – mówi wesoło. – Już się nie mogę doczekać, aż przedstawię widzom moje pszczoły.

– To każda ma imię i nazwisko? – pyta Ville, natychmiast się prostując.

Thomas odstawia szklanę, z powagą poprawia sobie kołnierzyk i zmienia głos na zmysłowo-słodki.

– Jestem Helena Miodzio, lubię lawendę, źle toleruję fiołki.

Rob unosi brew, jakby nagle naszła go poważna refleksja.

– To ile właściwie masz tych pszczoł?

– Trzy ule. Latem to ponad dwieście tysięcy.

– To ich przedstawianie trochę ci zajmie... – wtrąca Rob.

Emma rozciąga się na krześle i uśmiecha z przekąsem.

– W zasadzie mamy kontent odcinków do końca przyszłego roku. Już nic nie musimy robić!

W tej samej chwili na scenie zapada półmrok. Przez głośniki przepływa miękka gitara, a zaraz potem dołącza wokalista – cichy, zmysłowy, niosący ze sobą coś więcej niż słowa. Nowy zespół zaczyna grać balladę, a światło reflektorów przecina ciemność miękkimi smugami. Ville wstaje pierwszy, nie spuszczać wzroku z Viktorii. Wyciąga do niej rękę z teatralnym wdziękiem, jakby zapraszał ją nie tylko do tańca, ale i do wspólnej roli w tym wieczornym spektaklu. Dziewczyna przez chwilę patrzy na niego spod półprzymkniętych powiek, uśmiecha się lekko i przeciągle, a potem z pełną gracji pewnością siebie wstaje i splata z nim palce. Zanim ruszy z Libertynem na parkiet, jeszcze raz poprawia włosy i rzuca spojrzenie przez ramię w stronę kamery. Uśmiech ma kokieteryjny, ale obliczony na efekt. Upewnia się, że została zauważona.

Klub pulsuje w półcieniach, pełen kobiet w lekkich sukienkach, topach i błyszczących dodatkach. Każda z nich jest inna – uśmiechnięta, obserwująca, jedna nieśmiała, druga śmiała aż do przesady. Thomas zatrzymuje się przy rudowłosej dziewczynie z figlarnym uśmiechem. Ich spojrzenia się spotykają, a on, bez cienia pośpiechu, obejmuje ją w talii. Pochyla się i całuje ją miękko, z czułością, jakby robili to nie pierwszy raz.

Ville z kolei obraca się ku Viktorii, która już stoi przy nim blisko, lekko przechylając głowę i czekając na sygnał. Gdy jej dłoń spoczywa na jego ramieniu, on łagodnie przejmuje prowadzenie — odwraca ją lekko w tańcu i pochyla się ku niej, muskając jej szyję z teatralną czułością. Vika przymyka oczy, wyraźnie zadowolona z tej uwagi, i odgarnia włosy na bok, jakby zachęcała do powtórki. Jej ciało układa się do jego ruchów z naturalną lekkością, a spojrzenie, które co chwila rzuca w stronę kamery, zdradza jedno: doskonale wie, że jest obserwowana. I właśnie to sprawia, że błyszczy najjaśniej.

Obraz powoli ciemnieje, dźwięki cichną. Odcinek dobiega końca.

Jeszcze przez moment słyhać tylko szmer projektora i delikatne skrzypnięcie fotela, zanim Paul odzywa się jako pierwszy – z lekkim uśmiechem i spokojem w głosie:

–Chciałbym zauważyć, że od tamtego momentu z Wendy jesteśmy nierozłączni.

Ona, siedząca tuż obok, przytula się do niego, wtulając policzek w jego ramię. Jej oczy błyszczą cicho od miłości, zmęczenia i czegoś, co przypomina ulgę.

Rob prostuje się i rzuca z dumą:

– Ja też chcę powiedzieć, że wtedy z Emmą byliśmy już na poważnie. Zastanawia się chwilę. – Kiedyś to ja byłem ukochanym syneczkiem mamusi – rzuca z teatralnym westchnieniem. – Ale Libertyn skradł

jej serce, a ojciec też się nim zachwyca. I tą jego siostrą, Emmą. Bo oni, proszę państwa, latają sobie szybowcami – dodaje z powagą spoglądając w obiektyw kamery.

Emma patrzy na niego z lekkim zdziwieniem nie będąc pewna, czy powinna się obrazić, czy roześmiać. Robert całuje ją w czoło z rozbrajającą miną idioty zakochanego po uszy.

Atmosfera jednak powoli staje się coraz bardziej senna. Ktoś ziewa, ktoś przeciąga się. Rami sięga po pilota, wyłącza projektor, a potem podaje dłoń Mii. Ona wstaje z gracją i razem, bez słów, kierują się do wyjścia. Rob i Emma również podnoszą się z kanapy, przeciągając się z cichym pomrukiem znużenia. Thomas i Sandra zbierają swoje kubki, szepcząc coś do siebie o rudej dziewczynie.

W pokoju zostaje tylko Ville i wtulona w poduszkę Rose. On szturcha ją delikatnie palcem w ramię.

– Libertini... jak tam mój wąs? – szepcze z teatralnym namaszczeniem.

– Nie wiem... zapytaj Viktorię – mruczy, po czym z powrotem wtula się w poduszkę z lekkim uśmieszkiem.

Libertyn to dostrzega, ostrożnie przesuwa się bliżej niej. Sprawnym ruchem wchodzi na nią, opierając się na łokciach. Przez chwilę tylko patrzy z bliska na jej twarz, a potem, muska ustami jej szyję.

Rose nie otwiera oczu, ale odchyła głowę, ukazując miejsca, które uwielbia, kiedy całuje je właśnie on. Ville zdejmuje swoją koszulę i powoli unosi rąbek jej piżamy odkrywając brzuch, po którym suną jego zgrabne palce. Dziewczyna wygina się lekko w odpowiedzi, a on patrzy na nią z coraz wyraźniejszym zainteresowaniem, jakby świat wokół zupełnie przestał istnieć.

Nagle ktoś wchodzi do pokoju. To Robert. Zapomniał telefonu. Sięga po urządzenie i rzuca przez ramię:

– Może wyłączycie kamery?

Po czym gasi światło i bez słowa wychodzi.

Kolejnego późnego popołudnia, tuż po wyczerpującej próbie, Paul siedzi przy wyspie kuchennej, z łokciami opartymi o blat. Miesza łyżką truskawkowy shake, który już dawno przestał być zimny i świeży. Wzdycha ciężko. Pije go od pół godziny – nie dlatego, że ma ochotę, tylko z braku lepszego zajęcia. Z cichym szelestem kroków do kuchni wchodzi Ville. Ubrany schludnie: dopasowany sweter, ciemne spodnie, skarpetki jak spod igły. Włosy ma perfekcyjnie ułożone z teatralną wręcz precyzją. Wygląda, jakby dopiero co skończył sesję zdjęciową, a nie zszedł z piętra rezydencji.

– O, mój ulubiony basista – rzuca lekko, przystając przy wyspie. – Co tak siedzisz? Pszczoła cię użądliła?

Paul unosi wzrok. Przez chwilę nic nie mówi, tylko kiwa głową i odpowiada sucho:

– Mam problem... Chodzi o Wendy. Jest kilka dni na bezrobociu, a już ją nosi.

– To Wendy – stwierdza z rozbawieniem. – Prędzej czy później zaczniesz szukać pracy. Zresztą chyba tak się umawialiście?

– Nie mam nic przeciwko jej pracy. Ale boję się powtórki z rozrywki. Nie wiem, jak z nią porozmawiać. Zerka na Villego kątem oka sprawdzając, czy może mówić dalej.

– Mój wspólnik James z Bee&Leaf ma świetne pomysły. Ostatnio pracowaliśmy nad kosmetykami dla dzieci. Mamy już badania z laboratorium – wszystko potwierdza, są bezpieczne nawet dla noworodków.

– James to ten chemik z kreskówkową twarzą? – wtrąca Ville, siadając na wysokim krześle.

– Tak. Genialny, z głową pełną wizji. Ja jestem od finansów. Mamy też handlowca, ale on ogarnia tylko stałych klientów. Nie możemy zwiększyć produkcji, bo nie mamy komu sprzedawać. A nie sprzedamy, bo...

Libertyn unosi palec w górę jak uczeń w klasie.

– Bo wasza strona internetowa jest beznadziejna, a social media nie istnieją. Wiem, widziałem. Rose i Sandra też się dziwiły, jakim cudem w ogóle coś sprzedajecie.

– Sam widzisz – mówi cicho. – A nie chcemy zatrudniać agencji ani nikogo z zewnątrz. Nie chodzi o pieniądze. Chodzi o misję firmy.

Zaciska usta, odwraca wzrok na chwilę, a ton jego głos nieco opada nabierając czegoś osobistego.

– Bee&Leaf to nie ma być kolejna marka w supermarkecie. To ma być coś elitarnego. Coś swojego.

Na moment zapada milczenie. Paul lekko unosi brodę, jakby chciał coś dodać, ale zawiesza głos w powietrzu. W końcu przechyla się, oplata palcami szklankę.

– Myślałem o Wendy. Już kiedyś jej to zaproponowałem – żeby się zaangażowała w firmę, zamiast się wypalać w tej swojej korpo. Ale wtedy zrobiła mi awanturę. Dlatego nie chcę jej naciskać. Zwłaszcza teraz, kiedy ma wolne.

Ville nie przerywa. Siedzi spokojnie, pochylony lekko do przodu, z dłońmi splecionymi na blacie. Jego oczy śledzą każdy ruch Paula – nie jak sędzia, raczej jak widz obserwujący teatr jednego aktora.

– Myślałem, że może kiedy wrócimy do domu i poczuje, że jest u siebie... znajdę moment, żeby zadziałać – dodaje Paul, ledwo słyszalnie.

– Boisz się jej – mówi cicho Ville. – Nie chcesz brać odpowiedzialności za jej wybory. Dlatego jeszcze jej tego nie zaproponowałeś.

Ton głosu jest miękki, ale słowa celne. Paul unosi wzrok, marszczy brwi, ale nie protestuje. Zamiast tego wbija spojrzenie w shake'a, jakby naprawdę coś mogło się tam rozpuścić i dać mu odpowiedź.

– Jeśli chcesz – zaczyna Ville powoli. – Mogę z nią pogadać. Po mojemu. Jeśli się zgodzi, a jej się nie spodoba to zwalisz winę na mnie. A jeśli jej się spodoba i poczuje, że robi coś dla siebie... wtedy ty zbierzesz laury.

Zapada cisza. Jeszcze głębsza niż wcześniej. Paul milczy, bo słowa Villego spadły na niego z opóźnieniem. Powoli obraca szklankę w dłoniach. Gęsty płyn wiruje leniwie, hipnotyzująco.

– Daję ci wolną rękę.

– Może być ostro. Nie przywal mi.

– Ale bez macania – stwierdza stanowczo Paul mrużąc przy tym oczy.

Niedługo po tej rozmowie, rodzina i domownicy znowu zasiadają do wspólnego oglądania. Światło sączy się spod abażura i odbija w kubkach z herbatą. Kanapy zajęte, Thomas na podłodze głaszcze Echo za uchem, Sandra schowała pod kocem jak kot w gnieździe, tylko nos i oczy wystają spod tkaniny. Rami siedzi w półcieniu z gitarą akustyczną na kolanach. Delikatnie przygrywa *Confession* – utwór, który napisał dla Mii w dniu zaręczyn. W pokoju panuje miękki, romantyczny nastrój, jakby czas zwolnił. Mia słucha uważnie, lekko pochylona w jego stronę. Gdy dźwięki cichną, Rami odkłada gitarę, delikatnie całuje jej dłoń i przez moment patrzy jej w oczy, jakby chciał zapamiętać to spojrzenie do końca świata. Dziewczyny wzdychają cicho. Nawet Paul milknie, obejmując Wendy za ramiona. Atmosfera jest miękka, ciepła, niemal sakralna. Ville siedzi w rogu pokoju, nieruchomy, wpatrzony w

czarny ekran projektora. W jego oczach błyska znajomy cień psoty. Uśmiecha się zawadiacko, przeciąga z gracją kota i podchodzi do Wendy. Kuca przy niej, a w zasadzie klęka na jedno kolano.

– Mam do ciebie romans – oznajmia teatralnie, nisko, z dramatyczną nutą.

Wendy unosi brew, unosząc też głowę znad poduszki.

– Ale się nie oświadczasz?

– A chciałybyś?

Paul właśnie popija sok i prawie się nim krztusi. Patrzy z przerażeniem, jakby ktoś rzucił granat w jego osobisty system nerwowy. Rose nawet nie podnosi wzroku znad telefonu. Wydaje się zupełnie niewzruszona.

Dziewczyna odpowiada spokojnie:

– Jesteś dla mnie za niski.

– Może i tak. Ale wiesz... mały, ale wariat.

Wendy nie wytrzymuje. Chwyta poduszkę i zakrywa twarz, śmiejąc się tak, że aż podciąga kolana. Ville, niewzruszony, zabiera Wendy poduszkę, dotyka lekko jej dłoni i pochyla się w stronę jej ucha z konspiracyjnym szeptem:

– Chodź w jakieś ustronne miejsce.

Paul marszczy brwi. Przez chwilę nie wie, czy to jeszcze flirt, czy już trzeba działać. Libertyn odwraca się i bezczelnie pokazuje mu język, po czym bierze dziewczynę za rękę.

Światło lampki tworzy ciepłą poświatę na betonowym blacie biurka. Ville siada po swojej stronie stołu, nonszalancko opierając łokieć o chłodną powierzchnię. Wendy zajmuje fotel naprzeciwko, z rozbawionym, ale już nieco bardziej zaciekawionym spojrzeniem. W powietrzu unosi się aromat cynamonu z herbaty zostawionej przez kogoś wcześniej – delikatny, domowy zapach, który zupełnie nie pasuje do industrialnego wnętrza.

– Jak tam na bezrobociu? – zagaduje Ville, zerkając na nią spod grzywki.

– Uczę się odpoczywać.

– To dobrze. Czasem chciałbym, żeby Rose też była kurą domową – mówi z udawaną nostalgią w głosie, obracając w palcach cienki ołówek.

– Przecież zawsze mówisz, że cenisz jej pracę.

– Od kiedy ma nową, to ciągle złowieszczo się śmieje. Nie wiem, czy się na mnie nie czai. Niezbyt komfortowo się przy niej czuję.

Wendy wybucha śmiechem. Przechyla głowę, zakłada nogę na nogę i już wie, że Libertyn do czegoś zmierza.

– Słuchaj, mam sprawę. Ale najpierw... – podchodzi do ściany, wciska przycisk. Czerwona dioda kamery gaśnie z cichym kliknięciem. – Mam kolegę. Zdolny, ale brakuje mu żyłki marketingowej. Ma świetny produkt i kilka fajnych pomysłów, tylko jego sakiewka klientów jest skromna...

– Chyba portfel klientów – poprawia go.

Libertyn przewraca oczami, wraca na fotel i siada bokiem.

– To chyba tak, portfel, *whatever*. Marketing i PR kuleje. Pomyślałem, że skoro i tak siedzisz w domu, to może byś chciała mu trochę pomóc. Oczywiście od razu mówię, że zarobki nie będą korporacyjne.

– Mam z czego żyć, mam Paula – rzuca z lekkim rozbawieniem, po czym dodaje z ciekawością: – Co to za produkt?

– Dobry. Musisz mi uwierzyć na słowo. Skoro jesteś kurą domową, to nazwijmy go... *kukuryku*.

Dziewczyna przekrzywia głowę, opierając się wygodnie w fotelu.

– Serio?

Ville tylko się szczyrzy, jakby właśnie sprzedał najlepszy dowcip dnia.

– Totalnie.

I już rozmawiają. Wendy wypytuje o wszystko: grupę docelową, kanały dystrybucji, opakowanie, przekaz. Rzuca o kampaniach w social mediach i wymienia typowo branżowe hasła które dla laika zupełnie nie mają sensu. Ville przytakuje z uwagą, kiwa głową, coś bazgrze na marginesie kalendarza, choć nie ma bladego pojęcia, o czym dokładnie dziewczyna mówi. W środku czuje się jak dziecko na lekcji chemii – rozumie, że to ważne, ale nie rozumie ani słowa. Uśmiecha się szeroko, nieco zbyt długo. Błaga w duchu, żeby ta rozmowa się już skończyła.

Po czterdziestu minutach rozmowa w gabinecie faktycznie dobiega końca. Wendy jest cała rozpromieniona. Kiedy wychodzą, dziewczyna jeszcze coś mówi o potencjale zasięgów. Libertyn tylko kiwa głową i pospiesznie otwiera drzwi, przepuszcza ją przodem, a potem razem wracają do salonu, gdzie czeka już reszta. Paul patrzy z niedowierzaniem, jak Wendy – cała w rumieńcach, z włosami lekko rozwichrzonymi i Ville wchodzi razem do salonu. Ich kroki są zaskakująco lekkie, zbyt zsynchronizowane. Libertyn poprawia mankiet bluzy, Wendy odgarnia kosmyk z czoła, oboje się uśmiechają. Wyglądają... no, wiadomo jak. Jakby wrócili z czegoś, co niekoniecznie było rozmową o marketingu.

– I jak było? – pyta Paul, wciąż zdziwiony, ale również zazdrosny. Lekko unosi brodę, obserwując Wendy z napiętą miną.

– Fajny z niego kogucik. – stwierdza beznamiętnie, biorąc łyka wody. – Gadaliśmy o *kukuryku* – dodaje z niewinną miną, siadając z powrotem na kanapie i zawijając nogi pod siebie.

– O czym?

– I o sakiewce klientów – dopowiada jeszcze. Przeciąga się lekko i przez moment zapatruje w ogień kominka. – Swoją drogą, piękny marketing można by z tego zrobić. I to za nieduże pieniądze. Jeśli *kukuryku* faktycznie jest tego warte...

Uśmiecha się do siebie, już nie tylko dla żartu. W jej spojrzeniu pojawia się błysk analitycznego zapachu.

– Ale by było... – mruczy. – Wypromować coś, co już jest na rynku, ale nie ma reklamy, ani żadnego PR-u...

Mia, dotąd spokojna, z filiżanką na kolanach, nagle się prostuje. Zdejmuje nogę z nogi, przekręca głowę w stronę Wendy.

– Co to za *kukuryku* i ile można na tym zarobić?

– Mam takiego kolegę... – wtrąca Ville.

Ale Mia unosi dłoń bez cienia emocji i przerywa mu gestem:

– Aha. Już wszystko wiem.

W salonie nagle zapada cisza. Wszyscy odruchowo spoglądają po sobie, szukając wzrokiem sensu tej wymiany zdań. Nie mają jednak za dużo czasu na analizę.

– To co z tym odcinkiem? – pyta Ville pośpiesznie. – Będzie dziś czy idziemy spać z kurami?

Po chwili ekran rozświecła się, a światło z projektora rozlewa się po ścianie. Po chwili pojawia się tytuł:
Oni straszą mi pszczoły.

Dron zatacza łagodne koło nad zieloną przestrzenią, sunąc tuż nad koronami drzew. W dole – małe, typowo angielskie gospodarstwo. Dom z czerwonej cegły, rozłożysty i zadbane, z białymi ramami okien i ciemnym dachem, który pamięta niejedną ulewę. Ogród z tyłu nie jest przycięty co do milimetra – raczej dziki, tętniący życiem. Trawa lekko wybujała, polne kwiaty kołyszą się na wietrze, w kącie warzywnik. Kilka grządek z pomidorami i ziołami. Pośrodku stoją trzy kolorowe ule, obsiadane przez pracowite pszczoły. W tle drzewa, niektóre stare, z powykręcanyymi gałęziami, jakby patrzyły z góry na całe podwórko.

Widać rękę gospodarza. Albo kogoś, kto o to wszystko dba, kiedy Paul wyjeżdża na kilka miesięcy z zespołem. Kamera zbliża się do frontu domu i łagodnie przechodzi do wnętrza. W holu czysto, domowo. Po prawej – salon. Typowo angielski, w stonowanych kolorach, z dużymi fotelami, miękkim światłem i kilkoma gitarami wiszącymi na ścianie. Po lewej – przestronna kuchnia połączona z jadalnią.

Paul opiera się o jedno z krzesel.

– Witajcie w Paulhause w malowniczym zakątku hrabstwa Hertfordshire.

Następnie kamera kieruje się do kuchni. Przy stole, z kubkiem herbaty, laptopem i wyraźnym skupieniem na twarzy siedzi Wendy, macha do kamery, a następnie wraca do pracy – wygląda, jakby właśnie zamykała jakiś ważny raport. Przy blacie w kuchni krząta się wysoka blondynka, Paul podchodzi do niej.

– Moja starsza siostra, Anna. Mama dwóch córeczek.

Paul wskazuje na siedzące przy stole dziewczynki jedzące owoce. Następnie patrzy na Annę i mówi dalej:

– Zanim Ville mnie zatrudnił u siebie, robiłem karierę jako szef kuchni w bistro siostry.

Ona uśmiecha się do kamery, a następnie wraca do swojego zajęcia. Na blacie kuchennym piętżą się zawijasy mięsne, marynaty, warzywa. Wszystko wskazuje na nadchodzącego grilla.

– Z siostrą mamy wyjątkową więź – mówi, siadając przy stole. – Mimo różnicy wieku, stawała za mną, kiedy rodzice wrzeszczeli, że nie uczyć się, tylko te gitary.

– Zawsze w niego wierzyłam – Anna kiwa głową, zerkając na mięso. – Miałam przeczucie, że trafi do zespołu, z którym osiągnie sukces.

– Skończyłem szkołę ekonomiczną. Mama załatwiła mi pracę w banku, miałem iść na studia. Postudiowałem rok, może trochę dłużej i rzuciłem to w cholerę. Wolałem pomagać Annie rozkręcać bistro. Rano gotowałem, wieczorem grałem na gitarze akustycznej.

– Klienci to kochali. Kolacja przy gitarze, winie i świecach.

– Rodzice rozwiedli się dawno temu. Ojciec ciągle na kontraktach, głównie na platformach wiertniczych – mówi Paul, podjadając paprykę.

Anna daje mu lekkiego kuksańca w rękę i uśmiecha się. Paul dodaje:

– Rodzice ciężko pracowali, żeby zapewnić nam wszystko. Wtedy w Polsce, skąd pochodzą, było bardzo trudno. Bez perspektyw. Tu w Anglii im się udało – zawodowo. W życiu prywatnym niekoniecznie.

– Rodzice pomogli mi rozkręcić bistro, dali pieniądze na start – wtrąca dziewczyna.

– A mnie dorzucili się do gospodarstwa. Dzięki temu kupiłem ziemię. Teraz ją dzierżawię. No i mam pszczoły.

Miłą rozmowę przerywa pomruk silnika – na podjeździe pojawia się czarny SUV.

Paul wzdycha ciężko i z wymuszonym uśmiechem mówi:

– Hołota z Liberty Fade przyjechała na wyżerkę.

Silnik samochodu gaśnie, Ville wyskakuje jako pierwszy. Zaraz za nim Emma, Robert i Thomas. Dzieciaki Anny podbiegają w podskokach, uzbrojone po zęby w pistolety na wodę.

Zespół wymienia porozumiewawcze spojrzenia. Bez słowa chłopcy zrzucają koszulki, zostają w samych kąpielówkach i chwytają karabinki wodne. Emma, ubrana w czarny kostium, jednym ruchem pozbywa się zwiewnej sukienki. Rozlega się wrzask dzieci. Woda leje się przez całe podwórko. Dorośli biegają, chlapiąc się, tarzając w trawie, krzycząc i śmiejąc się, jakby nie było jutra. Widać umięśnione torsy chłopaków, błysk mokrej skóry, lekki flirt w spojrzeniach. Emma w czarnym stroju wygląda jak modelka z katalogu sportowego. Psy szczekają w oddali. Pszczoły zdają się nie przejmować tym zamieszaniem. Paul zatrzymuje się w pół kroku na ganku i zamiera.

– Mieliliśmy rozmawiać o pszczołach... – i z teatralnym grymasem dodaje – Wendy, oni straszą mi pszczoły.

Dziewczyna podchodzi do niego i całuje go w policzek, po czym patrząc w obiektyw kamery dodaje:

– Dziś o pszczołach będzie bardzo dużo.

Wszyscy ruszają do ogrodu. Mokre towarzystwo po wojnie na pistolety wodne powoli schnie na słońcu. Ville, który stwierdził, że najlepiej wysuszyć się na trampolinie, od dwudziestu minut skacze po niej z córkami Anny. Obie piszczą, śmieją się i przewracają. Paul stoi przy grillu z koncentracją godną chirurga – obraca mięso delikatnie, ciągle coś poprawia, wacha przyprawy, przestawia na stoliku obok. Dym pachnie rozmarynem i słodką papryką. Przy drewnianym stoliku kawowym w ogrodzie Anna żywo rozmawia z Emmą o wnętrzach i planowanym remoncie bistro.

– Chcę to zrobić po swojemu. Trochę drewna, więcej światła, mniej kompromisów – mówi z ogniem w oczach.

Emma kiwa głową z uznaniem, szkicując coś palcem po stole. Rob i Thomas leżą w leżakach, jakby czas dla nich stanął w miejscu. Jeden z zamkniętymi oczami, drugi z książką, w której od pięciu minut nie przewrócił strony. W oddali bzyczą pszczoły jednostajnym, miękkim dźwiękiem.

Obraz zostaje nieco przyspieszony, trochę natury, trochę pól, Paul serwujący mięso z grilla, dzieciaki i Ville biegający po ogrodzie, Emma i Robert całujący się na leżaku i wreszcie wyjazd Anny i jej córek – przytulaski, buziaczki, machnięcia ręką.

Samochód Anny oddala się, a ogród na chwilę cichnie. Paul spogląda dookoła, zaciera ręce z entuzjazmem bo najwyższy czas zająć się tym, co naprawdę go kręci.

– No, teraz czas na pszczoły. Cały dzień o tym marzyłem.

Ville i Emma przewracają oczami – już wiedzą, co ich czeka. Thomas chowa się za czapką, Rob udaje, że czyta.

– Podejźmy bliżej ula – proponuje Paul z szerokim uśmiechem.

– Ja nigdzie nie idę – burczy Libertyn. – Jestem zbyt słodki, zaraz któraś mnie ugryzie.

– Ostatnio nabijaliśmy się z Heleny Miodzio – przypomina Thomas. – Ona nam tego nie daruje. Zostaniemy tu z Kurduplem.

Przyciąga Villego do siebie, sadza go na kolanach i coś szepcze do ucha. Libertyn zagryza wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Emma, Robert? A wy?

Para przytula się i zgodnie stwierdza, że wolą obejrzeć grządki pomidorów. Zrezygnowany Paul idzie sam, zakłada kombinezon pszczelarski i po chwili, z podkurzaczem w dłoni, odymia jeden z uli. Pochyla się, unosi ramkę i przygląda się uważnie. Pszczoły brzęczą głośno, ale harmonijnie. Kamera zbliża się do jego twarzy – skupionej, spokojnej. W jego ruchach nie ma ani jednej zbędnej sekundy.

– Tu widać miód – mówi, wskazując palcem. – Tu pyłek. Czerwony z koniczyny, żółty z rzepaku. Pszczoły przynoszą to, co znajdują w promieniu kilku kilometrów. Wiedzą lepiej niż nawigacja.

Nie mówi z przesadą. To nie wykład, ale raczej głos człowieka, który naprawdę kocha to, co robi.

– Królowa gdzieś tu jest. Widzicie? Robią jej miejsce.

Zespół siedzi dalej, w bezpiecznej odległości, jakby oglądali dokument National Geographic – tylko na żywo. Nagle jedna pszczoła odrywa się od ula i zaczyna krążyć wokół Villego.

– Nie robię gwałtownych ruchów, nie robię gwałtownych ruchó... AAAAA!!

Z wraskiem rzuca się do ucieczki, przewracając po drodze poduszkę z ławki.

– Ona mnie zna! Pamięta mnie z tamtej imprezy! To Helena Miodzio! – krzyczy, chowając się za plecami Thomasa.

Paul niewzruszony odkłada ramkę i spokojnie zamyka ul, kieruje się w stronę domu by po chwili wrócić z drewnianą skrzynką pełną słoiczków z miodem.

– Dobra, teraz najważniejsze – oznajmia z powagą i stawia słoiczki na stole w ogrodzie. – Ten miód jest z lipca, dominuje koniczyna. Ten – z początku sierpnia, więcej nostrzyka. A ten? Ten jest wyjątkowy – dziki pyłek, prawie nie do zdobycia.

Z ekscytacją opowiada o strukturze kryształków, fermentacji, wilgotności powietrza i znaczeniu dobrej ramki. Reszta zespołu kiwa głowami z szacunkiem. I lekką desperacją.

Wendy, dotąd milcząca, rzuca cicho:

– Paul, kocham cię, ale jeśli jeszcze raz powiesz „pierzga”, to skoczę do ula i poproszę o uządlenie.

– No co?! To jest fascynujące!

Ville zerka znad filiżanki.

– Było fascynujące przez pierwsze trzydzieści sekund.

Podnosi się i przytula do Thomasa, który nie protestuje.

– Dziki pyłek... brzmi jak coś, co mógłbym pocałować.

– Hmm... ja też.

Paul krzywi się w uśmiechu, kończy wykład, ostrożnie zbiera słoiczki i znika z nimi w domu. Reszta ekipy wyleguje się w cieniu rozłożystego drzewa: Emma z książką opartą o kolana, Rob z czapką nasuniętą na oczy, Thomas z rozpiętą koszulą i sennym uśmiechem. Paul wraca po chwili i już ma do nich dołączyć, gdy dzwoni telefon. Zatrzymuje się w pół kroku, prostuje plecy i odbiera, jakby odruchowo wchodząc w tryb oficjalny. Cofa się lekko, staje bokiem do tarasu szukając lepszego zasięgu. Mówi cicho, spokojnie, gestykuluje. I... kłania się.

Emma unosi wzrok.

– Ukłonił się już trzy razy.

Zespół obserwuje rozbawiony. Paul wygląda jakby rozmawiał z ambasadorem królowej pszczoł. Kiwa głową, znów się kłania. I znów. Gdy w końcu kończy rozmowę, odkłada telefon i głęboko oddycha. Robert przeciąga się leniwie na leżaku, zdejmując czapkę z oczu i półżartem, półserio unosi rękę.

– Chodź, przyjacielu – mówi, wskazując na Paula. – Opowiedz, kto cię zmusił do siedmiu ukłonów z rzędu?

Ville przekrzywia głowę, mruży oczy niczym detektyw w tanim serialu.

– Rozmawiałeś z moją mamą?

– Skąd wiesz? – pyta Paul wyraźnie zbity z tropu.

– Po prostu wiem – odpowiada z niewinnym wzruszeniem ramion.

– Tylko pani Miraaya potrafi sprawić, że człowiek zaczyna się zachowywać jak japoński urzędnik państwowy. Zamawiała miód. Konkretne proporcje. Żadnych lipowych domieszek.

Robert spogląda na niego z powagą, jakby chciał powiedzieć coś istotnego.

– Kiedy rozmawiam z panią Miraayą przez telefon, to nigdy nie siedzę.

Ville i Emma przytakują bez słowa, niemal jednocześnie.

Obraz zaczyna powoli ciemnieć, a w tle zostaje tylko jednostajny, letni szum pszczoł. Ville, Emma, Robert i Thomas wsiadają do samochodu i odjeżdżają. Cisza. Słońce miga przez drzewa.

Nagle Thomas prostuje się.

– Wiecie, że ul to taki trochę harem?

Ville zerkając w lusterko, szczerzy się, na co Emma mruczy pod nosem:

– Zaczyna się.

– Serio – mówi Thomas. – Jedna królowa, a reszta pracuje. Chciałbym mieć harem. Oj, działa by się...

– Ja bym chciała dwa haremy. Laseczki i przystojniaczki – rzuca Emma z rozmarzeniem.

– Nie dla mnie – stwierdza Robert. – Tyle kobiet w jednym miejscu oznacza zazdrość, krzyki, dramy... Może jakiś mały, żeby łatwiej było ogarnąć.

– Oj tam – wzrusza ramionami Emma. – Taką krzykliwą babę wrzucasz do wulkanu i masz spokój na jakiś czas.

Chłopcy wymieniają porozumiewawcze spojrzenia i zaczynają się uśmiechać.

– W moim haremie – dodaje dziewczyna złośliwym tonem. – Chłopcy z Liberty Fade byliby eunuchami. A jeśli któryś zacznie dramatyzować... cyk! Do wulkanu.

Zapada cisza, ale tylko na moment. Emma odchyła głowę do tyłu i wybucha złowieszczym śmiechem, aż siedzący obok chłopcy odruchowo robią przerażone miny – Thomas teatralnie zasłania się paczką chusteczek do szyb, a Robert chowa twarz za oparciem fotela.

– Jakby na to spojrzeć – wtrąca Thomas patrząc na Villego wymownie. – Mógłbyś mieć legalny harem.

– A ja jako jego siostra bym w nim rządziła – rzuca Emma splatając dłonie na kolanach.

Ville marszczy brwi i krzywi się z udawaną rezygnacją:

– Nie harem tylko zenanę. Ale niestety urodziłem się sto lat za późno... Szkoda.

Emma odwraca głowę i patrzy przez szybę, gdzie drzewa przesuwają się w złotym świetle.

– Szkoda... – powtarza cicho, z lekkim uśmiechem.

Kamera oddala się stopniowo. Auto znika za zakrętem, a ostatnim dźwiękiem zostaje śmiech niosący się echem po drodze.

Ekran powoli wygasa, światło projektora słabnie, zostawiając w salonie przytulny półmrok. Przez moment nikt się nie odzywa – wszyscy siedzą w ciszy, przetrawiając emocje po tym, co właśnie zobaczyli. Ktoś się przeciąga, ktoś inny sięga po herbatę, miękki szelest kubka o spodek przerywa chwilową stagnację. Sandra, oparta o poduszkę, scrolluje telefon.

– Zdaje się, że wtedy jeszcze nasi widzowie dalej nie wiedzieli o dynastii Rathore – mruczy. – Potomków maharadży, z których pochodzi Mia. Jest mnóstwo pytań i komentarzy o harem. I co to właściwie miało znaczyć, że Ville urodził się sto lat za późno.

Mia przeciąga się lekko, opierając ramię o oparcie fotela.

– Harem, a w Indiach – zenana to nie tylko nałożnice, to też wyznaczona część domu – dla żony, matki, sióstr, córek... Haremów jako takich, z kobietami do uciech cielesnych już dawno nie ma w Indiach i to Ville miał wtedy na myśli.

Thomas podnosi wzrok znad szklanki.

– Zaczęły się teorie. Ludzie łączyli pierścień pradziadka z tym tekstem o haremie.

Sandra chichocze cicho.

– Ktoś napisał: „Pierścień + ukłony + miód na specjalne zamówienie + Ville z manierami jak z XIX-wiecznego dworku = coś tu bardzo nie gra. I ja chcę wiedzieć co”. Albo: „Ta cała pani Miraaya to nie jest żadna mama gwiazdy rocka. To jest ktoś, przed kim nawet Paul się prostuje i zapomina, że ma kręgosłup”.

Mia unosi brwi i śmieje się pod nosem.

– Nie wiedziałam, że się tak kłaniacie kiedy dzwonię – rzuca, zerkając w stronę kamery.

Cała grupa wybucha śmiechem, a Mia kręci głową z rozbawieniem. Potem znów zapada spokojna cisza. Ville bierze łyżkę paulowego miodu ze stołu, bez słowa wkłada ją do swojej herbaty i zaczyna mieszać. Ruch powolny, niemal obojętny. Wzrok utkwiony gdzieś w naparstku płynnego złota wirującego w kubku. Wendy patrzy na to przez sekundę z rozkojarzeniem, a potem... nagle jej oczy się rozszerzają. Jakby właśnie zrozumiała o czym rozmawiała z Libertynem w gabinecie.

Otwiera usta. Mruży oczy. Odwraca głowę i patrzy na Villego z rosnącym podejrzeniem. Głos ma niski, powolny:

– Koguciku, jak szybko biegasz?

Ville nie podnosi wzroku.

– Dość szybko. A co?

– To zacznij uciekać, nie ręczę za siebie.

Libertyn zrywa się z kanapy niczym oparzony i biegnie w stronę korytarza, przeskakując przez pufę. Dziewczyna leci za nim, podwijając rękawy.

– Zabiję cię, Kurduplu!

Rose wybucha złowieszczym śmiechem, opadając na bok kanapy, jakby oglądała ulubioną scenę z filmu. Paul powoli się prostuje, zdezorientowany. Kręci głową pojmując właśnie co tu się dzieje.

– Aaa, to o to chodziło.

Rose przeciąga się leniwie i mówi z teatralnym spokojem:

– Hmm.... Dziwię ci się, Paul, że nie skojarzyłeś faktów na początku, ale podziwiam za to, że mu nie przywaliłeś w tę piękną buzię gdy flirtował z Wendy na twoich oczach.

– Myślami jestem już w domu, mam ul w głowie. A on mógł chociaż dać jakiś znak, żebym się tak nie denerwował...

– Pokazał ci język – przypomina Mia, jakby to była rzecz oczywista.

W tle słychać tupot Wendy i okrzyk Villego dobiegający z piętra. Paul przymyka na chwilę oczy, przypomina sobie dzisiejszą rozmowę z Libertynem i uśmiecha się sam do siebie.

Rozdział 10

Czołg, BMW i elektryczne Porsche

Sandra dostaje telefon z pracy. Krótkie wyjaśnienie: brakuje człowieka, termin jest nie do ruszenia, a ona jest na miejscu. Przebywa na urlopie, ale nie waha się długo. Zgadza się.

Jeszcze tego samego dnia opuszcza Rianhouse. W ostatniej chwili przyjmuje zlecenie od swojej brytyjskiej firmy scenograficznej. Ma zastąpić jednego z techników przy instalacji scenicznej na potrzeby rekonstrukcji inspirowanej coroczną Wojną Zimową. To wydarzenie od lat przyciąga tłumy entuzjastów militariów z całej Europy Północnej.

Na miejscu od razu wchodzi w tryb pracy. Razem z głównym inżynierem przegląda projekt – linia po linii, bez pośpiechu, bez skrótów. Porównują dokumentację z rzeczywistym rozmieszczeniem elementów sceny, sprawdzają odległości, kąty, punkty bezpieczeństwa. Wszystko musi się zgadzać. Na końcu kierownik podpisuje odbiór. Teren można przekazać organizatorom.

Reszta ekipy się zbiera. Sandra nie. Zostaje. Nie widziała wcześniej czegoś takiego na żywo. Coś ją zatrzymuje – ciekawość, może instynkt. Siada z boku, wciąż w roboczym kombinezonie, z rękami wsuniętymi w kieszenie. Obserwuje.

Na leśnej polanie rozlega się wycie syren. Z głośników płyną rozkazy po rosyjsku: ostre, metaliczne. Dym podnosi się z pozorowanych wybuchów, ziemia drży od huków. Żołnierze w hełmach biegną wzdłuż okopów, strzelając ślepa amunicją do nacierających oddziałów. Granaty hukowe rozświetlają przestrzeń krótkimi błyskami.

To nie jest jeszcze właściwy pokaz, to próba przed jutrzejszym widowiskiem. Sandra patrzy na to w milczeniu. Dym, hałas, ruch i kolor składają się w obraz niepokojąco realistyczny. I wtedy go widzi. Wysoki mężczyzna w fińskim mundurze przebiega przez zasłonę dymu, z atrapą karabinu przewieszoną przez ramię. Porusza się płynnie, skupiony, jakby wszystko wokół przestało istnieć. Zatrzymuje się przy workach z piaskiem, zdejmuje hełm i przeciera czoło. Na chwilę dym się rozrzedza. Sandra mruży oczy. Subtelna uroda. Delikatne rysy. Ciemne, lekko zmierzwione włosy. Gładka twarz bez zarostu. I oczy – zielone, jasne, z tym samym niepokojącym błyskiem, który zna aż za dobrze. To on. Wygląda jak ktoś wyjęty z innej epoki. Jak postać z wojennego plakatu. Zupełnie poza czasem. To nie ma sensu. A jednak wszystko zaczyna się zgadzać.

Obrazy łączą się nagle, bez ostrzeżenia. Siniaki, o których Mia mówi półgłosem. Kolejne „weekendy z kolegami”. Wymijające odpowiedzi Ramiego. Jego coraz częstsze milczenie. Wszystko wskazuje na swoje miejsce. Układa się w jeden, nieprzyjemnie spójny wzór. Sandra przestaje patrzeć na scenę. Patrzy na prawdę. Nie na artystę w kostiumie. Nie na ekscentryczne hobby. Na sekret. Sekret, który nie należy do niej. Stoi jeszcze chwilę, jakby próbowała cofnąć tę jedną myśl. Gdy widowisko trwa dalej, w niej coś cichnie. Zostaje tylko jedno, chłodne przekonanie: wygodniej byłoby tego nie wiedzieć. Wyjechać z ekipą. Zamknąć ten dzień w folderze z projektami. Zapomnieć o twarzy w dymie. Ale jest już za późno.

Rami wraca dopiero następnego dnia wieczorem. Trzyma się za żebro, lekko się krzywi, próbując zachować neutralny wyraz twarzy. Nie umyka to uwadze Mii. Patrzy na niego z niepokojem. To kolejny raz, kiedy weekend kończy się kontuzją. Jeszcze do niedawna przyjmowała jego narrację. Na pytania, co się dzieje, Rami odpowiadał półsłówkami, wzruszeniem ramion, mętnym tłumaczeniem o „artystycznym chaosie”. Od dawna wyjeżdżał na weekendy, powołując się na potrzebę wyciszenia,

oddechu i skupienia. Czasem znikał na kilka dni, innym razem tylko na parę godzin. I jakoś nigdy nie budziło to większych podejrzeń. Nie był przecież przeciętnym mężczyzną.

Mia ufała mu bezwarunkowo. Dopóki wracał trzeźwy i nie znikał do tybetańskiego klasztoru, nie widziała powodów do niepokoju.

Ale miesiąc temu coś w niej pękło. Urazy przestały wyglądać na przypadkowe. Zaczęły układać się w niepokojący ciąg. Mia coraz częściej łapała się na tym, że obserwuje go uważniej niż zwykle – sposób, w jaki się porusza, jak zapomina drobne rzeczy, jak unika spojrzeń. W jej głowie pojawiły się pierwsze czarne scenariusze: choroba, nowotwór, guz mózgu, utrata pamięci.

Zapisała go na serię badań. Od tamtej chwili chodziła niespokojna, napięta, czujna. Gdy przyszły wyniki, odetchnęła z ulgą. Wszystko było w normie. Ale pytanie, dlaczego Rami wraca po weekendach z kolejnymi kontuzjami, pozostało bez odpowiedzi.

Temat na chwilę ucichł. Aż do dziś. Sandra z racji bliskości z rodziną Rianów wie o wszystkim. O stresie Mii, o badaniach, o coraz bardziej napiętej atmosferze. Zaczyna ją to przerastać. Nie zastanawia się długo, idzie do sypialni Villego i Rose, gdy słyszy zaproszenie, wchodzi powoli.

Rose jest sama, siedzi przy toalecie i kończy wieczorny makijaż.

– Co tam, kochanie? – pyta, próbując trafić kolczykiem w dziurkę prawego ucha.

– Mam problem. Duży. Nie wiem, co mam zrobić.

Przyjaciółka odwraca się w jej stronę i ruchem dłoni zachęca ją, by mówiła dalej.

– Lojalność, dyskrecja... to hasła tego domu. Tylko nie wiem – zawiesza głos na moment, po czym siada na szeszlunku naprzeciwko – komu w tej sytuacji mam być lojalna.

– To rozwiń myśl. Jestem częścią tej rodziny. Może coś ci doradzę.

Sandra zagryza wargi, nerwowo pociera czoło i przez chwilę wodzi wzrokiem po gładkich, granatowych ścianach, minimalistycznych lampach i fortepianie o czarnym, lśniąco wykończonym wykończeniu.

– Rami... – zaczyna niepewnie. – On tarza się w błocie z atrapą karabinu. Rekonstrukcje wojenne. Widziałam go. Byłam przy montażu scenografii.

Rose zrywa się z krzesła.

– O kurwa... To dlatego ma te siniaki i ciągle go coś boli.

– A Mia? – wtrąca cicho Sandra. – Ona się martwi. Myśli, że coś mu dolega.

– Lojalność... – powtarza półgłosem Rose. – Lojalność.

Zaczyna krążyć wokół fortepianu. Raz. Drugi. Kolejny. Sandra śledzi ją wzrokiem, nie odzywając się ani słowem.

W końcu Rose siada przy biurku ze szklanym blatem i zaczyna porządkować leżące tam dokumenty i książki. Ruchy ma spokojne, zbyt spokojne.

– Ty nic nie wiesz – mówi twardo. – Zostaw to mnie. A ty o tym zapomnij.

Mii nie ma. Wyszła na jeden ze swoich wieczornych treningów. Rose wykorzystuje tę chwilę i kieruje się do gabinetu, gdzie najpewniej zastanie Ramiego. I się nie myli. Wchodzi bez zapowiedzi, jakby to było jej własne miejsce. Jej teść siedzi przy biurku, pochylony nad szkicem – najpewniej nowej rzeźby. Koszulę ma lekko rozpiętą, rękawy podwinięte. Wygląda na skupionego, spokojnego.

Rose staje w drzwiach, opiera się ramieniem o framugę. Na jej twarzy pojawia się uroczy, półzadziorny uśmiech, którym zwykle rozbraja Villego.

– Jak żeberko? – rzuca lekko. – Boli?

Rami nie podnosi wzroku. Krzywi się nieznacznie, bardziej z rozbawienia niż z bólu.

– Ciekawe, jak się czuje ten Rosjanin, którego napażdałeś atrapą karabinu po plecach – dodaje z udawaną troską.

Rami zamiera. Dłoń zatrzymuje się nad szkicem. Dopiero po chwili unosi głowę i patrzy na nią. Bez uśmiechu.

– No właśnie – ciągnie Rose spokojnie. – I powiedz mi, co ja mam z tą wiedzą zrobić. Powiedzieć Mii, która nie spała po nocach, czekając na wyniki badań i kolejne konsultacje... czy nie powiedzieć? I co się stanie, jeśli sama odkryje prawdę?

– Nie będę cię pytał, skąd wiesz – mówi w końcu. – Ale skoro ty wiesz, to moja żona też się dowie. Prędzej czy później.

– Dlaczego jej nie powiedziałaś?

– Kochanie... mam pięćdziesiąt dwa lata i czołgam się w błocie jak dzieciak. To nie brzmi poważnie.

– Hobby to hobby – odpowiada bez emocji. – Mówi się, że facet bez zainteresowań zaczyna kombinować na boku. Wszyscy wiedzą, że interesujesz się bronią, dobrze strzelasz, jesteś w formie. Po co te tajemnice?

– Broń, strzelanie i kondycja to jedno. A przebieranie się w mundur z drugiej wojny i tarzanie się w piachu przed publiką... to już brzmi jak kryzys wieku średniego, nie pasja.

– Tylko że sprawa wymknęła się spod kontroli, drogi teściu – ucina Rose chłodno. – I jako żona twojego syna powiem ci jedno: gdyby Vivaan zrobił coś takiego za moimi plecami, nie miałabym litości.

– Nie? – pyta, tym razem wyraźnie spięty. – Co byś zrobiła?

Rose siada w fotelu i zaczyna się lekko bujać. Składa dłonie w piramidkę, przybiera niewinną minę.

– Dla mnie to nie jest „nie mówienie wszystkiego”. To jest kłamstwo. Bo ona cię o to pytała. I wiedziałaś, że się martwi.

– A co byś zrobiła na jej miejscu, gdybym jej powiedział, czym zajmuję się w weekendy?

– Najpierw bym się wkurzyła. A potem pojechałabym na tę rekonstrukcję z apteczką i zapasem maści rozgrzewających. I kazałabym zwiększyć ubezpieczenie zdrowotne.

Rami parska śmiechem. Opiera głowę na dłoni. Przez chwilę siedzi w ciszy, obserwowany przez Rose.

– Muszę jej powiedzieć – mruczy w końcu. – Lepiej, żeby to wyszło ode mnie niż od obcych.

Zatrzymuje się na moment, bierze kilka głębokich oddechów. Uśmiecha się krzywo.

– A co byś powiedziała, gdyby Ville kupił za twoimi plecami czołg?

Dziewczyna unosi brwi. Przez chwilę wygląda, jakby chciała coś powiedzieć, ale rezygnuje. Podchodzi do okna.

– A przynajmniej działa? – pyta spokojnie.

Gdy widzi jego lekkie potaknięcie, dodaje:

– To duży wydatek. Mamy z Vivaanem pewne limity na rzeczy kupowane bez konsultacji. Byłoby mi przykro, że to zataił... chyba że to miałyby być niespodzianka.

Odwraca się, podchodzi bliżej, opiera dłonie o blat i patrzy mu prosto w oczy.

– Bo to prezent, prawda?

On przełyka ślinę. Rose czeka. Gdy nie dostaje odpowiedzi, uśmiecha się lekko.

– Pamiętam tę scenę. Amidała wspominała o czołgu w którymś z odcinków. Zdaje się, że niedługo właśnie będziemy to oglądać.

Rami wstaje zza biurka, przeczesuje włosy dłonią.

– Dla mojej wnuczki zrobię wszystko. Poza tym... lubię ekstrawagancję.

Siada z powrotem, jakby nagle stracił energię.

– Tak, pamiętam ten odcinek, to będzie dobra okazja aby jej powiedzieć – wzdycha ciężko. – No to zobaczymy, jak bardzo jesteś podobna do mojej żony.

W tym czasie, gdy Rami próbuje poukładać wszystko w głowie i rozważa niemal każdy możliwy scenariusz łącznie z rozwodem z własnej winy, Thomas z Sandrą oraz Paul i Wendy z dziećmi opuszczają Rianhouse i wracają do swoich spraw.

Nad ranem w rodzinnym domu Thomasa w Adendorf, panuje kojący spokój. W kuchni unosi się zapach herbaty z imbirem, a pierwsze promienie słońca miękko przeciskają się przez zasłony. Sandra siedzi przy długim, drewnianym stole w jadalni, owinięta w miękki kardigan, z kubkiem w dłoniach. Delektuje się ciszą, przegryzając musli z suszonymi owocami.

Z salonu dobiega stłumiony głos Thomasa. Pochylony nad tabletem rzuca krótkie uwagi po niemiecku, omawiając z ojcem szczegóły techniczne związane z fabryką. Henrik, z dłonią opartą na oparciu kanapy, słucha uważnie i kiwa głową.

Między nimi wytworzyła się nić zawodowego porozumienia – krucha, ale prawdziwa, wypracowana z trudem na przestrzeni ostatnich lat. Henrik został mile zaskoczony informacją, że Thomas dotarł do tak nietypowych dostawców w Indiach. Takie kontakty uchodziły w branży za niedostępne. Zazwyczaj trafiało się jedynie na pośredników z własnymi logotypami i głośnymi szyldami, podczas gdy prawdziwi wykonawcy, ludzie od brudnej roboty, pozostawali ukryci w cieniu. Teraz jednak, dzięki tej ścieżce, otwiera się dla Klein Elektronik szansa na współpracę wyjątkowo opłacalną. Po raz pierwszy Thomas dostał od niego arcytrudne zadanie. Zadanie, które mogło go przerosnąć, ale nie zawiódł. Wręcz przeciwnie, przyniósł rozwiązanie z najwyższej półki, takie, którego on sam nie mógłby się spodziewać. Henrik domyśla się, że to Mia podsunęła mu właściwą drogę, lecz to Thomas odważył się nią przejść. Dlatego ojcowska dumka niemal wylewa się z jego oczu, bo poza zabawą z młodym Rianem i tym całym blaskiem fleszy, Thomas potrafił wykorzystać to co najcenniejsze w biznesie – kontakty. Henrik podnosi się z kanapy i rzuca jeszcze ostatnie spojrzenie na zegarek. Ma ważne spotkanie w Hamburgu. W drzwiach poprawia mankiety koszuli, rzuca szybkie "Bis später!" i znika. Po chwili słychać tylko szum wirników jego helikoptera.

Niedługo potem Thomas i Sandra zbierają się do wyjścia. Dzień zapowiada się pracowicie, a Thomas chce odwiedzić halę produkcyjną i spotkać się z menadżerem projektu. Ma ze sobą kilka notatek i prezentację z ostatnich targów technologicznych w Finlandii, którą chce przekazać zespołowi.

Gdy tylko przekraczają próg Klein Elektronik, powietrze zmienia się. Staje się pełne mechanicznego rytmu, szumu maszyn i zapachu metalu. Thomas znika niemal natychmiast w jednym z korytarzy prowadzących do biur, zostawiając Sandrę samą. Ona wchodzi na halę produkcyjną, przyciągana znajomym dźwiękiem zgrzytów, kliknięć i pisków. To nie pierwszy raz, gdy odwiedza firmę Henrika – była tu już nieraz, czasem towarzysko, czasem z ciekawości. Ale za każdym razem czuje to samo: fascynację. Staje na chwilę w miejscu, jakby chciała zatrzymać ten moment w pamięci. Stalowe

ramiona robotów, precyzyjnie działające mechanizmy, ludzie w uniformach skupieni nad zadaniami. Sandra oddycha głęboko. Jako inżynier mechatronik rozumie każdy etap, zna zasady działania tych maszyn, ale mimo wiedzy, którą posiada, wciąż patrzy na to wszystko z dziecięcą ciekawością. Tu nie chodzi tylko o technikę – to sztuka w ruchu, logika spleciona z precyzją. I choć zna ten świat, nadal ją zachwyca.

Thomas podchodzi do niej i całuje w tył głowy.

– To co wracamy?

Już po chwili sportowe BMW sunie po bocznej drodze, prowadzącej przez las. Silnik mruczy równo, a głośniki wyrzucają z siebie klubowy beat, który wypełnia kabinę aż po dach. Thomas siedzi prosto, obie ręce na kierownicy, ale prawa dłoń rytmicznie uderza w skórzaną wieniec, podążając za muzyką. Krótco przygryza wargę, lekko się kołysze. Jego twarz jest rozluźniona, spojrzenie skupione na drodze. Obok niego Sandra opiera czoło o szybę. Jej wzrok błądzi po drzewach migających za oknem jak niekończąca się taśma filmowa. Od jakiegoś czasu nosi w sobie pytanie, z którym Thomas uparcie nie chce się zmierzyć. Zawsze obraca wszystko w żart, zmienia temat albo całuje ją, zanim zdąży dokończyć zdanie. Ale dziś... dziś czuje, że musi. Powoli sięga do radia i ścisza muzykę. Zamiast rytmu basu zapada ciche napięcie. Thomas zerkając kątem oka, marszczy lekko brwi i odrywa jedną rękę od kierownicy.

– Musimy pogadać – mówi Sandra spokojnie, ale zdecydowanie.

– Dobrze – rzuca, zerkając na nią uważnie.

– Chcę wiedzieć... jak widzisz naszą przyszłość? – pyta, wbijając wzrok w jego profil.

Chłopak wzdycha głęboko, po czym przewraca oczami, jakby dobrze znał ten scenariusz. Nie mówi nic. W zamian zjeżdża na pobocze, zatrzymuje auto na zacienionej leśnej drodze. Gasi silnik, opiera się na fotelu i patrzy prosto przed siebie.

– Co dokładnie masz na myśli?

– Czy traktujesz nas poważnie? Jesteśmy razem od dawna, wszystko niby gra... Ale co dalej?

– Tak, jesteśmy razem od dawna – powtarza Thomas. – I wszystko jest w porządku.

– A co z przyszłością? Z naszym związkiem...

– Jeżeli szukasz romantyzmu – przerywa jej lodowatym tonem – to trafiłaś pod zły adres. Spędzasz za dużo czasu z Rose.

– Czyli nie mam prawa wiedzieć, co myśli mój chłopak?

Thomas zamyka oczy, jakby walczył z narastającym bólem głowy. Wzdycha.

– Wszystko jest dobrze. Dogadujemy się. Po co to psuć?

– A co z dziećmi? Czy chociaż jedno jest w planach?

– W tym temacie nic się nie zmieniło – mówi twardo, bez cienia zawahania. – Kochanie, nie możemy cieszyć się chwilą, którą mamy?

– Możemy – odpowiada w końcu cicho, niemal szepcząc.

– To jadę. Jestem zmęczony – mówi beznamiętnie i pogłośnia radio.

Ale teraz w głowie dziewczyny rezonują słowa Thomasa. Jego niechęć do wspólnego życia, do zobowiązań, do planowania czegokolwiek więcej niż jutrzejszy dzień. Dotąd udawało jej się przymykać na to oko – jego luz, wolność, dystans. Ale coś w niej zaczyna się kruszyć. Ma już dwadzieścia dziewięć

lat. Nie naciska na ślub, nie oczekuje zaręczyn. Chce tylko wiedzieć, że to wszystko ma jakiś kierunek. Że nie będzie tkwić w półświecie między „razem” a „jeszcze nie teraz”. Jeśli Thomas nie zmieni podejścia... prędzej czy później sprawa stanie się poważna. Ale nie dziś. Dziś chce tylko wziąć gorący prysznic, włączyć telewizor i obejrzeć kolejny odcinek *Liberty Fade Life*.

Wendy siedzi w kuchni z kubkiem kawy i laptopem przed sobą. Ubrana nienagannie, z delikatnym makijażem i błyskiem we włosach. Cera ma zdrowy kolor, oczy śledzą linijki tekstu, dłonie przesuwały się po klawiaturze z gracją i precyzją. Na zewnątrz, grudniowy świt. Za oknem zamglone świerki i szron na tarasie, a w środku przyjemne ciepło i zapach kawy z nutą wanilii. Schodami, zaspany, w piżamie w kratę, zsuwa się Paul. Zatrzymuje się na kilka kroków od niej, przeciera oczy i obserwuje w ciszy. Wendy nie podnosi wzroku, ale już wie, że tam stoi.

– Hej, co robisz – pyta cicho.

– Dużo pracy, Paul. Dużo pracy mnie czeka – odpowiada, nie odrywając oczu od ekranu.

On natychmiast się budzi. Zbyt dobrze zna ten ton. Kiedy Wendy jeszcze pracowała w korporacji, te słowa oznaczały: „zniknij, czeka mnie nocka”. Już chce się wycofać, ale wtedy Wendy powoli się odwraca. Na twarzy pojawia się uśmiech – figlarny, pełen blasku.

– Nie martw się – mówi miękko. – Nie o taką pracę chodzi.

Paul oddycha z ulgą. Podchodzi, przytula ją od tyłu i zerka przez ramię na ekran laptopa, pełen japońskich znaków, z których nic nie rozumie. Wendy zamyka klawisz, wstaje i poprawia sukienkę.

– Na blacie masz śniadanie. Jedz szybko, ubieraj się, wychodzimy.

– Ale gdzie? – mruczy Paul, drapiąc się po głowie. – Mieliliśmy spędzić ten dzień z dziećmi.

– Dzieci są z nianią. My jedziemy do pracy. Paul, zbieraj się – mówi, pokazując na zegarek. – Już czas.

– Do jakiej pracy? Za kilka dni święta, nawet pszczoły mają wolne.

– Nie mam zamiaru czekać, Paul. Nie po to twój przyjaciel Kogucik wsadził swój piękny łeb pod mój topór, żeby nie odciąć od tego kuponów. Jedziemy do Bee&Leaf.

Paul znowu drapie się po głowie. Patrzy przez okno, gdzie słońce próbuje przebić się przez mleczną mgłę. Nic nie mówi. Wendy już nie ma – wyszła z kuchni, zostawiając po sobie tylko lekki zapach kwiatowych perfum.

Pół godziny później siedzą już w samochodzie. Elektryczne Porsche Taycan rusza spod podjazdu niemal bezszelestnie, jak cień. Droga prowadzi przez pokryty szronem zagajnik, Wendy zna ją na pamięć, a mimo to dziś wszystko wygląda inaczej. Jakby jechała tam pierwszy raz. Gdy zjeżdżają z asfaltu i wjeżdżają za bramę, dziewczyna rozgląda się. Stary ceglany budynek z dużymi oknami błyszczy czystością i spokojem. Nad drzwiami wisi ręcznie malowana tabliczka Bee&Leaf. Na parapetach – zioła, które schną leniwie w grudniowym powietrzu.

Wchodzą do środka. Wnętrze jest niewielkie, ale uporządkowane. Drewniana lada, komputer, kilka półek z dokumentami. Z boku stoi gablota z produktami. Wendy rzuca na nią okiem, ale nic nie mówi. Jej myśli pracują szybciej niż palce na klawiaturze.

Za szklanymi drzwiami zaczyna się inne królestwo. Stal nierdzewna, błyszczące blaty, profesjonalne mieszalniki, chłodnie, suszarki. Sterylność i technologia. Wendy przesuwa dłonią po jednej z maszyn. Nowe. Pachnące czymś... prawdziwym. James, wspólnik Paula, stoi w głębi. Miesza emulsję. Słuchawki na uszach, twarz skupiona, ruchy precyzyjne.

– Testuję nową wersję balsamu – mruczy, nie odrywając wzroku. – Z pyłkiem różanym i ekstraktem z pokrzywy. Na przesilenie zimowe.

Wendy się uśmiecha. Patrzy na jego dłonie, potem znów na przestrzeń wokół. To wszystko... jest prawdziwe. Stoi tak jeszcze przez chwilę chłonąc atmosferę tego miejsca.

Wracają do biura. Dziewczyna siada przy komputerze. Strona firmy się ładuje. Otwiera media społecznościowe. Przegląda posty, grafiki, zjeżdża w dół.

– No dobrze... – mówi cicho. – Reklama kuleje, marketing nie istnieje, a strona wygląda jak... no, strony w zasadzie nie ma.

Wstaje. Podchodzi do gablotki, zdejmuje z półki jedno z opakowań. Etykieta przekombinowana, pstrokata, jak ze starego katalogu.

– Kochanie... przejrzałam wasze produkty. Naprawdę. Kto wam robił te grafiki?

Paul tylko się uśmiecha.

– To jest tragiczne – stwierdza Wendy. – Macie świetny produkt, nowoczesny sprzęt i... totalny brak reklamy...

– No właśnie. Dlatego ci to pokazuję.

– A targi? Wystawiacie się? – pyta, choć dobrze zna odpowiedź.

Paul robi minę niewiniątka. W progu staje James z kubkiem kawy.

– Wiesz, Wendy... – mówi spokojnie – skupiliśmy się na naturze. Na składnikach. Nie chcemy być kolejną firmą z logo łąki. Chcemy być łąką. Jedyńą w swoim rodzaju. Nie marzymy o współpracy z marketami. Chcemy pozostać manufakturą, choć oczywiście dalej się rozwijać.

– Wasza misja jest słuszna. Wejście do sieciówek was zniszczy. Ale dziś ludzie szukają jakości, natury, autentyczności i są gotowi za to zapłacić. Nie trzeba wiele, by zwiększyć sprzedaż. Zwłaszcza gdy już macie klientów.

Sięga po zeszyt z wysyłkami, wertuje przez chwilę. James mięknie. Miał wątpliwości, czy dziewczyna z korporacji zrozumie ich świat. Ale teraz patrzy na nią inaczej. Z szacunkiem.

– Mamy wolny etat w dziale marketingu! – mówi z uśmiechem. – Znaczy... nie mamy działu marketingu.

– A gdzie się u was aplikuje o pracę?

– Jeszcze dziś możemy podpisać umowę – rzuca James, śmiertelnie poważny. – Ale z Paulem mamy jeden warunek.

Podchodzi do Wendy, kładzie dłoń na jej ramieniu.

– U nas po siedemnastej gasimy światła i chowamy się w krzakach. Żadnych maili, żadnych projektów, żadnych „jeszcze tylko jedno...”. Harmonia to nasza myśl przewodnia.

– Umowa stoi – odpowiada dziewczyna wyciągając rękę.

Odwraca się do Paula. Ujmuje jego twarz w dłonie. Spojrzenie – jak zawsze – miękkie i stanowcze.

– Będziesz musiał dać mi pieniądze na reklamę – szepcze. – Nie będzie to kosztowne. Na początku robimy tylko to, co niezbędne. Nowe opakowania to konieczność. Trzeba poprawić widoczność w sieci.

A już w styczniu pojedziemy na targi. Znaczy... ja pojedę z Jamesem. Ty szykuj się do trasy koncertowej.

Paul przytakuje. Wszystko w jego twarzy mówi: „cokolwiek chcesz”.

– Ja na targi? – krzywi się James. – Jestem chemikiem, nie handlowcem.

– Właśnie, że ty. Jesteś ekologicznym świrem i pasjonatem, ludzie cię pokochają. Może jakaś prelekcja?

James opiera się o ścianę. Uśmiech nie schodzi mu z twarzy, ale w głowie zaczyna kiełkować wątpliwość: *czy ludzie naprawdę chcieliby słuchać o zawiennym wpływie enzymów pszczelich na cerę?*

– Paul, a co do tej twojej... harmonii – mówi Wendy z figlarnym uśmiechem, puszczając mu oczko. – Pogadamy w domu.

On robi minę przerażenia i teatralnie cofa się o krok, jakby dostał właśnie ostrzeżenie od losu. Dziewczyna patrzy na nich obu. Już wie, że się tu odnajdzie. I że to miejsce, to ich małe imperium z miodu i błota naprawdę ma szansę rozkwitnąć. Nawet w środku zimy. Zerka jeszcze na prospekt nowej linii produktów dla dzieci, w jej głowie rozbłyska myśl – nazwa: *Kukuryku*. Ale zaraz pojawia się też wątpliwość: „czy Ville zgodzi się oddać ją do użycia, skoro to był jego pomysł?” Teoretycznie nie musi go o to pytać. Ale w imię dobrych relacji – i zwykłej przyzwoitości – powinna. Wendy jednak nie zamierza dziś zaprzętać sobie tym głowy. Ville to człowiek honoru i serdeczny przyjaciel Paula. Może więc nie będzie miał nic przeciwko. Ostatecznie wszystko sprowadza się do zaufania.

Przytula się jeszcze do Paula, a on obejmuje ją delikatnie ramieniem. Trwają tak przez chwilę w ciszy, bez pośpiechu, aż w końcu decydują wspólnie, że czas wracać do domu.

Wendy patrzy przez szybę samochodu, na ośnieżone pola i ciemniejące niebo. Cisza między nimi jest miękka, nienapięta.

– Paul... wiesz, jak podchodzę do spraw małżeństwa – mówi dotykając delikatnie jego ręki.

Chłopak tylko kiwa głową. Nie patrzy na nią, ale jego uścisk staje się mocniejszy.

– Nie chcę ślubu. Ale chcę uporządkować pewne sprawy, na które nigdy nie było czasu. Uważam, że powinniśmy zawrzeć związek partnerski. Dla dobra dzieci. Dla jasności prawnej. I... żebyśmy nie musieli się więcej nad tym zastanawiać.

Paul uśmiecha się krzywo.

– To oświadczyń? Chyba za dużo czasu spędzasz z Rianami.

Ona parska śmiechem, drapie się w głowę i opiera czoło o zagłówek.

– Możliwe.

– Dobrze – mówi cicho. – Będzie, jak chcesz. Podpiszemy papiery. I wreszcie... będziemy rodziną.

Paul odwozi Wendy do domu, a sam jedzie jeszcze do Londynu, do klubu Roba. Spotkanie z kolegami było umówione wcześniej, zastrzegł więc, że wróci późno i nie trzeba na niego czekać. Dziewczyna tylko skinęła głową, choć w środku była już gdzie indziej: myślami, planami, energią, która znów zaczynała się w niej kłębić.

W domu zapanowała cisza. Niania pożegnała się przed siódmą, a Wendy przejęła dzieci z lekkim uśmiechem i nieco zbyt jasnym „wszystko w porządku”. Czas z nimi minął spokojnie – kąpiel, bajka, herbata z miodem. Peter i Melissa zasnęli szybko, jakby wyculi, że mama potrzebuje wieczoru tylko dla siebie. Ale wieczór nie był spokojny. Nie w środku. Z chwilą gdy zamknęła drzwi ich pokoju, w jej głowie rozszalała się burza. Burza pomysłów. Burza potrzeb. Już nie tylko związanych z Bee&Leaf, choć i tych nie brakowało. Ale było też coś więcej. Głębsza potrzeba działania, przesuwania, przestawiania – czegokolwiek. Dom, choć przytulny i dobrze znany, nagle wydał jej się nieulożony. Meble stały nie tam, gdzie trzeba. Przestrzeń była bez sensu. Energia nie płynęła, tylko się zatrzymywała, zderzała ze sobą, zawracała. Wendy czuła, że jej głowa zaraz eksploduje jeśli czegoś nie zrobi. Dwie godziny później

zmęczona ale zadowolona z siebie poszła na górę, wzięła kojącą kąpiel, wskoczyła w piżamę i ułożyła się do snu.

Jest już po północy. Dom pogrążył się w ciszy. Zgaszone światła, miękkie cienie na schodach, wszystko jak z obrazka. Drzwi otwierają się i Paul wchodzi ostrożnie, bezszelestnie. Przez chwilę stoi w korytarzu, słuchając. Żadnych głosów, żadnych kroków. Uśmiecha się do siebie. Udało się. Dzieci śpią, Wendy pewnie też. Zdejmuje buty i rusza w stronę salonu. Ale już po trzech krokach jego stopa trafia na coś miękkiego i niepokojąco okrągłego. Próbuje złapać równowagę, ale jest za późno. Z głośnym łup wpada na coś dużego i drewnianego.

– KUR... – jęk zawisa w powietrzu.

Łąduje na podłodze. Łokieć pulsuje bólem, a coś – chyba róg ławy wbija mu się w biodro. Przez chwilę leży w ciszy, oddychając przez zęby. Z góry słyszy kroki. Gwałtowne, zdecydowane, bosonogie. Potem światło w holu. Wendy zbiega po schodach w za dużej bluzie, z rozczochranymi włosami i miną matki, która właśnie przyłapała dziecko z papierosem w dłoni.

– Jesteś pijany?! – cedzi z wyrzutem, stając na dole z rękami na biodrach.

Paul jęczy cicho, próbując podnieść się z ziemi jak sędziwy żółw. Rozmasowuje obolały łokieć, marszcząc brwi z niedowierzaniem. Rozgląda się po salonie i mimo półmroku dostrzega zmiany, pomieszczenie wydaje się... obce.

– Coś ty zrobiła z naszym domem?

– Teraz panuje tu harmonia – oznajmia z dumą. – Energia ma gdzie płynąć.

Odwraca się na pięcie i rusza do kuchni.

– Choć, przyłożę ci coś zimnego do tego łokcia. Na szczęście zamroziłam zielony groszek.

Paul wzdycha jak człowiek, który właśnie zrozumiał, że jego własny salon zamienił się w labirynt. Idzie za nią powoli, ostrożnie, jakby każdy krok mógł skończyć się zderzeniem z nową filozofią wnętrza. W kuchni zatrzymuje się w progu, przecierając oczy. Pomieszczenie wciąż jest jego kuchnią, ale... jakoś inaczej. Doniczka stoi gdzieś indziej. Światło się odbija dziwnie. Czai się porządek, ale nie ten zwykły – jakiś wymuszony, duchowy. Wendy klęka przed nim z paczką mrożonek i z czułością przykłada ją do jego łokcia. Uśmiecha się lekko, rozbawiona.

– Wybacz, powinnam była cię ostrzec. Kochanie, te stare meble i tapety w kwiaty... one zabierają tyle energii – mówi przesuwając palcami po jego włosach.

Ale Paul już wie. Zna ten ton, ten błysk w oczach. Przerywa jej z westchnieniem poddania:

– Wendy, rób z tym domem co chcesz. Chcesz remont? Proszę bardzo. Wiedziałem, że na nowym zestawie wypoczynkowym się nie skończy. Tylko... błagam. Oznacz mi ścieżki czymś fluorescencyjnym. Albo rozstaw pachółki.

Ona chichocze, całując go w czoło z czułością.

Dopiero po kilku dniach Rami decyduje się na poważną rozmowę z żoną. Mia właśnie wróciła ze spotkania biznesowego. Zrzuca płaszcz, zdejmuje buty i bez słowa przechodzi powoli do dalszej części domu, jakby potrzebowała kilku minut, by naprawdę wrócić do tego miejsca, a nie wciąż być gdzieś między salami konferencyjnymi a hotelowymi korytarzami. Prosi pokojówkę o herbatę, ta nalewa jej bez zbędnego słowa.

Rami obserwuje ją z drugiego końca pokoju. Przysiada obok dopiero wtedy, gdy Mia siada na kanapie z filiżanką w dłoni. Przez dłuższą chwilę milczy, czekając, czy ona pierwsza coś powie. Mia zerka na niego kątem oka, wyczuwając napięcie, które nie bierze się z rozmowy, tylko z jej braku.

W końcu cicho wzdycha i, bez wstępów ani prób żartu, mówi, gdzie jeździ w weekendy i co tam robi. Bez upiększeń. Bez dygresji. Przez kilka sekund Mia nie reaguje wcale. Odkłada filiżankę na stolik. Otwiera usta, ale nie pada ani jedno słowo. Brwi powoli się ściągają, dłonie zaciskają na poduszce, aż materiał cicho trzeszczy pod palcami.

Wstaje gwałtownie. Podchodzi do obrazu naprzeciwko, po chwili zawraca. Obcas uderza o parkiet zbyt głośno, zbyt ostro. Zatrzymuje się przy oknie, opiera dłoń o chłodne szkło i zamyka oczy. Oddech ma krótki, urywany, jakby liczyła go w myślach.

Dopiero po chwili wraca na miejsce. Siada wolniej, wyprostowana, z twarzą już opanowaną, ale napięcie zostaje w ramionach i w spojrzeniu.

– Przez te twoje tajemnice nocami nie spałam. Czekałam na wyniki badań, myśląc, że masz problemy neurologiczne, błędnik, nowotwór. A ty w tym czasie...

– Przepraszam – wtrąca Rami.

– Mogłeś mi to wcześniej powiedzieć. Wiedziałaś, że się martwię.

– Może się wstydzilem – odpowiada cicho, niemal szeptem.

– Wstydzileś się, że interesujesz się historią?

Mia nie doczeka się odpowiedzi. Rusza w stronę fortepianu. Palce przesuwają się po jego krawędzi, paznokcie cicho stukają o lakier. Zatrzymuje się, wciąga powietrze, a potem jej twarz lekko się rozjaśnia — napięcie w barkach i szczęce puszcza.

– Dobrze. Miło, że wreszcie łaskawie mi to powiedziałeś. Widzę, że muszę brać poprawkę na to, że facetom w twoim wieku odwala. Zwłaszcza jeśli są artystami.

Staje naprzeciwko niego z rękami założonymi na piersi.

– Jak cię znam, to nie wszystko. Słucham.

Gdy słyszy o zakupie czołgu, znowu się prostuje. Twarz jej twardnieje, brwi ściągają się gwałtownie. Rami nie daje jej czasu na wybuch — natychmiast przechodzi do kliwej historii o tym, że ich wnuczka zawsze marzyła o takim prezencie.

– Nie chcę być nudnym dziadkiem – dodaje na zakończenie.

Mia opada bezradnie na sofę. Zakrywa twarz dłońmi i zaczyna się śmiać. Głośno, szczerze, bez kontroli.

– A przynajmniej na chodzie? – pyta, wciąż chichocząc.

– Działa. I to ładny model.

– Trzeba wykupić dodatkowe ubezpieczenie zdrowotne – odpowiada już chłodniej.

Wstaje i wychodzi z pokoju, mruczając pod nosem:

– No kurwa. Czołg kupił. Artysta.

Rozdział 11

To się wytnie.

Dzisiejszy odcinek zapowiada się wyjątkowo. Po emisji sieć zapelniła się komentarzami — od zachwyty, przez ironiczne żarty, aż po złośliwości najwyższej próby.

– Ty to nawet kiedy idziesz spać, wyglądasz jak z wybiegu.

Jari nawet nie próbuje się powstrzymać.

W drzwiach salonu stoi Ville – w błyszczącej, czarnej, satynowej piżamie, jakby właśnie wyszedł z planu zdjęciowego, a nie z własnej sypialni.

Reszta natychmiast podchwytuje temat. Ktoś parska śmiechem, ktoś komentuje kołnierzyk, ktoś kiwa głową z uznaniem.

Ville krzyżuje ręce na piersi, udając urażonego, ale po chwili sam zaczyna się śmiać. W międzyczasie, na ekranie pojawia się tytuł: *Familia*. Rose uśmiecha się lekko. Materiał, który zaraz zobaczą, powstał w czasach, gdy Ville i cała ekipa mieszkali razem w Wielkiej Brytanii. Ona wtedy nie była jeszcze częścią ich świata. Ale dom, który za chwilę pojawi się na ekranie, zna aż za dobrze. To tam wszystko się zaczęło. To tam przeszła swoją drogę od informatyczki z Bristolu do żony frontmana Liberty Fade.

Obraz powoli przesuwają się z nieba, sunąc w dół, aż wreszcie zatrzymuje się na idealnie przystrzyżonym trawniku, gdzie samotnie stoi Ville. W tle kwitnie soczysty, eksplodujący kolorami krzew. Chłopak ma na sobie perfekcyjnie skrojony strój gdzie elegancja spotyka nonszalancję. Spogląda prosto w obiektyw i z szerokim, pewnym siebie uśmiechem zaczyna pierwszą scenę tego odcinka.

– Witajcie kochani, jestem Ville, frontman Liberty Fade. Dziś poznacie moją rodzinę, ale zanim to nastąpi, dajcie łapki w górę, naciśnijcie dzwoneczek i nie zapomnijcie o subskrybowaniu naszego kanału. W komentarzach napiszcie czy... ten krzak za mną jest dobrze przycięty.

Kamera cofa się, ukazując coraz szerszy plan. Libertyn rusza w stronę trójki już czekających na niego postaci. Zbliża się z pewnością siebie, a obraz stopniowo odsłania ich wszystkich – czwórkę Rianów, zasiadających na ławce jak do rodzinnego portretu. Ville zajmuje miejsce obok Mii, za nimi stoją Emma i Rami. Ktoś ustawił ich z precyzją malarza komponującego scenę. Wszyscy wyglądają elegancko, z klasą i wyczuciem stylu. Każdy szczegół zdradza pewność siebie, dziedzictwo i osobowość. Nawet Emma, zazwyczaj nonszalancko artystyczna, dziś prezentuje się w granatowej, letniej sukience. Z subtelnym makijażem i idealnie ułożonym kokiem przypomina młodą dziedziczkę arystokratycznego rodu.

Ville dotyka dłoni kobiety siedzącej obok i kontynuuje:

– Miraaya Rathore, dla przyjaciół Mia. Kobieta niezwykła: doktor fizyki, wykładowczyni, bizneswoman. Moja mama – najlepsza na świecie.

Ona uśmiecha się delikatnie, kręcąc głową z rozbawieniem.

Libertyn wstaje i podchodzi do Ramiego.

– Antero Rami Rian. Muzyk i producent muzyczny. I najbardziej wyluzowany ojciec, jakiego można sobie wyobrazić.

Następnie kieruje się do Emmy, zatrzymując na chwilę i uśmiecha złośliwie.

– Emma Rian, moja starsza siostra. Magister sztuki. Nie mogła znaleźć pracy po studiach, więc zatrudniłem ją w zespole. Teraz brzdąka na gitarze w Liberty Fade.

Emma próbuje zachować powagę, ale nie wytrzymuje – zasłania twarz dłonią i zaczyna chichotać. Reszta rodziny dołącza do niej w rozbawieniu. I wtedy, jak burza, wbiega mała dziewczynka. Jej granatowa, zwiewna sukienka faluje przy każdym kroku, a ciemne, lekko pofalowane włosy podskakują

na ramionach. Na jej twarzy lśni szeroki, bezgranicznie radosny uśmiech – taki, który rozświetla cały kadr.

– Już jestem! Wybaczcie, że musieliście czekać!

Bez chwili przerwy ciągnie dalej:

– Jestem Amidala Rathore Rian, dla przyjaciół Ami. Mam cztery lata. Lubię taniec i śpiew, kocham zwierzęta i brokat.

Z gracją się kłania, po czym wskakuje na kolana Mii.

– Ville to mój tatuś.

Wszyscy patrzą na chłopaka, który odpowiada jedynie szerokim uśmiechem.

Po chwili spogląda w kamerę z łobuzerską dumą:

– Witajcie w Rathorehouse w hrabstwie Surrey.

Kamera oddala się, stopniowo odsłaniając klasyczny pałac skąpany w popołudniowym świetle. Otoczony wypielęgowanym ogrodem i starymi drzewami, budynek emanuje spokojną siłą – z kolumnami, idealną symetrią i elegancją minionych epok. W tle ujęcie z drona pokazuje, jak rodzina rozchodzi się do swoich zajęć. Mia nachyla się nad rabatami, przyglądając się z uwagą drobnym zmianom w kolorach i kompozycjach kwiatów. Rami rusza w stronę domu, spokojnym krokiem, z rękami w kieszeniach. Emma siada na ogrodowej huśtawce, lekko się odpycha i z czułością obserwuje scenę, która rozgrywa się przed nią. Nieco dalej, pod rozłożystym dębem, wciąż stoi malarz – ten sam, który z zapalem szkicował rodzinny portret. Przez chwilę jeszcze wpatruje się w pustą już ławkę, jakby liczył, że modele wrócą. Z rezygnacją unosi ręce, po czym westchnieniem podsumowuje swój artystyczny los. Spokojnie składa sztalugę i zwija płótno, a potem bez słowa, bez pośpiechu odchodzi w nieokreślonym kierunku, niknąc między drzewami ogrodu.

W międzyczasie do Ami podbiega błękitny staffik. Dziewczynka od razu zaczyna go głaskać. Ville wskazuje na psa, który ma na szyi szeroką, jedwabną apaszkę w kolorze pudrowego różu.

– To Echo Of Liberty, czyli po prostu Echo. Dwuletnia suczka rasy Staffordshire bull terrier. Ukończyła najlepszą szkołę posłuszeństwa – nasza psia dama.

Przez chwilę obserwuje Ami kręcącą się wokół własnej osi, a sukienka wiruje niczym baletnica w ruchu.

– Amidala to prawdziwa pannica – mówi cicho – zna etykietę, ma nienaganne maniery, mówi płynnie w trzech językach...

– Tatusiu, patrz!

Robi fikołka... i natychmiast się przewraca. Echo rzuca się do niej i już po chwili obie turlają się po trawie.

Ville przygląda się tej scenie, zagryzając usta, z twarzą pełną dumy i rozbawienia.

– Ale czasem... córce i Echo trochę brak ogłady.

Wystawia rękę na znak *stop* i rzuca do ekipy:

– Cięcie. To się wytnie. Powtarzamy, Ami!

Kadr przechodzi przez ciężkie, rzeźbione drzwi i wślizguje się do środka. Choć widz mógłby spodziewać się klasycznego zwiedzania rezydencji, ten odcinek skupia się na czymś zupełnie innym – na relacjach między mieszkańcami tego domu. Internauci otrzymują jednak przedsmak tego, co mogłoby ich czekać, gdyby Ville i Emma kiedyś zdecydowali się oprowadzić ich po pałacu.

W majestatycznym holu głównym, na niebieskich sofach w stylu empire, ustawionych naprzeciwko kominka, zalegają Robert i Thomas. Jeden gra na telefonie, drugi przegląda papiery związane z trasą koncertową. Ich wygląd – zwykłe koszulki, dresowe krótkie spodenki i luźna pozycja ciała kontrastuje z otoczeniem tak bardzo, że trudno nie zauważyć pewnego dysonansu. To zdecydowanie nie jest wizerunek godny gości indyjskiej księżniczki. Libertyn, jak zawsze perfekcyjnie ubrany, nie może przepuścić okazji do komentarza.

– Może łaskawie się przebierzecie? To nie miejsce i czas na łachmany.

Ale ani Robert, ani Thomas nie zamierzają traktować jego uwagi poważnie. Machają nonszalancko do kamery i wracają do swoich zajęć, jakby nic się nie stało. W tym samym czasie do holu wchodzi Paul – w czarnej koszuli i eleganckich, ciemnych spodniach.

– Oj, Paul – mówi Ville z uznaniem. – Tak rzadko zaszczycasz mnie swoim stonowanym wizerunkiem. Twoje kraciaste flanelowe koszule przyprawiają mnie o zawrót głowy. Nie będę cię idealizował, ale pozwól, że się napatrzę.

Paul siada z godnością na fotelu i odpowiada z rozbawionym spokojem:

– Tylko się nie oświadczaj.

– Nie dworuj ze mnie. Poza tym zachowuję pełną jasność umysłu.

Paul unosi brew, robi minę politowania i teatralnym gestem kładzie dłoń na brzuchu.

– Mój żołądek stał się niczym próżnia w kosmosie.

– To wszystko się wytnie. Trzeba zrobić powtórkę – wtrąca Robert wstając z sofy – ale jak już się przeberzemy.

Thomas, zerkając z niechęcią na zegarek, mruczy:

– Wygląda na to, że zbliża się wyżerka. Czas wskoczyć w coś bardziej... – zawiesza głos, zastanawia się i kończy z przekąsem – stosownego?

Ville w tym czasie rozmawia z kamerzystą, pokazując znak „cięcia”. Potem spogląda prosto w obiektyw, zupełnie na serio:

– Ja nigdy nie pozwalam sobie na taki niechlujny ubiór. Zawsze wyglądam perfekcyjnie.

Za jego plecami pojawia się Mia. Patrzy na niego przez sekundę, kręci głową z niemym rozbawieniem, po czym macha ręką i wychodzi z kadru, zostawiając go samego.

– To też się wytnie – szepcze Ville.

Kamera przenosi się do jadalni głównej – przestronnej, jasnej sali z misterną sztukaterią na ścianach i suficie, kominkiem nadającym wnętrzu charakter oraz ciężkim, dębowym stołem, przy którym mogłoby zasiąść przynajmniej dwadzieścia osób. Zespół już siedzi na swoich miejscach. Na środku stołu rozstawiono platery i talerze z niemal wszystkim, czego można zapragnąć – od pieczonych warzyw po delikatne pasztety i owoce morza. W międzyczasie przychodzi Amidala, przyprawiona przez swoją nianię. Z godnością zajmuje miejsce obok Villego. Ten obejmuje ją ramieniem, przytula lekko i z uśmiechem pyta o plany na resztę dnia.

Amidala, pełna dystynkcji, odpowiada bez wahania:

– Za godzinę mam lekcję fortepianu. Później chętnie poczytam Szekspira.

Przy stole zapada krótkie milczenie, po czym ktoś mruczy pod nosem:

– Mała Lady Macbeth...

Ami marszczy czoło, poprawia ramiączko sukienki i mówi poważnie:

– Ten mikrofon mi przeszkadza. Czy może mi ktoś to poprawić?

Kamera lekko drży – jakby operator sam się uśmiechnął. Jeden z techników zbliża się, by pomóc, a Ville rzuca z przesadną teatralnością:

– Proszę bardzo, gwiazda ma życzenie. A to się wytnie!

Atmosfera przy stole jest napięta, choć trudno powiedzieć dlaczego. W tle cicho gra Mozart.

Paul, wyczuwając sztywną atmosferę, decyduje się rozładować napięcie.

– Panie hrabio, czy pańska nowa pokojówka zna francuski? – Ależ oczywiście! Kiedy zapytałem ją, czy mówi po francusku, odparła: „oui”, więc uznałem, że wystarczy. – A potem? – Teraz każę jej milczeć – i dzięki temu wydaje się wręcz elokwentna!

Amidala zakrywa usta dłonią, śmiejąc się cicho. Chłopcy i Emma wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, uśmiechając się z przesadzoną, niemal dworską oglądą.

W końcu Robert się prostuje i z miną poważną, niemal wzniosłą, rzuca jednym tchem:

– Po strawie rzekłbym, że powinniśmy udać się do podziemi, aby niezwłocznie... – zawiesza głos, drapie się w głowę. – Co to dalej było?

– Wykonać niezbędne próby sceniczne, mój luby – dopowiada Emma.

W tym momencie do jadalni wchodzi Mia i Rami. Domownicy automatycznie wstają, a gdy Mia zasiada, wszyscy robią to samo. Siedzą teraz wyprostowani, eleganccy, jakby znaleźli się na jakimś oficjalnym przyjęciu dyplomatycznym. Państwo Rian zerkają na nich z mieszaniną powątpiewania i rozbawienia. Pokojówka zaczyna nalewać zupę, a przy stole zapada krępująca cisza.

W końcu Mia bierze głęboki wdech, przymyka oczy i z wymuszonym uśmiechem rzuca:

– Czy wy możecie zachowywać się normalnie?

W jednej chwili wszyscy rozluźniają ramiona, rozpinają guziki pod szyją, ktoś wzdycha z ulgą. Rozbrzmiewa śmiech, atmosfera staje się lekka, wręcz chaotyczna. Ami brudzi się zupą, Robert całuje Emmę w policzek, a Paul i Thomas niemal siłują się o ostatnie udko kurczaka. Pałac może i jest dostojny – ale rodzina pozostała sobą.

Po obfitym posiłku grupa przenosi się do ogrodowej altany na deser. Nie sposób nie zauważyć przepięknego, starannie utrzymanego ogrodu otaczającego pałac. Jest wrzesień, słońce stoi wysoko, a powietrze nasycza aromat ziół, lata i czegoś bardzo drogiego – tego, czego nie kupi się w żadnym centrum ogrodniczym. Echo już krąży między krzesłami, pokojówka zaczyna nalewać herbatę do porcelanowych filiżanek, a na stole lśnią trzy rodzaje ciasta – w tym szarlotka, której zapach przyciąga uwagę nie tylko gości. Atmosfera wyraźnie się rozluźnia. Pszczoła przelatuje leniwie, zawisa na chwilę nad filiżanką Mii, po czym znika gdzieś w rabacie lawendy

Rami nieopatrznie zostawia talerz z ciastem na niskim stoliku kawowym. Dla Echo to zaproszenie – po chwili talerz staje się jej łupem. W tle Robert siedzi przytulony do Emmy na ogrodowej sofie, Mia sący zieloną herbatę z cienkiej filiżanki, a Rami, pogodzony z utratą ciasta, rozmawia z Thomasem o technicznych aspektach nagrań. Ville i Paul bawią się z Amidalą w berka, dodając scenie energii i spontanicznego chaosu.

Kamera powoli zbliża się do Villego, który przerywa zabawę i oznajmia:

– Za godzinę widzimy się na próbie. Idę się przebrać.

Emma wyswobadza się z objęć Roberta, kręci głową i z uśmiechem komentuje:

– On przebiera się dwa, trzy razy dziennie. Mnie by się tak nie chciało.

– Libertyn to odklejeniec. A ty, kochanie, nawet po treningu na bieżni wyglądasz jak milion dolarów.

Paul zaczyna chichotać, chowając twarz w dłoni, po czym z lekkim, ale przenikliwym tonem dodaje:

– Ale Libertyn wygląda zawsze jak dziesięć baniek.

– Tylko mu o tym nie mówcie – mruczy Rami. – Jego ego i tak się ledwo mieści w pałacu.

Rozmowy, półszepty i pojedyncze parsknięcia śmiechu mieszają się z letnim szmerem altany i cichym brzęczeniem pszczoły, która ponownie znika gdzieś w ogrodzie.

Obraz łagodnie przesuwa się po sali prób, która została zaprojektowana z myślą o potrzebach zespołu. To przestronne, akustycznie dopracowane pomieszczenie z łukowatym sklepieniem i kontrastującymi ścianami – jedna śnieżnobiała, druga głęboko czarna. Naprzeciwko drzwi znajduje się niewielkie podwyższenie pełniące funkcję sceny, poniżej ustawiono rząd wygodnych, miękkich foteli. Ściany zdobią kolorowe grafiki, zdjęcia z tras koncertowych Liberty Fade oraz archiwalne fotografie zespołu Ramiego.

Próba przebiega z lekko chaotycznym początkiem. Gitara nie nadaża za perkusją, Thomas miksuje coś zupełnie przypadkowego, Robert gra coś po swojemu, a Ville rzuca pełne dezaprobaty spojrzenia. Ale po kilku minutach wszystko się wyrównuje – jakby ten pozorny bałagan był zaplanowany. Zaczynają brzmieć jak jeden organizm. Po jakimś czasie zespół robi krótką przerwę.

– To tylko rozgrzewka – mówi Emma odkładając gitarę na bok. – Prawdziwa magia zaczyna się po trzecim klótniobrzdęku – wskazuje podbródkiem na brata. – Wszystko zależy od poziomu ego w powietrzu.

Ville udaje, że tego nie słyszy. Poprawia włosy, zerka w obiektyw i mówi:

– Mam nadzieję, że wam się podobało. Jeśli chcecie tour po Rathorehouse, dajcie znać w komentarzach i zostawcie lajki. A teraz – do zobaczenia. Musimy jeszcze trochę popracować.

Obraz stopniowo ściemnia się. Koniec odcinka.

Libertyn przytula się do Rose.

– Pamiętam, kręciliśmy to chyba cały dzień – mówi z lekkim rozbawieniem. – To był odcinek z największą liczbą cięć. Początku, gdzie mieliśmy być poważni, nie dało się nagrać.

– Najgorszy był pies – dorzuca Rami półgłosem. – Ona była wszędzie. Ale dzięki niej widzowie docenili naturalność tego materiału.

Mia, sięgając po ostatniego paluszka z talerza, kręci głową:

– Pamiętam pewne komentarze. Ludzie zachwycali się, że Amidala czytała Szekspira. Niektórzy naprawdę nie ogarnęli, że to była ustawka. Która czterolatka czyta Szekspira?

Ville ziewa przeciągle, rozpinając dwa guziki w swojej eleganckiej piżamie, wyraźnie prowokując Rose.

– Ami już wtedy nieźle czytała – przyznaje – ale co najwyżej *Bajki o kreciku i tygrysku*.

Rose spogląda na jego odsłoniętą klatkę piersiową z rozbawieniem i mówi:

– *Bajki o kreciku*... Pamiętam je słowo w słowo. Czytałam Ami chyba codziennie. Aż w końcu raz schowałam tę książkę i udawałam, że się zgubiła.

Amidala z przesadną elegancją poprawia ramiączko swojej sukienki, unosząc podbródek z pełnym oburzenia wyrazem twarzy.

– To zniszczyło moje poczucie przynależności do uniwersum *Krecika* – oznajmia z powagą godną małej księżniczki. – Teraz już wiem, kto za to odpowiada.

Na ułamek sekundy zapada cisza, po czym wszyscy wybuchają rozbawieniem. Rose zakrywa usta dłonią, Ville chowa twarz w poduszkę. Nawet Mia, choć zwykle powściągliwa, chichocze pod nosem, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jari prostuje się i poważnieje, jakby chciał coś doprecyzować – choć wciąż drga mu kącik ust.

Rami sięga po tablet, podnosi go znad poduszki, na której przez cały wieczór leżał bezużyteczny. Zdejmuje okulary z głowy i zakłada je na nos.

– Od tamtej emisji wreszcie przestali pisać, że Ville udaje... znaczy, nie czytam komentarzy – dodaje z przekąsem, już przewijając ekran palcem.

Zatrzymuje się nagle, marszczy czoło i przekrzywia głowę jak profesor od krytyki kultury.

– No proszę, tu ktoś pisze: „Ten odcinek sprawił, że przestałam się śmiać z teatralnych gestów Villego. Zaczęłam się zastanawiać, ilu ludzi codziennie udaje, by dopasować się do innych, a on po prostu jest sobą.”

Mia wzdycha lekko, sięgając po porcelanową filiżankę z herbatą. Jej ruchy są powolne, niemal kontemplacyjne.

– Nie rozumiem, przecież zachowujemy się całkowicie normalnie – mówi z powagą.

Rianowie wzruszają ramionami i wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Ami wstaje z fotela, z gracją się kłania, po czym siada z powrotem, poprawiając fałdki sukienki z manierą godną uczennicy królewskiego instytutu etykiety.

Rose zerka na męża – rozpiął jeszcze jeden guzik w piżamie i nonszalancko oparł się o poduszkę. Jej wzrok zatrzymał się na jego odsłoniętej klatce piersiowej, ale zaraz powrócił do jego twarzy. Ten łapie jej spojrzenie i z uroczym uśmiechem posyła do niej oczko. Ona przybliżyła się do niego, wtula i delikatnie muska jego klatkę piersiową, a on ewidentnie cieszy z zainteresowania swojej żony.

Wszyscy patrzą na to z lekkim politowaniem: ktoś przewraca oczami, ktoś ziewa, ktoś wzdycha zbyt głośno. Emma obejmuje Amidalę ramieniem, przyciągając ją do siebie. Na dywanie siedzi Jari, pochylony nad Oskarim; rozmawiają półszepem, głaszcząc Echo po karku. Suczka przeciąga się leniwie, wyraźnie zadowolona z uwagi.

Głosy stopniowo cichną. Domownicy szykują się do kolejnego materiału.

– Tytuł: *Szanowni państwo* – mówi Ville z uśmiechem i wciska play.

Emma czeka oparta o mahoniową ławkę przed wejściem do pałacu. Po chwili dołącza do niej Ville. Dziewczyna przygląda się bratu z niedowierzaniem – wygląda co najmniej... dziwnie.

– W co ty się, do cholery, ubrałeś?

Libertyn spogląda na swoje beżowe spodnie cargo i trekkingowe buty, po czym z godnością poprawia kapelusz typu panama i pokazuje jej identyfikator.

Emma unosi brwi, czyta kartonik i nie kryje zdziwienia.

– „Ville Rian, stanowisko: przewodnik turystyczny, firma: Jestem seksi i co mi zrobicie”... Faktycznie jesteś seksi – z makijażem i w safari–kamizelce od Gucci. Poza tym metka ci wystaje.

– Ten outfit to nie mój styl – odpowiada chowając metkę. – Po nagraniach wszystko oddam. No... może kapelusz sobie zostawię.

Następnie uśmiecha się szeroko i mówi swoje intro o subskrypcji, komentarzach i dzwoneczku przeciągając samogłoski w nieskończoność.

Emma kręci głową, ewidentnie brak jej słów. W końcu wyciąga zawiniątko w sreberku i podaje bratu.

– Masz kanapkę. Wzięłam na drogę, jakbyśmy zgłodnieli.

Libertyn, zaskoczony i rozczulony, przytula siostrę, po czym chowa kanapkę do obszernej kieszeni spodni. Jego ton staje się złośliwie braterski.

– Oj, nasz pałac jest taki wielki, że kiedy idę do strefy wellness, to zabieram ze sobą namiot i krzesiwo...

Następnie patrząc z rozbawieniem na siostrę dodaje: – Twoja skromność Emmo mnie powala. A to się wytnie.

Dziewczyna wybuchła śmiechem i siada na ławce. Ville już wie, że to jego moment. Przyjmuje teatralną minę i cieńszym głosem, przedrzeźniając siostrę, dorzuca:

– A potem wsiadam do helikoptera i lecę na drugi koniec miasta po nowe buty z cekinami.

– Piękny falset, braciszku. A to była wyjątkowa sytuacja – mówi patrząc w ziemię z udawaną powagą.

Ville unosi brwi i robi minę pełną politowania.

– Tak jak wszystko w tym domu... No dobrze, dość prania rodzinnych brudów. Szanowni państwo, czas na wycieczkę!

Kamera powoli sunie wzdłuż frontowej fasady pałacu. Jasny kamień, klasyczne kolumny, rzeźbiony gzyms. Nad wejściem widać wyblakły herb z monogramem VP.

Emma mówi pierwsza – spokojnym, lekko ironicznym tonem.

– Pałac zbudowano na początku XIX wieku. Był letnią rezydencją francuskiego markiza, który – jak głosi rodzinna legenda, miał więcej pieniędzy niż zdrowego rozsądku. I najwyraźniej niewiele do roboty.

Nie patrzy w kamerę. Lekko przechyla głowę, jakby chciała sprawdzić, czy Ville już nie czeka, by jej przerwać. Mówi dalej, bez pośpiechu, z typowym dla siebie dystansem i nutą wiedzy:

– Później budynek kilkakrotnie zmieniał właścicieli. Aż w końcu nasz pradziadek, Maharadża Veer Pratap kupił go jako prezent dla swojej żony, naszej prababci. Jedni mówią, że z miłości. Inni, że z poczucia winy.

W centrum jasnego, wysokiego holu stoi już Ville, z wyciągniętą ręką.

– To właśnie on. Hol główny. Ulubione miejsce spotkań, przesiadywania, kłótni, rozstań, wielkich powrotów... i plotek.

Wnętrze jest jasne, monumentalne, a przy tym zaskakująco przytulne. Największe wrażenie robi kopuła. Ręcznie malowane freski przedstawiają sceny z historii dynastii Rathore, ale też motywy mitologiczne i astronomiczne. To połączenie sztuki indyjskiej z europejskim klasycyzmem.

Z lewej strony kadru pojawiają się schody. Libertyn zerka w ich stronę.

– Te prowadzą do części sypialnej, ale o tym... później. Jeszcze się napatrzycie.

Robi krok w bok i przybiera udawaną powagę:

– Szanowni państwo, hol główny to również miejsce przyjęć. To właśnie tutaj odbywały się niegdyś bale i kolacje wydawane przez Maharani, a później przez naszych rodziców. A my z Emmą szanujemy tę tradycję. Tylko muzykę mamy trochę inną.

Kamera zbliża się do podłogi, a potem przesuwa po ścianach. Ville pochyla się nieco, jakby zdradzał sekret:

– Wydawać by się mogło, że pogłos tu niczym w katedrze. A jednak, jesteście państwo w błędzie, gdyż zastosowano nowoczesne materiały tłumiące dźwięk. Dzięki temu Emma może się kłócić z Robertem bez mikrofonów.

Następnie gestem ręki wskazuje na pomieszczenie z prawej strony oddzielone od holu głównego masywnymi przesuwanymi drzwiami.

– Tam mamy pokój kominkowy. Kominek, fortepian, atmosfera jak z romansu kostiumowego... ale bez przesady. Idziemy dalej.

Obraz delikatnie się ściemnia, by po chwili ukazać jadalnię. To miejsce znane już widzom z poprzedniego odcinka, choć tym razem obraz zatrzymuje się dłużej. Więcej detali: stół z ciemnego drewna, misternie rzeźbione nogi, świeczniki z włoskiego brązu i obrus haftowany ręcznie przez jakąś tajemniczą arystokratkę z rodu *von coştam*.

Ville opiera się niedbale o stół, przesuając dłonią po blacie.

– Szanowni państwo, oto jadalnia dla gości. Jadamy tu, kiedy w domu jest nas więcej. Czyli... dość często.

Kadr przesuwa się w stronę ściany, na której wisi duży obraz: kobieca postać na ciemnym tle.

Libertyn wskazuje dzieło i rzuca siostrze wyzywające spojrzenie:

– Emmo, magistrze sztuk pięknych, może nam coś o tym opowiesz?

– Żałuję, że nie mam przy sobie gitary – cedzi. – Chętnie przywaliłabym ci nią w ten twój zakuty łeb w kapeluszu panama.

Brat nie reaguje. Emma wzdycha i podchodzi do obrazu.

– Portret neoklasycy, nieznanego artysty z początku XIX wieku. Przedstawia lady Annę, damę dworu księżnej Cecylii. Późniejszą skandalistkę, kochankę poety i podobno nieszczęśliwą hazardzistkę. Głębokie tony, ciemne tło, klasyczne spojrzenie „gdzieś obok”. Typowe.

Ville i Emma przechodzą dalej, kamera płynie za rodzeństwem długim, eleganckim korytarzem. Ściany zdobią rodzinne portrety i zdjęcia z tras koncertowych, oprawione w ciężkie, czarne ramy.

Drzwi do kuchni otwierają się bezszelestnie. Przy kuchennym blacie uwija się kucharka w białym fartuchu i chustce zawiązanej na głowie. Miesza coś w misce, doprawiając z precyzją godną alchemika. Ville wpada jak burza i od razu kieruje się do kuchenki. Pochyla się nad garnkiem, uchyla pokrywkę i robi dramatyczną minę.

– O fuu! To zupa z krewetek? Nienawidzę owoców morza! – wykrzywia się, dyskretnie zerkając na kucharkę.

Ta tylko się uśmiecha, cierpliwie, bez cienia urażenia.

– Dla panicza jest pomidorowa z kluseczkami – mówi z ciepłem.

Chłopak natychmiast się rozpromienia, całuje ją w policzek i siada na wysokim hokerze przy wyspie kuchennej. Emma dołącza do brata, który uklada się na krześle jak księżę na tronie. Po chwili wchodzi

Rami – swobodnie, jakby dopiero co wstał z popołudniowej drzemki. Wlewa sobie wodę z lodem, siada przy nich i z rozbawieniem spogląda na Villego, unosząc kciuk w górę. I właśnie wtedy zaczyna się właściwa rozmowa: o tym, kto gdzie mieszka, kto co dostał na studia i czy czerwone Porsche to powód do dumy... czy raczej do milczenia.

Libertyn poprawia się na hokerze, z namaszczeniem opiera łokieć o blat i mówi z niekłamaną satysfakcją:

– Tak naprawdę na stałe w pałacu mieszkam tylko ja, Ami i Echo. Choć chłopaki z zespołu są tu częstymi gośćmi. Mają nawet własne pokoje, to trochę taki internat, tylko z lepszym cateringiem.

Nie ma w tym przechwałki. To raczej luźne stwierdzenie, podszyte cichą dumą, jakby właśnie przypomniał sobie, że to wszystko naprawdę należy do niego.

– Rodzice przyjeżdżają regularnie, żeby pobyć z wnuczką, ale na co dzień są w Helsinkach. A Emma...

– zawiesza głos i zerka na siostrę z udawaną grozą – spędza tu sporo czasu, chociaż oficjalnie mieszka w Londynie.

Usta Villego wykrzywiają się w znajomym, złośliwym półuśmiechu.

– W swoim apartamencie. Kupionym przez rodziców!

– To był prezent za skończenie studiów, geniuszu.

– A może pochwalisz się, co dostałaś na ich rozpoczęcie? Żeby biedna Emma miała czym dojeżdżać na uczelnię... hmm?

– Wszyscy wiedzą, że zawsze miałam świetne oceny i byłam wzorową córką. A ty? Ciągłe sprawiałaś problemy.

Ville wdycha ciężko przyjmując na siebie największą niesprawiedliwość dziejów.

– Bez przesady! Nie byłem taki zły. A teraz mam przynajmniej satysfakcję, bo za pierwsze pieniądze z muzyki kupiłem czerwone Porsche Macan.

– Wszyscy się cieszyli, że kupiłeś to auto, bo przez moment nie mówiłeś wyłącznie o sobie – mruczy Emma z politowaniem.

Rami podnosi dłoń, jakby chciał uciszyć narastającą rodzinną tyradę.

– Z Miją naprawdę staraliśmy się wychować was w poczuciu obowiązku i szacunku do tego, co macie. Wiem, wiem... średnio wyszło – dodaje z lekkim uśmiechem. – Ale bardziej niż na tym zależało nam, żebyście szanowali ludzi.

Spogląda w obiektyw, a jego ton staje się głębszy:

– Każdy przejaw lekceważenia innych kończył się interwencją wychowawczą.

Ville klepie ojca po ramieniu, z rozbijającą miną:

– Byliśmy biczowani!

Rami nawet nie mruga, tylko odwraca się do syna i tym samym, spokojnym tonem dorzuca:

– Oczywiście. Ale tak, żeby nie było widać.

Ville wybucha śmiechem, Emma przewraca oczami, a reszta sceny tonie w tej minucie rodzinnego luzu. Dosłownie sekundę później obraz przenosi się gdzieś indziej. Przy biurku, tyłem do drzwi, siedzi postać. Na ekranie zawieszonym na ścianie za jej plecami widać ostatnie sekundy wyścigu Formuły 1 – ktoś właśnie kończy rundkę w grze.

Ekran gaśnie. Postać odwraca się powoli. To Mia, która z wprawą chowa pada do szuflady i bez najmniejszych emocji rzuca:

– Ville, świetny outfit.

W jej oczach błyska jednak rozbawienie. Następnie, udaje, że przegląda dokumenty – z miną dziecka przyłapanego na sięganiu po konfitury.

Ville parska śmiechem i pokazując masywne biurko, zwraca się do kamery:

– Szanowni państwo, oto biurko, przy którym zapadają najbardziej bezwzględne decyzje rodzinno–biznesowe... i rozgrywa się najwięcej partyjek w gry samochodowe. A w tej szufladzie – pewnie nadal leży paczka miętowych cukierków z poprzedniej dekady.

Emma podchodzi do zsuwanych drzwi prowadzących do biblioteki. Z westchnieniem przesuwając palcem po grzbiecie jednej z książek.

– Biblioteka? Idealne miejsce, żeby udawać, że czytasz filozofię, a tak naprawdę wciągasz erotyczny romans o hrabinie Marii i księciu Harrym.

Libertyn klaszcze w dłonie, zadowolony z siebie:

– Teraz trochę odmiany od tego całego pałacowego blichtru. Chodźcie dalej!

Wchodzą do pomieszczenia zupełnie innego niż pozostałe. Wnętrze jest ciemne, ultranowoczesne. W oknach wiszą ciężkie, czarne kotary, które całkowicie blokują światło. Centralne miejsce zajmuje ogromna sofa obłożona miękkimi poduszkami.

– To nasz pokój telewizyjny z potężnym nagłośnieniem. Idealne miejsce na maraton *Gwiezdnych wojen*

– mówi Ville, sięgając po pilota.

Chwilę później uruchamia projektor. Cała ściana przed sofą zamienia się w gigantyczny ekran.

– Szanowni państwo, idziemy dalej. Tam po prawej jest część pałacu przeznaczona dla obsługi: sypialnie, pokój dzienny, prywatne wejście. A my minimy hol główny i pójdziemy prosto.

Drzwi z matowego szkła przesuwają się bezszelestnie, ukazując wnętrze, przypominające bardziej luksusowe spa niż część prywatnego domu. Podłużny basen z lazurową wodą lśni w świetle wpadającym przez panoramiczne okna, które otwierają się na ogród. W jednym z rogów stoi niewielka fontanna w kształcie lotosu, rzeźbiona na zamówienie według projektu Ramiego.

Obraz przesuwają się w stronę przyległej siłowni: surowej, nowoczesnej, z chromowanym sprzętem i ścianą luster. Równiutko ustawione bieżnie, rowery, hantle. Na półce są izotoniki i batony proteinowe.

W obiektywie pojawia się ćwiczący Thomas, bez koszulki, właśnie podnosi sztangę. Libertyn rzuca mu spojrzenie:

– Thomas, świetna figura. Może wyskoczmy gdzieś razem?

Ten odwraca się, rozbawiony:

– Będziesz mnie woził taksówką, czy pójdziemy na ryby?

– Przytulasów nie będzie – oznajmia z godnością, po czym jeszcze przez chwilę obserwuje przyjaciela i wzdycha przeciągle.

Kolejny kadr wypełnia strefa sauny i łaźni parowej. Drewno z sosny karelskiej, zapach eukaliptusa, parujące tafle szkła. Obok chłodząca miska z lodem, białe ręczniki z haftem „RR” i elegancka tablica z napisem: „Nie gadać. Medytować albo pocić się w ciszy.”

– Każdy Fin musi mieć saunę – mówi Ville z namaszczeniem. – Ja ją uwielbiam. Mógłbym tu mieszkać.

Emma krzywi się lekko.

– Ja wymiękam po pięciu minutach. Nie cierpię się pocić.

Za kolejnym przejściem rozpościera się sala gimnastyczna. Wysoka, jasna, z matą akrobatyczną i stołem do ping-ponga. W jednej ze ścian jest ukryta szafa z raketkami, piłkami i kilkoma dziwnymi gadżetami, które wyglądają, jakby Ville kupił je w nocy, nie czytając dokładnie opisu.

Libertyn wyjmuje kanapkę z kieszeni i bierze kęsa. Mówi z pełnymi ustami:

– Szanowni państwo... teraz pójdziemy na górę.

I rusza w stronę schodów, z kanapką w dłoni, jakby właśnie prowadził najważniejsze reality show świata. Kamera podąża za rodzeństwem, które wchodzi po szerokich, marmurowych schodach. Stopnie są jasne, lekko połyskujące, a przy balustradzie – czarne, matowe poręcze z geometrycznymi zdobieniami, zaprojektowane specjalnie przez Ramiego.

– Te schody to najlepsze miejsce na efektowne zejście na imprezie. Albo dramatyczne wyjście z walizką, jeśli ktoś znowu rzuca zespół – mruczy Emma.

Libertyn kieruje się na lewo.

– Strefa sypialniana podzielona jest na dwie części – gościnna do której właśnie idziemy i część dla rodziny, którą obejrzymy później. Pokoi gościnnych jest dziesięć, wszystkie urządzone mniej więcej w tym samym stylu – czyli pałacowym. Każdy pokój na pierwszym piętrze ma tabliczkę z nazwą. Pokoje gościnne oznaczone są nazwiskami sławnych kompozytorów; *pokój Mozarta*, *pokój Vivaldiego* itd.

– Proponuję – wtrąca Emma – abyśmy zajrzeli do jednej sypialni, bo tak jak wspomniał nasz przewodnik reszta pomieszczeń wygląda podobnie. Co powiesz na *pokój Bacha*? Uważam, że jest najładniejszy.

Ville zgadza się z siostrą i zacierają do jednej z sypialni dla gości. *Pokój Bacha* to elegancka sypialnia gościnna z prywatną łazienką i niewielką garderobą, wykończona klasycznymi sztukateriami i wysokim sufitem. To, co nadaje klimat temu pomieszczeniu to portret młodego Bacha w połączanej ramie, który czuwa nad nastrojem tego subtelnie teatralnego wnętrza.

Ville obraca się wokół własnej osi zatrzymuje się jednak na dłużej na swoim odbiciu w lustrze i krzywi się.

– Wyglądam jak idiota.

– Tak? – pyta Emma z nieudawaną satysfakcją – Ciekawe, czy zdołałbyś w tym stroju zbałamucić jakąś dziewczynę.

Po chwili, widząc jego szeroki uśmiech, dodaje złośliwie:

– Ale przed emisją tego odcinka, do tego oddajesz zegarek, złotą kartę, kluczyki od Ferrari... Aha, nie nazywasz się Rian, tylko Kowalski. No i zmyj makijaż.

Ville patrzy w lustro z pewnością siebie.

– *Challenge approved!*

A następnie zwraca się do kamery z ewidentnym zadowoleniem.

– Szanowni państwo czas na to co każdy pewnie z was czekał, na nasze sypialnie. Po czym szybko dodaje – ale to w kolejnym odcinku.

Ekran nagle gaśnie, pojawiają się napisy, koniec części pierwszej.

W pokoju rozlega się śmiech i głośne westchnienia. Ami podnosi się z podłogi, Rose poprawia włosy w odbiciu ekranu, a Ville sięga po pilota, by od razu włączyć drugą część.

Kamera już stoi pod drzwiami z napisem *Ami W Brokacie*. Niemal natychmiast oczom widzów okazuje się pastelowa kraina chaosu i luksusu. Ściany w odcieniach pudrowego różu i rozbielonej lawendy kontrastują z pałacową elegancją masywnego, pikowanego łóżka stylizowanego na wersalski model małżeński bo Ami uznała, że zasługuje na „królewskie spanie, nawet jak śpi krzywo”. Emma rozgląda się niepewnie.

– Witamy w królestwie chaosu. A to i tak wygląda lepiej niż wczoraj.

Pod oknem stoi eleganckie białe biurko z rzeźbionymi uchwyty, a na nim jednocześnie książki do francuskiego, zestaw do robienia bransoletek i... stoik z brokatem. Na podłodze leżą porozrzucone zabawki, poduszki, lalki, samochodziki i jeden samotny pantofel baletowy.

Ville rozgląda się po pokoju i stwierdza.

– Wyjdźmy z tego chaosu, w głowie mi się kręci. Teraz przejdziemy do pokoju pani magister.

Emma daje szturchańca bratu w ramię i po chwili zaprasza kamerę do swojej sypialni.

Sypialnia dziewczyny nazwana z lekkim przymrużeniem oka *Magister Sztuki*, to wnętrze zdecydowanie pałacowe ale bez różowych złudzeń. Dominują głębokie kolory, które podkreślają wysokie sufity, sztukaterie i ciężkie zasłony z włoskiego aksamitu.

Łóżko z wysokim, tapicerowanym zagłówkiem stoi centralnie pod dużym obrazem – nowoczesnym, abstrakcyjnym, bo Emma nie byłaby sobą, gdyby nie przemyślała tu choć jednej artystycznej prowokacji.

– Szanowni państwo – mówi Ville z powagą w głosie. – Do sypialni mamusi i tatusia was nie zabierzemy. Uszanujemy ich prywatność. Idziemy do pokoju Echo.

Pokój psa oznaczono tabliczką *Buduar Echo*. To przytulna przestrzeń z dużym pościaniem, miękkimi poduchami i kocami. Ville otwiera stojącą w rogu szafę, a oczom widzów ukazują się smycze, szelki, obroże i apaszki na każdą okazję, na środkowym wieszaku połyskuje szeroka obroża wysadzana brylantami Svarovskiego.

Ville uśmiecha się zawadiacko.

– A teraz, drogie fanki, zobaczycie coś, o czym marzycie od dawna – Pokój Libertyna.

Ekran na moment gaśnie. Po chwili pojawia się kadr sprzed drzwi z elegancką tabliczką *Libertyn*.

Wreszcie drzwi otwierają się powoli, skrzypiąc z godnością miejsca, do którego prowadzą. Ville wraca przebrany w eleganckie spodnie i czarną koszulę, nonszalancko zapraszając do środka. Wnętrze nie pozostawia złudzeń bo to nie tylko pokój. To manifest. Przestrzeń zaprojektowana z precyzją sceniczną, gdzie każdy cień ma swoją choreografię. Dramat. Luksus. Absolutna kontrola nad światłem. W centrum króluje łóżko robione na zamówienie – ogromne jak ego sceniczne jego właściciela i równie miękkie jak jego aksamitny wokal. Czarne, pikowane, z zagłówkiem sięgającym niemal sufitu, obleczone jedwabiem w odcieniu głębokiego grafitu.

Ville, wciąż z tym samym zawadiackim uśmiechem, wskazuje łóżko:

– Tu dzieje się magia.

Emma tylko kręci głową z rezygnacją. Obraca się dookoła własnej osi i wzdycha:

– To jest jaskinia rozpusty i wszelkiego zła, a te ściany widziały już wszystko. Choć zastanawiam się, czy kiedyś podzielisz to łóżko z jakąś niewiastą... na dłużej.

– Dajcie mi spokój. Jestem młody. Korzystam z życia i mam chłopaka!

Tuż przy oknie stoi czarny fortepian, błyszczący jak noc po deszczu. Nieco dalej – masywne biurko z litego drewna, surowe, eleganckie. Ściany pokrywa finezyjna, czarna sztukateria.

Za przesuwными drzwiami – garderoba Libertyna. To przestrzeń perfekcyjnie zorganizowanego chaosu. Marynarki w odcieniach czerni, butelkowej zieleni i bordo wiszą w równych odstępach, jakby czekały na casting do finału światowego tournée. Koszule ułożone kolorystycznie, niczym paleta do portretu. W jednej części: sceniczne stylizacje – cekiny, skóry, rękawiczki bez palców, naszyjniki. Buty ustawione w szeregu godnym wojskowej musztry.

Ville przeciąga się z widocznym zadowoleniem, rozgląda się wokół, a potem zwraca się do kamery:

– A teraz, jeśli pozwolicie, przenieśmy się na zewnątrz.

Ogród przy pałacu to pięć hektarów prywatnego raj – trochę szalony miks perfekcyjnie wypielęgnowanej zieleni i dziecięcej fantazji. Między drzewami lśni podgrzewany basen, a altana tonie w różach, jakby żywcem wyjęta z ilustracji do baśni. Jest tu wszystko: miejsce na ognisko, grill z marmurowym blatem, staw z ozdobnymi karpiami i strefa hamaków rozwieszonych między dębami. W tej chwili na dwóch z nich śpią Robert i Paul.

Ville podchodzi, pochyla się i śmieje cicho:

– Słyszycie, jak chrapią? Są tacy słodcy.

Robert podnosi jedno oko i cedzi przez zęby:

– Spadaj.

Po chwili docierają do altany, zastają tam Amidalę, Ramiego i Mię grających w karty. Pod stołem leży Echo i przeżuwa skrawki jakieś zabawki. Dziewczynka, na widok ojca rzuca się w jego stronę i wiesza mu się na szyi.

– Tatusiu, mogę oprowadzić po stajni?

Ville puszcza do niej oko i gestem zaprasza przed kamerę. Ami natychmiast poprawia sukienkę, przegładza włosy i jest gotowa do misji jak prawdziwa gospodyni. W tle Mia i Rami wracają do gry. On rzuca szelmowskie spojrzenie w stronę żony:

– To co dalej? Makao czy może poker?

– Wchodzę za tyśiąc.

Po chwili zauważa kamerę i bez cienia emocji zarządza:

– To się wytnie.

Rami unosi lekko brew.

– Oczywiście, że się wytnie, ostatnio przegrałaś ... (wypikane).

Tymczasem Ami prowadzi ekipę do budynku, który stylem nawiązuje do samego pałacu – fasada z piaskowca, wysokie okna, dach pokryty ciemnym łupkiem. Ciężka, kuta brama z rzeźbionymi ornamentami otwiera się odsłaniając nie stajnię, lecz garaż – bardziej przypominający luksusową galerię niż zwykłe miejsce do parkowania. Wewnątrz stoją lśniąca samochody: sportowe, rodzinne i jeden klasyk. Wszystkie z najwyższej półki, ustawione z precyzją, ale bez przesady.

Karoserie odbijają się w polerowanej betonowej podłodze, a miękkie światło podkreśla każdy detal. I choć wygląda to jak scena z katalogu, to nie muzeum.

– To była kiedyś stajnia dla koników, a teraz mój tatuś parkuje tu czerwone Ferrari – mówi Ami tak jakby się spieszyła.

Następnie ruchem ręki od niechcienia wskazuje na białe sportowe auto.

– A ten Aston należy do cioci Emmy, tam pod ścianą są zabawki dla dużych chłopców, quady, motocykle – dodaje po czym pośpiesznie wychodzi.

– No dobrze. Idziemy do oranżerii, przędzej.

Kamera rusza za nią, mijając helikopter zaparkowany z boku, jakby był czymś zupełnie zwyczajnym. Ami wskazuje go bez cienia wyższości:

– Tam mamy helikopter.

Obraz lekko dygocze, a w tle słychać śmiech kamerzystów. Ville dorzuca zza kadru:

– No helikopter przecież, nie czołg!

Amidala odwraca się z powagą oświadcza:

– Chciałabym mieć czołg. A teraz pośpieszcie się.

Dziewczynka idzie dalej, ekipa filmowa ledwo nadąża. Drzwi oranżerii otwierają się szeroko. Wnętrze zaskakuje – zamiast tropikalnych roślin czy donic z cytrusami, panuje tu duch zabawy i totalnej wolności.

– W oranżerii nie ma roślin – mówi Ami z uśmiechem. – To imprezownia i skatepark. Tata popisuje się tu na deskorolce. Często się wywala, Thomasowi za to idzie dużo lepiej... – Dziewczynka drapie się w głowę i dodaje – Chyba każdemu idzie lepiej. No cóż, czas na nas.

Ostatni kadr na ogromną przestrzeń z wysokim, szklanym dachem i industrialnymi belkami konstrukcyjnymi. Tu mieści się mini skatepark z rampą, neonami na ścianach, plakatami z tras koncertowych i graffiti autorstwa znajomych Villego.

Amidala zatrzymuje się na chwilę i zaciera ręce.

– No dobrze, teraz czas na najlepsze, na to na co wszyscy czekali.

Dziewczynka dumnie podąża przed kamerą, teraz już nigdzie się nie śpieszy.

– O to on, najlepsza rzecz w Surrey.

Pewnym gestem ręki wskazuje na domek na drzewie. – Zapraszam na salony.

Już po chwili widać pokój dzienny z wygodnymi sofami w tonacji pastelowej, dalej aneks kuchenny z pełnym wyposażeniem. Jest tu nawet lodówka i bieżąca woda. Dziewczynka kończy oprowadzanie, kłania się grzecznie, zjeżdża na dół na zjeżdżalni i przytula się do Villego.

Ekran ciemnieje. W tle zostaje tylko dźwięk dziecięcego śmiechu i ostatnie nuty cichej muzyki. Pojawiają się napisy końcowe.

Mia rzuca Ramięmu wymowne spojrzenie i powoli kręci głowę. On odwraca wzrok, jakby właśnie przypomniał sobie coś bardzo interesującego na dywanie. Wie doskonale, o co chodzi i wie, że nie ma sensu się więcej tłumaczyć.

– Dzieciaki, spać. Bez dyskusji. Jutro szkoła – ogłasza Ville stanowczo.

Amidala i Oskari nawet nie próbują protestować. Święta tuż–tuż, będzie czas na nadrobienie odcinków – oczywiście w tajemnicy, bo nie wszystkie nadają się dla małych widzów. Amidala podbiega do Ramiego i rzuca mu się na szyję, przytulając go mocno.

– Mam najfajniejszego dziadka na świecie!

Oskari wybucha śmiechem i poklepuje ją po ramieniu:

– Na drugi raz zawęż swoje marzenia do roweru albo laptopa.

Amidala przewraca oczami, a potem bierze Oskariego za rękę i wychodzi, reszta robi to samo, zostawiając Mię i Ramiego samych.

On przesuwając się powoli na kolana, jakby chciał odprawić ceremonię pojednania. Spogląda żonie prosto w oczy i pyta cicho, niemal ze wzruszeniem:

– Nadal się gniewasz?

Mia pochyla się, przyciska czoło do jego czoła, a potem daje mu szybkiego buziaka.

– Twoje nowe hobby mogłoby być świetnym materiałem na odcinek do nowej serii. Może zespół by dołączył, a ja z dziewczynami utworzymy szpital polowy? Co o tym myślisz?

– Tak, oczywiście – odpowiada, potakując mniej entuzjastycznie.

– Wariat – szepcze z uśmiechem i mocno go przytula.

Rozdział 12

Praca u prywaciarza.

W rezydencji Rianhouse wszyscy uwijają się jak w ukropie. Domownicy i służba krążą w pośpiechu między kuchnią, salonem a głównym holem, niemal ślizgając się na zakrętach. Do osiemnastej wszystko ma być gotowe. Nie ma mowy o opóźnieniu.

Wchodzi dostawca z choinką – olbrzymim, niemal trzy metrowym świerkiem, którego rozłożyste gałęzie ledwo mieszczą się w drzwiach. Dwóch mężczyzn w rękawicach ustawia go z tyłu holu, tuż przy balustradzie pierwszego piętra. Sypie się igliwie, ktoś podnosi telefon, ktoś z kuchni krzyczy, żeby zrobić przejście.

Rodzina Beaumont z Francji przyjechała dzień wcześniej. Ciocia Juliette zawsze była wyjątkową postacią w rodzinie. To ona zajmowała się Mią, gdy jako trzynastolatka trafiła do Europy. Do dziś Mia traktuje ją jak drugą matkę, tę, którą straciła w dzieciństwie.

Dla Villego i Emmy Juliette i jej mąż to po prostu dziadkowie. I tak się do nich zwracają – bezpretensjonalnie, z naturalną czułością.

Na wigilię zaproszono też dziadka Lauriego – ojca Ramiego, tego samego, który niedawno przekazał Emmie swoje udziały w firmie. Do stołu zasiądą również starzy przyjaciele Rianów.

Kamery są już gotowe do nagrania, ale Mia zastrzegła, że materiał trafi jedynie do prywatnego archiwum. Święta to czas dla rodziny. Nigdy nie pokazywali ich w *Liberty Fade Life*. Tym razem jednak Rose przekonuje ją, by uchwycić choć trochę świątecznego zamieszania: dekorowanie choinki, wspólne gotowanie, dziecięcy śmiech i brokat na podłodze. Obiecuje, że zmontuje z tego krótki, 5–10 minutowy klip do miniserii *Liberty Fade Notes*, która bije rekordy oglądalności.

Mia krąży po domu z kartką w dłoni i jeszcze większą listą w głowie. Kucharka i pomocnica ledwo nadążają z realizacją świątecznego menu. Ktoś zapomniał przynieść bombki, ktoś inny utknął przy faszerywanej rybie. A dekoracje? Rozsypane w dwóch różnych pudłach, wciąż nieposegregowane. Amidala z dumą niesie własnoręcznie zrobioną ozdobę – czarną gwiazdę z brokatem. W połowie holu zatrzymuje się, marszczy czoło i mówi poważnie:

– Mamo... tato... a te dekoracje zawsze muszą być czarne? Może zrobimy jakiś różowy łańcuch? Albo przemaalujemy bombki? Takie naprawdę różowe.

Wszyscy Rianowie obracają się w jej stronę w tej samej chwili. Mia odpowiada spokojnie, tonem kogoś, kto zna tę rozmowę na pamięć:

– Nasza choinka od zawsze jest czarna. Ale jeśli chcesz, możesz zrobić jeden łańcuch. Byle nie różowy.

– Czyli czarny z różowym? – pyta z nadzieją Ami.

– Granatowy z brokatem.

Juliette wzdycha teatralnie i przechodzi na francuski:

– *Ma chérie*, zrób tyle łańcuchów, ile chcesz. Daj tej choince trochę życia. Ja już nie mogę patrzeć na ten cały czarny dramat.

Rzuca okiem na Mię w eleganckiej, czarnej sukni o klasycznym kroju, potem na Ramiego w czarnej, satynowej koszuli, Villego w obcisłym golfie w odcieniu głębokiej czerni, Emmę w dopasowanym czarnym kombinezonie z połyskiem, Roberta w czarnej bluzie z grafiką i wreszcie na Rose stojącą przy oknie w czarnej sukience z błyszczącym, geometrycznym kołnierzykiem.

– Serio? – sapie, dramatycznie unosząc ręce. – Cała rodzina wygląda jak orszak pogrzebowy.

Zanim ktokolwiek zdąży odpowiedzieć, kieruje wzrok na Amidalę, siedzącą na brzegu fotela w ciemnogrnatowej sukience z haftowanym paskiem.

– Ona ma dziesięć lat, nie pięćdziesiąt! Kupcie jej coś malinowego, a nie węglowego. Błagam.

Przez chwilę zalega cisza. Wszyscy próbują ocenić, czy to żart, czy wyrzut. Mia unosi wzrok znad filiżanki.

– Oczywiście, ciociu.

– Dobrze, że mamy jeszcze chwilę – Juliette klęka przy Ami. – Zrobimy dekoracje. Jakiegokolwiek. Byle kolorowe. I błyszczące. I z cekinami. I może z cekinów.

– Ale to... tradycja – próbuje Mia.

– Kochana, nie dyskutuj ze mną – ucina Juliette z rozbrajającym uśmiechem. – Ten dom i tak wygląda jak bunkier. Ville dobrze zrobił, że zaprosił klaunów na swoje urodziny. Wreszcie trochę koloru.

Chłopak rozpromienia się i rzuca kobiecie na szyję.

– Dziękuję, babciu. A co sądzisz o mojej nowej płycie?

– Skarbie, jest cudowna. I nie mówię tego tylko dlatego, że jesteś moim ulubieńcem. Moje sąsiadki są zachwycone, koleżanki z chóru wpadły w absolutny szal, a ich wnuczki... zazdroszczą Rose. Jakby wygrała na loterii.

Rose wybucha śmiechem, a Juliette obejmuje ją serdecznie. Zamieniają jeszcze kilka słów, po czym kobieta na moment cichnie bo właśnie przypomniała sobie coś ważnego. Sięga do torebki i zaczyna przekopywać się przez chusteczki, cukierki i stare bilety lotnicze...

– Och, zapomniałabym... – mówi półgłosem. – Małe co nieco od Mikołaja.

Wyciąga dwie kolorowe paczki świątecznych czekoladek i koperty. Podaje jedną Villemu, drugą Emmie.

– Babciu, nie trzeba – protestuje Ville. – Przecież jakoś sobie radzimy.

– No to radźcie sobie z czekoladą – macha ręką. – I cicho sza.

Potem robi dokładnie to samo z Rose i Robertem. Nim zdążą coś powiedzieć więcej, Juliette znika w kuchni, nie czekając na podziękowania.

– Wszystkie babcie są takie same – wtrąca Robert. – Przysięgam, że one w pewnym wieku przechodzą jakiś tajny kurs dilerki. „Masz tu, gnoju, i cicho”.

– Chodźmy pomóc dzieciakom – rzuca Emma. – Zobaczymy, jak Libertyn obcina sobie palec nożyczkami i wrzuca go do brokatu.

Niedługo później choinka nadal mieni się czarnymi bombkami, ale między nimi błyskają krzywe, kolorowe ozdoby – niektóre z cekinami, inne z brokatem, każda wyjątkowa. Ręcznie robione gwiazdki zajmują miejsce między porcelaną na czarnym obrusie. Dom zaczyna pachnieć świętami.

Ktoś kręci się nerwowo po kuchni. Ktoś podjada paszteciki, ktoś z niepokojem krąży wokół szarlotki. Ville przygląda się z uznaniem swojej dłoni, gdzie Rose przykleiła mu na palec plaster w różowe świnki. W tym samym czasie do salonu wpada Mia wachlując się notatnikiem, z ogniem w oczach. Poprawia talerze, przesuwa bombki, układa serwetki, i mruczy coś pod nosem przy zbyt krzywo ustawionym półmisku.

Juliette tylko unosi brwi, opierając się nonszalancko o framugę, z rozbawieniem śledząc każdy gest Mii.

– Mia, odłóż tę swoją check-listę. To kolacja wigilijna, nie start reaktora jądrowego.

Ona, stojąca z notatnikiem w jednej dłoni i serwetkami w drugiej, przymyka oczy, jakby po raz pierwszy tego dnia pozwoliła sobie na chwilę oddechu.

– Oczywiście, ciociu.

– No chodź, ty moja perfekcyjna księżno. Może obejrzymy jakiś odcinek *Liberty Fade Life?* – mówi obejmując ją mocno. – Zobaczymy, co też twój syneczek tym razem zmalował.

Projektor jest już gotowy, światła przygaszone, a na stoliku obok kanap pojawia się elegancki serwis do kawy: błyszcząca srebrna taca, filiżanki w delikatne indyjskie wzory i kilka dzbanków z gorącym naparem.

– Gotowi? – rzuca Rami z fotela.

Kiedy widzi, że wszyscy są na swoich miejscach, wciska *play*. Odcinek zaczyna się tytułem: *Żółta karteczka*.

Poranne światło wpada przez wysokie okna pałacu Rathorehouse w hrabstwie Surrey, miękko osiadając na jasnych ścianach i chłodnym marmurze.

Ville stoi przy balustradzie piętra. Jak zwykle zaczyna odcinek swoim nieodłącznym intro o lajkach i łapkach w górę.

Poprawia haftowany kołnierzyk białej koszuli i dopina guzik idealnie skrojonej marynarki. Przez chwilę przygląda się swojemu piekielnie drogiemu zegarkowi, po czym kręci głową z niedowierzaniem. Nabiera powietrza i głośno woła:

– Amidala! Ile mam czekać?! Spóźnimy się!

Z góry słychać szybkie kroki. Zaraz potem na szerokim marmurowym korytarzu pojawia się dziewczynka. Jej pantofelki podskakują w dłoniach, a miękkie fale brązowych włosów wirują przy każdym kroku.

– Dzień dobry, tatusiu! – rzuca radośnie i wskakuje Villemu na szyję.

Następnie robi obrót na palcach i biegnie do lustra w holu. Przystaje, prostuje się i z pełną powagą posyła sobie całusa.

Ville unosi brwi, przechyla głowę. Nie wie, czy jest świadkiem aktu wielkiej samoafirmacji, czy jednego z jej małych rytuałów.

Z bocznego przejścia wychodzi opiekunka z płaszczkiem. Ami wkłada czerwony płaszcz, starannie zapina guziki, poprawia beret w tym samym kolorze. Z kieszeni wyciąga błyszczący, maluje sobie usta i jeszcze raz spogląda w lustro, tym razem weneckie, oprawione w ciemne drewno.

– Jestem gotowa.

Ville otwiera oczy w niemym zachwycie, a potem bezradnie rozkłada ręce. Wyciąga z aktówki pomadkę w kolorze brzoskwiniowym i z powagą poprawia makijaż.

– Też jestem gotowy.

Czerwony SUV Ferrari rusza z żwirowego podjazdu. Ville patrzy w tylne lusterko obserwując przez chwilę poważną minę córki.

– Co dziś moja księżniczka ma w planach?

– Po przedszkolu mam balet. Pamiętasz?

– Pamiętam.

Ami opiera brodę na dłoni, zamaszycie zakłada nogę na nogę: ruch pełen dziecięcej nonszalancji i teatralności.

– A ty co dziś będziesz robił?

– Co dzień przyniesie. Może coś ciekawego, a może coś nudnego. Na pewno muszę napić się kawy.

– Ja tam wolę czekoladę z bitą śmietaną – mówi dumnie, kręcąc głową tak, że beret lekko się przekrzywia.

– Ja też.

Po odwiezieniu córki, Ville podjeżdża pod jedną z kameralnych uliczek Richmond. Budynek, przed którym się zatrzymuje, wcale nie przypomina współczesnych siedzib firm artystycznych. Nie ma tu szklanych fasad ani neonowych logotypów. Wręcz przeciwnie – wplata się w elegancki rytm starych willi, jakby stał tu od zawsze. Trzykondygnacyjna rezydencja z połowy XIX wieku, wygląda raczej na prywatny dom niż centrum twórcze. Jedyne niewielka tabliczka przy bramce z wygrawerowanym napisem RRstudio Global Media sugeruje, że wewnątrz dzieje się coś więcej.

– Jeszcze jest cicho – mówi półgłosem stojąc już przy wejściu. – Około dziesiątej zaczną się schodzić artyści i pracownicy.

Wchodzi do środka. Wnętrze wypełnia cisza – nie ta duszna i martwa, ale łagodna, pełna światła i kurzu, jakby przestrzeń właśnie budziła się do życia.

– Przejdziemy się teraz. Później nie chcę nagrywać – rzuca cicho przechodząc koło ruchomych paneli wystawowych. – Nie wszyscy sobie tego życzą.

Rusza dalej w głąb budynku. Przechodzi przez kolejne pomieszczenia na parterze, otwierając drzwi, czasem tylko zerkając do środka.

– Montownia, greenboxy, reżyserka i studio dźwięku oraz profesjonalna sala prób – wylicza na palcach.

– Mamy studio nagraniowe. Nie największe, ale wystarczające. Tu powstają demo tracki, nagrania live session, czasem – po prostu rozmowy.

Mija rząd uchylonych drzwi: sala konferencyjna, pokój warsztatowy i gabinety.

– Na górze są pokoje fundacji – mówi opierając się o poręcz schodów – Pracujemy tam razem z Emmą i kilkoma zaufanymi osobami. Organizujemy wydarzenia artystyczne dla utalentowanych dzieciaków. RRstudio w Londynie to filia. Prawdziwa wytwórnia, ta profesjonalna, z zapleczem i całą machiną produkcyjną mieści się w Helsinkach.

Na poddaszu panuje cisza.. Kilka pokoi i mała kuchnia – wszystko urządzone prosto, ale z gustem. Ville podchodzi do kuchennego blatu, nalewa sobie wody do bidonu w kwiatki, dorzuca plasterki cytryny, potem uruchamia ekspres. Kiedy kawa jest gotowa, z filiżanką w dłoni i bidonem pod pachą przechodzi do jednego z jasnych pomieszczeń na końcu korytarza.

Siada spokojnie przy biurku, upija łyk kawy i uruchamia komputer. Ekran natychmiast zalewa kolorowy chaos – pulpit zapchany absolutnie wszystkim, co możliwe. Ikonki porozrzucane bez ładu i tajemniczy plik zatytułowany po prostu „O_o”.

– Chyba muszę poprosić informatyka, żeby zrobił tu jakiś porządek... – mruczy pod nosem. – Dlaczego nic nam nie gra?

Wciska kombinację klawiszy. Z głośników ukrytych w suficie wyływa przyjemny beat – gęsty, głęboki house z miękkim basem i subtelnym trzaskiem winylu. Libertyn przeciąga się szeroko, ziewa cicho,

zdejmuje marynarkę i odwiesza ją na czarne, stalowe oparcie krzesła. RzUCA okiem po gabinecie – pianino pod oknem, notatki na ścianie, karteczki przypięte do korkowej tablicy, wszystko wygląda znajomo i przytulnie.

– Do roboty.

Z szuflady wyciąga plik dokumentów, kalkulator i pliczek samoprzylepnych karteczek. Wybiera żółtą.

– Karteczki, moje ulubione. Żółte są najlepsze. Najgorsze to niebieskie. Nic na nich nie widać.

Przez kilka minut w pokoju słyCHAć tylko cichą muzykę i kliknięcia kalkulatora. Ville przelicza coś w pamięci, notuje, stawia znaki zapytania. Jedna po drugiej, karteczki lądują na monitorze – szósta, siódma, ósma. Wreszcie unosi wzrok i patrzy w sufit.

– Emma już chyba przyjechała. – mówi cicho. – Muszę do niej iść.

Wstaje, wygląda koszulę i rusza w stronę drzwi. Przechodzi wąskim, jasnym korytarzem do pokoju naprzeciwko. Emma siedzi przy biurku, rozmawia przez telefon, szybko, energicznie, po fińsku.

– Dziwny język.

Podchodzi do biurka i sięga po filiżankę stojącą obok laptopa.

– O, herbatka?

Emma nie przerywa rozmowy. Ville upija łyk, zamyka oczy, przez chwilę smak rozchodzi się po jego twarzy jak ulga.

– Smaczna... pomarańczowa z nutką imbiru?

Nie czekając na odpowiedź, opróżnia filiżankę do końca i odstawia ją z cichym stuknięciem na spodek. Siada na parapecie, wyciąga nogi, zagląda do otwartego pudełka z farbami i pędzlami. Emma kończy rozmowę i automatycznie sięga po filiżankę. Jej dłoń zatrzymuje się w połowie drogi. Patrzy w pusty porcelanowy środek.

– Na drugi raz wrzucę tam tabletki przeczyszczające – rzUCA chłodno, nie podnosząc wzroku.

– Było mi o tym nie mówić. Teraz już nie wypiję drugi raz.

– Czego chcesz? – pyta po chwili, tonem cierpliwości na granicy wyczerpania.

– Weź, bądź miłsza.

Dziewczyna bierze głęboki wdech, unosi brwi i wykonuje ręką gest: „mów i znikaj.”

– Chodzi o ten projekt styczeniowy. Moim zdaniem wszystko się zgadza. Księgowa ma jeszcze jakieś pytania, ale to raczej do ciebie, więc zadzwoń do niej.

– Zaraz to zrobię i jadę w teren – podaje mu cienki plik dokumentów spięty kolorową klamrą. – Tu masz szkic tego, co wymyśliliśmy. Przejrzyj to.

Ville zabiera papiery i wychodzi. Wraca do siebie, odkłada dokumenty na biurko, sięga po litrowy bidon w kwiatki.

– Ja jestem od kosztorysów. Ciągłe liczę. Czasem mam jakieś pomysły, to zarzucę coś na spotkaniu, ale to ja rozmawiam z księgowością. Często całymi dniami.

Przegląda pierwszą stronę dokumentu, zatrzymuje wzrok na notatce Emmy, poprawia kilka słów i dopisuje coś na żółtej karteczce. Z namysłem przykleja ją do brzegu monitora. Stuka w klawiaturę, przesuwa myszką. Nagle podnosi ją i przygląda się z dumą.

– O, ostatnio kupiłem sobie taką mysz – pokazuje granatowe urządzenie w kolorowe kropki. – Jest bardzo ładna i świetnie działa. Mi się sprawdza. Polecam.

Po chwili zerka prosto w kamerę.

– Znaczący... to nie jest reklama. Nikt mi za to nie płaci.

Odruchowo spogląda na zegarek i marszczy brwi ze zdziwieniem.

– Ooo, dopiero jedenasta...

Przeciąga się, buja na krześle, drapie się w głowę. W tym samym momencie rozlega się ciche pukanie do drzwi. Nim zdąży odpowiedzieć, klamka się porusza.

W progu staje dziewczyna. Jest szczupła, młoda blondynka o jasnej cerze i wyrazistych oczach. Jej płaszcz w odcieniu chłodnego beżu lekko faluje przy ruchu, a ciche stuknięcie obcasów odbija się od drewnianej podłogi. Wchodzi pewnym, niemal tanecznym krokiem, z gracją kogoś, kto wie, że każde jej wejście robi wrażenie.

Libertyn podnosi wzrok znad ekranu i szczerze się uśmiecha, jakby na jej widok nagle wszystko stało się prostsze.

– Victoria!

Dziewczyna podchodzi do niego z powabem. Pochyla się i całuje go w usta – delikatnie, ale bez zawahania. Odwraca się i kokieteryjnie macha dłonią w stronę pustej przestrzeni.

On obejmuje ją ramieniem, bierze za rękę i sadza sobie na kolanach z zupełną swobodą.

– Pamiętacie Viktorię, była z nami w klubie Roberta kilka odcinków temu. Wpadasz jutro do Surrey? – pyta, rozbujany lekko na krześle, z bidonem z wodą w jednej ręce, a drugim ramieniem wciąż obejmując ją w pasie. – Będzie fajnie.

– Zaraz wyjeżdżam, mamy sesję.

– Znowu jakiś przystojny fotograf będzie się na ciebie gapił?

– A co, zazdrosny jesteś?

– Może i jestem.

Na moment wszystko zamiera – ich oczy się spotykają, uśmiechy zatrzymują w półruchu.

Miłą atmosferę przerywa pukanie do drzwi. Do środka wchodzi kobieta w dość sędziwym wieku, choć wciąż pełna energii. Kamera nie pokazuje jej twarzy – jedynie tył głowy, plecy, zbliżenia na dłonie trzymające dokumenty.

Victoria szybko traci zainteresowanie rozmową. Wstaje z kolan Villego, rzuca mu ostatnie spojrzenie przez ramię i wychodzi, zostawiając po sobie zapach perfum i miękki szelest materiału.

Kobieta zaczyna mówić. Dźwięk jest wyciszony – słychać tylko podkład, spokojny deep house. Ville uśmiecha się, ale uśmiech jest wyraźnie wymuszony. Składa dłonie w piramidkę, coś tłumaczy, sięga po karteczki, nerwowo szuka notatek. Kobieta unosi ręce, wskazuje coś w dokumentach. Obraz przyspiesza. Libertyn krąży po gabinecie, ona podąża za nim z plikiem papierów. On siada – ona siada. Znowu gestykulacja, kolejne wyjaśnienia, kolejne poprawki. Cała sekwencja trwa kilka minut. Dopiero gdy kobieta wychodzi, Ville wstaje, lekko się kłania i posyła w jej stronę szeroki uśmiech – wciąż odrobinę wymuszony. Dźwięk wraca.

– To była ukochana pani główna księgowa RRstudio.

Znowu przegląda plik dokumentów, klika coś w arkuszu kalkulacyjnym.

– Coś mi się tu nie zgadza... jakby brakowało sumy w którejś komórce. Excel nie jest moją mocną stroną, zawsze coś mi się rozjeżdża, dlatego mam kalkulator. Zazwyczaj mam dłuższe paznokcie, więc przyciski muszą być większe. – Podnosi kalkulator do kamery. – Ten model mi się sprawdza, polecam. Na chwilę się zawiesza, drapie po głowie.

– Znaczący... to nie jest reklama. Nikt mi za to nie płaci.

Zanim Ville zdąży odjąć kolejne koszty od głównej kwoty w tabeli, do gabinetu wchodzi Paul, nonszalancko trzymając gitarę elektryczną za gryf.

– Co robisz? – pyta z udawanym zdziwieniem.

Libertyn ziewa, popija łyk wody z kwiecistego bidonu i nie podnosząc wzroku odpowiada sucho:

– Pracuję w pocie czoła, a co? Po co ci ta gitara?

– Kręcisz dzień o swojej pracy, serio? Nasz program zaraz straci na flow. Jak rozwalę ci gitarę na biurku, to przynajmniej coś się będzie działo.

– Chyba żeś się polonu nażarł! – krzyczy podrywając się z krzesła. – Idź mi z tą gitarą!

– Ty, nie denerwuj się, wyluzuj trochę. Kiedy kończysz?

Ville siada powoli, patrzy na swój zegarek z uznaniem.

– W zasadzie już. Wystarczy. Napracowałem się.

Na ekranie właśnie znikają napisy końcowe odcinka, a ciotka Juliett ociera oczy roześmianym ruchem chusteczki.

– O jaki mój wnuk grzeczny – mówi rozczulonym tonem, zwracając się do Villego. – Jaki przykładowy ojciec i pracownik. Jak on tak chodził do tej fundacji, taki elegancki, skupiony...

Rami otwiera oczy szeroko, jakby właśnie usłyszał największy absurd dnia.

– Przez pół odcinka ziewał, przeciągał się i pił kawę. Miałem rację, że mu za to nie płaciłem.

Ville nawet nie próbuje zaprzeczać. Sięga po mandarynkę, łapie ją w dwa palce i z namaszczeniem układa na kolanach.

– Byłem wykorzystywany przez kapitalistę i prywatniarza. Całe moje młode życie.

– No tak – mruczy Mia sucho. – Straszne czasy.

– Chciałbym dodać, że mimo ciężkiej pracy w radzie nadzorczej RRstudio również nie otrzymuję żadnego wynagrodzenia.

– Bo jesteś na stażu! Poza tym nie ma cię w pracy większość czasu – stwierdza Rami z pełną powagą, tonem jak z audytu.

– Bo koncertuję?

– Dlatego właśnie ci nie płacę.

W salonie zapada krótka cisza, na granicy niewygody przerwana przez Rose.

– Ta Viktoria, znowu...

– O tak – wzdycha Ville. – Musiałem się pozbyć Viki. Po czym dodaje szybko, podnosząc dłonie w obronnym geście: – W sensie zerwać z nią kontakty.

Rose tylko kręci głową, ale w jej oczach błyska coś, co nie da się pomylić z obojętnością. Spokój, satysfakcja – z rodzaju tych cichych, kobiecych zwycięstw, których nie trzeba ogłaszać. Wszyscy na

moment przybierają poważne miny, jakby wracali do roli szacownej rodziny, zebranej przy kominku. Mia, siedząca naprzeciw Rose, puszcza do niej dyskretne oczko, oznaczające jedno: „dobra robota”.

Ciotka Juliett klaszcze w dłonie i z niegasnącym entuzjazmem zaciera ręce.

– To co, dajcie kolejny odcinek!

Ekran rozświetla się znajomym logo i tytułem: *Deskorolki*.

Do pałacu Rathorehouse podjeżdża coraz więcej samochodów. Na mokrej kostce brukowej odbijają się neonowe światła, pulsujące razem z muzyką sączącą się z uchylonych drzwi. Sportowe auta o nisko zawieszonych nadwoziach, niektóre z wielkimi spojlerami, inne przerobione na pokaz. Silniki warczą, drzwi trzaskają, a śmiech niesie się po dziedzińcu jak obietnica nocy, która dopiero się zaczyna. Wsiadają chłopaki z dziewczynami. Same dziewczyny. Każda wygląda, jakby właśnie wyszła z klubu albo z planu teledysku.

W tym czasie, wysoko nad podjazdem, w sypialni z widokiem na ogród, Ville poprawia kreskę pod oknem. Ubrany w czarną koszulkę polo i luźne dresy, wygląda jakby wrócił z siłowni, Jednak mimo pozornego luzu, każdy jego ruch jest przemyślany, niemal teatralny.

Na łóżku leży DJ Thomas. Ręce ma założone za głowę, jedno kolano zgięte, wzrok wbity w odbicie Libertyna. Obserwuje chłopaka malującego się przy lustrze z miną święcie skupioną. Z pozoru bez ruchu, ale jego spojrzenie błądzi po linii karku Villego, po napiętym mięśniu ramienia, gdy chłopak podnosi rękę, by rozetrzeć cień pod oknem.

– Odwiozłeś Ami do koleżanki? – pyta w końcu, cicho.

– Tak. No wiesz, nie powinno jej być dzisiaj w domu.

Thomas kiwa głową, nie ruszając się z miejsca. Przeciąga się leniwie, jak kot, któremu jeszcze nigdzie się nie spieszy. Przesuwa ręką po prześcieradle, zgniatając materiał pod palcami.

– To dobrze. Ale ej... długo jeszcze? Ludzie czekają.

– Chodź tu i mnie przytul – dobiega z łazienki.

Chłopak wstaje nieśpiesznie i już po chwili staje obok Libertyna, spogląda w lustro.

– Jak wyglądam? – pyta Ville posyłając sobie oczko. – Podobam ci się?

– Tak. Jesteś bardzo ładny.

ON przymyka powieki, zatrzymując ten jeden, idealny moment – jego twarz, jego ciało, jego miejsce na świecie.

– No, może być. Idziemy.

Kamera rusza za nimi. Wychodzą z pokoju, mijają wysoki, hol rozświetlony kinkietami z żarówkami w kształcie świec. Ich kroki stukają o kamienną posadzkę. Skręcają w stronę podziemi – najpierw surowy betonowy korytarz, potem zakręt w prawo i wąskie schody w górę.

Wtedy dźwięk się zmienia. Światła przygasają. Wchodzą do oranżerii – a właściwie do klubu przemienionego w skatepark rozświetlony neonami.

Nagle ktoś wciska pauzę. Obraz zastyga w bezruchu, co nie umyka uwadze zgromadzonych przed telewizorem.

– Ej, co jest? – pyta Robert z oburzeniem w głosie.

– To impreza. Nuda – odpowiada Emma. – Tańce, całowanie, a na końcu Libertyn bierze deskorolkę, wywala się przy pierwszym tricku i tyle go widzieli.

Ville szczyrzy się od ucha do ucha.

– Mój stary numer. Laseczki litowały się nade mną, a później szliśmy na after do mojej sypialni.

Nikt nawet nie reaguje na ten komentarz. Ktoś sięga po paluszka, ktoś dopija herbatę, ktoś skroluje telefon.

– Dajcie kolejny odcinek – rzuca Rose, klaszcząc w dłonie. – Czas na ostatni, bonusowy.

Emma natychmiast przewija kolejne pozycje na ekranie. Już ma wcisnąć właściwą ikonkę, ale na chwilę się zawiesza.

– Materiał dla naszych fanów został trochę ocenzurowany przez Mię... może włączę ten z naszego prywatnego archiwum?

Nie słysząc sprzeciwu, naciska *play*.

Rozdział 13

William.

Odcinek zaczyna się spokojnie, z melancholijną muzyką w tle, zespół Liberty Fade – poza Ville zbiera się potajemnie w domu Roberta, w tym samym, w którym prowadzi warsztat motocyklowy. Emma poprosiła ich o spotkanie bez szczegółów. „Po prostu przyjdźcie. Bez celebryty.” Nic więcej nie napisała. Powoli wszyscy schodzą się do salonu. Dziewczyna stoi przy oknie z założonymi rękami, milcząca, napięta. Jej wzrok przeskakuje między gałęziami drzew za szybą, jakby czegoś tam wypatrywała, ale myślami jest wyraźnie gdzie indziej. Rob rozsiadł się po drugiej stronie kanapy. Trzyma metalowy kubek z kawą, plecy wyprostowane, ale wzrok wbity gdzieś w przestrzeń między sofą a stołem. Thomas siedzi już na poręczu, luźno, balansując nogą. W dłoni obraca zapalniczkę, przesuwa ją po palcach z wprawą. Paul wchodzi ostatni. Nie mówi ani słowa, podchodzi prosto do gitar ustawionych w kącie. Przez chwilę tylko patrzy, jakby każda z nich miała mu coś powiedzieć. W końcu wybiera jedną – tę ze startym lakierem. Siada ciężko w fotelu, poprawia się, opiera gitarę na kolanie. Brzdąka kilka pojedynczych dźwięków. Nikt się nie spieszy. Nikt nie zaczyna rozmowy. Ale wszyscy czują, że coś jest nie tak.

– Nie wiem, co się z nim dzieje, ale się martwię – mówi Emma cicho, patrząc gdzieś poza szybę. – Od kilku dni wieczorami nie wychodzi z pokoju, czasem znika w ciągu dnia, nie ma go w pracy. I całą sobotę z Robem zajmowaliśmy się Amidalą, bo jaśnie pan gdzieś pojechał. Kręci, że to jego „odchyl artystyczny” – dodaje, robiąc palcami cudzysłów w powietrzu.

Rob odstawia kubek z hukiem na blat.

– Wszyscy chyba wiemy, jak wygląda faza artystyczna Villego. Albo śpi pod fortepianem i płacze, albo – wręcz odwrotnie – brzdąka zadowolony, coś nagrywa w studiu, drapie się po głowie i mówi, że „to będzie dobre, ale jeszcze nie teraz”. A tu? Jakaś krzywa akcja.

– Może chodzi o dziewczynę? – wtrąca Paul.

– Gdyby chodziło o dziewczynę, to by mi powiedział – mówi Thomas z pełnym przekonaniem. – Albo dał jakiś znak. A relacje między nami... w związku emocjonalnym – akcentuje z lekkim przymrużeniem oka – nie zmieniły się.

Emma wzdycha i opiera się plecami o futrynę.

– Może ma nowy projekt w głowie. Nie wiem – biznes, koncept na zespół, coś artystycznego. Ville nie zawsze wszystko nam mówi.

– Gdyby miał – dodaje Paul. – To by o coś pytał, coś konkretnego przeglądał. A on... znika w ciągu dnia, czasem wieczorem, spóźnia się na próby, jest jakiś, nie wiem... zmęczony. Rozkojarzony.

Przez chwilę nikt się nie odzywa. W tle słychać odgłos motocykla za oknem. Wreszcie Robert sięga po marker i podchodzi do tablicy, na której rozpisany jest już nieaktualny harmonogram imprez w klubie. Zamaszyście wszystko ściera.

– Czas rozpocząć śledztwo – rzuca wesoło.

Na twarzach pojawiają się pierwsze uśmiechy, jakby ktoś odetchnął z ulgą. Wszyscy rozluźniają się nieco.

– To co wiemy. Od kiedy tak dziwnie się zachowuje?

Emma marszczy brwi i podchodzi bliżej. Opiera się biodrem o róg kanapy i krzyżuje ręce.

– Gdzieś od początku października.

Zaczynają analizować szczegół: jak często wyjeżdża, czy korzysta z taksówek, czy bierze samochód, ile razy spóźnił się do pracy. Rozmowa się przeciąga, krąży wokół tych samych wątków, ale nie prowadzi do żadnych wniosków. Nie trafiają na żaden punkt zaczepienia. Zniknięcia Villego są nieregularne, pozbawione schematu, nie dają się ułożyć w żadną logiczną całość. Robert zapisuje kolejne hipotezy na tablicy, wypełnia ją niemal po brzegi, by po chwili część z nich bezlitośnie skreślić.

– Albo ma kolejne dziecko, o którym się właśnie dowiedział – rzuca Emma pół żartem, pół serio.

– Raczej by tego nie ukrywał – mruczy Thomas. – Poza tym, że wieczorami na próbach był trochę zmęczony, to nie wygląda na nieszczęśliwego. Kolejne dziecko by go na pewno... załamało.

Emma krzywi się i macha rękoma w powietrzu, jakby odganiała natrętną myśl.

– Zostawmy ten temat. Aż mnie ciarki przechodzą. To nie o dziecko chodzi.

– Patrząc na jego aktywności, może chodzić nawet o cały pluton dzieci – dodaje Thomas.

– Bądźmy poważni – mówi Emma tonem nie znoszącym sprzeciwu na co pozostali reagują udawanym zażenowaniem.

– Czy przysłała do niego jakaś korespondencja ostatnio? – pyta w końcu Robert. – Do firmy lub do domu, którą ukrył?

– Nie kojarzę.

Chłopak natychmiast zapisuje na tablicy hasło „prace społeczne”.

– Prace społeczne? – dziwi się Thomas. – Po co by to ukrywał? Libertyn i prace społeczne? Świetny materiał na odcinek.

– On bierze ze sobą laptopa... tak, bierze laptopa! – przypomina sobie Emma z nagłą pewnością, prostując się.

Thomas unosi palec, jak profesor na wykładzie.

– Po cholere mu komputer? Libertyn to cymbał elektroniczny!

– A może tam gdzie jeździ musi mieć laptopa? – podsuwa Paul. – Może zapisał się na kurs programowania albo obróbki zdjęć!

Wszyscy zanoszą się śmiechem. Thomas łapie się za brzuch, Emma chowa twarz w dłoniach.

– Mój braciszek nawet justować tekstu nie potrafi, a ty wyjeżdżasz z programowaniem czy Photoshopem... Moim zdaniem możemy tu dywagować do jutra. Trzeba go śledzić.

– Zakradnijmy się najpierw do jego gabinetu – proponuje Paul.

– Nie ma problemu. Dziś o północy. Mam nadzieję, że nie będzie siedział w studiu.

Obraz na sekundę ciemnieje, by po chwili ukazać czarne BMW sunące pustymi ulicami, rozświetlanymi tylko nielicznymi latarniami. Auto skręca w stronę RRstudio i toczy się niemal bezszelestnie. W środku panuje gęsta cisza, przerywana co jakiś czas nerwowym chichotem i szeptanymi uwagami. Na kolanach Roberta spoczywa paczka czarnych kominiarek. Przerzuca je z jednej ręki do drugiej, jakby ważył, komu najpierw wręczyć maskę. Boczne światło z deski rozdzielczej podkreśla napięcie w jego szczęce – mieszaninę ekscytacji i poczucia absurdu całej sytuacji.

– Serio, chyba żeście oszaleli – mówi Emma, patrząc z niedowierzaniem na swojego chłopaka – Mam klucze. I kod do alarmu. To nie jest włam.

– Ale będzie dobry kontent do odcinka – odpowiada Rob z miną konspiratora. – Czego się nie robi dla widzów.

– Niech będzie. Jak wyglądam? – pyta, zakładając kominiarkę.

– Jak szefowa gangu cukierkowych terrorystów.

Podjeżdżają pod bramę. Dziewczyna wciska guzik na pilocie, metalowa krata zgrzyta nieprzyjemnie, rozchylając się powoli. Thomas kieruje auto na tyły budynku, w stronę drugiego wejścia, zatrzymując się przy nikłym świetle lampy ulicznej. Gaszą silnik. Wsiadają szybko, niemal instynktownie pochylając głowy, jakby ktoś mógł ich obserwować. W rękach błyskają latarki – ich drżące światła omiatają mokre od rosy chodniki i ceglane ściany. Wchodzą bocznym wejściem. Emma wpisuje kod na panelu przy drzwiach i dezaktywuje czujniki. W środku słychać tylko szum wentylatorów serwerowni i monotonne buczenie zasilaczy awaryjnych. Cała czwórka w ciszy, jak złodzieje, przemykają przez korytarze, aż docierają do gabinetu Villego, pomieszczenie wygląda na uporządkowane, wręcz sterylne. Lampka na biurku, notatki, plik żółtych karteczek, kalkulator, regały z dokumentami.

Paul pierwszy podchodzi do szuflady.

– O rany... cała szuflada karteczek – mówi z niedowierzaniem. – Ma nawet pachnące! – Wącha jeden plik. – Wanilia.

Emma doskakuje do niego, jakby ratowała dokumenty z pożaru.

– Zostaw to! On ma wszystko wyliczone. Jeśli coś przestawisz, będzie wiedział.

Rob przegląda biurko, aż jego wzrok zatrzymuje się na dobrze znanym kalkulatorze.

– To ten jego słynny kalkulator z dużymi przyciskami... – mruczy. – Co ostatnio bardzo go zachwalał, wręcz zareklamował i to za darmo. Ciekawe, ile wzrosła sprzedaż. Pewnie dystrybutor jest wdzięczny.

Paul przegląda kolejną szufladę.

– Tu tylko papiery... fundacja, projekty, wszystko wygląda normalnie. – Na moment milknie. – No, no... jak to się mówi, Libertyn nie próżnuje nawet w pracy.

Rob unosi brew i podchodzi bliżej.

– Nie mów, że znalazłeś to, o czym myślę.

– A o czym myślisz? – pyta Emma zajęta przeglądaniem książek.

Paul delikatnie podnosi małe, srebrne opakowanie, które błyszczy w świetle latarki. Nie mówi nic, tylko unosi je między palcem a kciukiem. Thomas gwizdże cicho i odwraca wzrok, ledwie powstrzymując śmiech. Rob powoli obraca się w stronę Emmy. Ich spojrzenia się spotykają.

– Ciekawe, do jakiego projektu jest mu to potrzebne – mruczy Paul i odkłada opakowanie z powrotem na miejsce.

– Ciekawe... Matematyka: podstawowe pojęcia i techniki. Po co mu to? – pyta Thomas wyciągając opasłą książkę z innej szuflady.

– On ciągle coś liczy – mruczy Paul. – Może do tych swoich kalkulacji?

– Albo trop – mówi Robert.

– Coś zaznaczył – zauważa Emma robiąc zdjęcie okładki. – Kółkiem. I podkreślenie.

– Jeszcze jedna szuflada została – przypomina sobie Paul. Zagląda. – O, cukierki!

Każdy bierze po jednym. Cichutko chrupią, kiedy nagle rozlega się piskliwy alarm. Czerwone światła pulsują. Wszyscy zamierają.

– Cholera! – rzuca Emma. – Ktoś nacisnął panikę?!

Otwiera aplikację w telefonie, nerwowo przewija ekran.

– Już wiem! Zapomniałam, że mamy nowy system ochrony. Alarm sam się włączył. Cholerne kominiarki i cholerne AI!

Schodzą na dół, starając się zachować spokój, ale gdy tylko wychodzą na zewnątrz, reflektory samochodu ochrony oświetlają ich twarze.

– Stać! – pada rozkaz. – Hasło!

Emma zamiera.

– O kurwa... nie znam hasła! Ja tu pracuję! Wszystko okej!

– Hasło – powtarza ochroniarz, zbliżając się.

– Jesteśmy... sławni?

– To ma być hasło?! – prychnął ochroniarz. – Wyłączcie te kamery! Co to ma być?

– Ja... nie wiem... – zaczyna gubić się we własnych myślach.

– Kochanie, uspokój się – mówi Robert, trzymając ją za rękę. – Zadzwoń do kogoś, kto zna hasło. Pan z ochrony na pewno poczeka.

Obraz znika. Słychać tylko głosy.

– Cześć, tatku... Wiem, że jest późno, ale możesz podać hasło do RRstudio? Przez przypadek włączyłam alarm...Dzięki... A jaką macie pogodę w Helsinkach?... Tak, wiem, że późno... Pogadamy jutro. Kocham cię. Dobranoc.

Obraz wraca. Wszyscy już bez kominiarek, trochę spoceni, rozbawieni i wyraźnie zmęczeni. Emma opiera się o ścianę.

– Myślałam, że dostanę zawału.

– Hasło „jesteśmy sławni” chyba nie przemówiło do ochrony – rzuca Thomas z ironią. – Dobrze, że nas nie spałowali.

– Dobra, wracamy – decyduje stanowczo Paul. – Jutro śledzimy Libertyna. A teraz – spać.

Kamera przenosi się do salonu Roberta, gdzie ponownie spotyka się zespół – bez Villego. Pomieszczenie spowija półmrok. Zaciągnięte zasłony tłumią światło dzienne, a z głośników syczy się przyciszona playlista z poprzedniego wieczoru. Na stoliku stoją niedopite kubki po kawie, a atmosfera przypomina raczej poranek po burzy niż zwyczajną rozmowę. Emma siedzi w fotelu z laptopem na kolanach.

– To mamy tylko tę książkę – odzywa się cicho, jakby nie chciała, by jej słowa w ogóle wybrzmiały.

Podłącza komputer do systemu. Po chwili jedno ze zdjęć pojawia się na dużym ekranie zawieszonym na ścianie. Krótkie piknięcie potwierdza połączenie.

Robert podchodzi bliżej telewizora. Przysuwa się, wskazując palcem jedno z kolejnych zdjęć – to, na którym widać zakreślenie na dole strony.

– Popatrzcie tu. Pieczętka.

– Londyński Instytut Ekonomii Stosowanej i Matematyki – Thomas czyta na głos mrużąc oczy.

– Książka z biblioteki? – mruczy Emma. – Mój braciszek i biblioteka to kiepskie połączenie. Gdyby była mu potrzebna do pracy, po prostu by ją kupił, a nie wypożyczał.

Thomas zerka na telefon, skroluje kilka razy ekran.

– Ten Londyński Instytut to prywatna uczelnia i ma dobre opinie.

Zawieszają głos. Przez moment wygląda, jakby sam nie wierzył w to, co chce powiedzieć.

– Słuchajcie... a może on... studiuje? To by pasowało, chyba. Pamiętam, że rok akademicki w Niemczech zaczynał się w październiku.

– Faktycznie – wtrąca Emma. – Tu w Anglii jest podobnie. A prywatna uczelnia... na państwową ze słabymi ocenami z liceum mógłby się nie dostać.

– Czas ruszyć tyłek i go śledzić – mówi Rob. – Może dziś znowu zniknie. Jedziemy do RRstudio. Weźmiemy motocykl – w razie czego łatwiej go dogonimy.

Thomas rzuca spojrzenie na Paula i kiwa delikatnie głową.

– Może pojedziemy do pałacu i poszperamy mu w pokoju... – urywa, krzywiąc się lekko. – Choć nie wiem, czy chcę to robić. To trochę...

– Narusza jego prywatność – wtrąca Paul. – Grzebanie mu w biurku w pracy to co innego – tam każdy ma dostęp, pewnie nie raz ktoś szukał jakichś dokumentów firmowych. Ale szperanie w sypialni...

Zapada cisza. Wszyscy spuszczają wzrok, jakby dopadło ich to samo uczucie – moment refleksji, że coś może wymknąć się spod kontroli.

Emma przeciera twarz dłonią i mówi już zupełnie rzeczowo:

– No dobra. To my z Robem jedziemy do pracy, może coś się wydarzy, a wy koczujcie na niego w domu. Kamera powoli odjeżdża. Na ekranie wciąż widnieje powiększone zdjęcie z pieczątką uczelni i zakreślonym fragmentem strony. W tle rozlega się kliknięcie zamykanej kłapy laptopa, a chwilę później – skrzypnięcie krzesła. Obraz staje się coraz ciemniejszy.

Po sekundzie wraca światło – słońce odbija się od metalowego błotnika motocykla, który wjeżdża na podjazd RRstudio. Silnik cichnie, a przez moment słychać tylko szum ulicy i dźwięki miasta: klakson gdzieś w oddali, urywany śmiech grupy nastolatków przechodzących obok. Emma zdejmuje kask, zarzuca włosy na ramię. Rob zsuwa rękawiczki, ruszają do środka i wchodzą po schodach na trzecie piętro, gdzie mieści się biuro fundacji. W korytarzu mijają Villego, który właśnie kończy rozmowę z menadżerem. Na ich widok chłopak uśmiecha się szeroko, niemal z figlarną pewnością siebie. Przychodzi do gabinetu Emmy, gdzie ona już siedzi przy biurku, a Robert opiera się o parapet z rękami w kieszeniach.

– Dlaczego włączyłaś alarm w nocy i zadzwoniłaś do ojca z pytaniem o pogodę w Helsinkach?

Emma zamiera. W głowie próbuje przywołać cokolwiek, co mogłoby brzmieć wiarygodnie, Rob chce coś powiedzieć, ale dziewczyna jest szybsza.

– Zgubiłam portfel – mówi z lekkim zdenerwowaniem. – Na szczęście znalazł się tutaj.

Rob przyryka lekko oczy jakby wiedział, że jej kochany braciszek tak tego nie zostawi.

– Portfel... Nie wnika – mruczy z udawaną powagą. – Ale nasza firma jest porządna i to nie miejsce na... gubienie portfela. No cóż, na drugi raz możesz zadzwonić do mnie po hasło. Znam je. Aha – dodaje z uśmiechem – i ojciec też cię kocha.

Odwraca się i wychodzi, a za nim zatraskują się drzwi. Przez moment w gabinecie zapada cisza. Emma bierze głęboki oddech.

– Gnojek. Będzie mówił, co jest porządne, a co nie. Niech się lepiej przyjrzy zawartości swojego biurka.

Teraz już silnik motocykla ryczy, powietrze drży. Rob i Emma przeciskają się między autami, śledząc czarnego firmowego mercedesa przez ulice Londynu. Po kilku minutach zatrzymują się nieopodal niewielkiego kampusu, ukrytego wśród starych domów i zieleni i widzą, że Ville wychodzi z auta i z nonszalanckim uśmiechem podchodzi do grupki studentek. Jedna z dziewczyn chichocze z jego żartu, inna odruchowo poprawia włosy. Libertyn rozmawia z nimi jak równy z równymi – swobodny i pewny siebie..

– Jeśli tam wejdziemy, to nic to nie da – mruczy Robert, nie odrywając wzroku od drzwi. – Pewnie zniknie gdzieś w sali i tyle. No i te dziewczyny...

– Gdybym nie zobaczyła tej książki, to bym pomyślała, że przełączył tryb Libertyn wyrywa imprezowiczki na Libertyn wyrywa studentki.

– Czyli studiuje... albo jednak wyrywa studentki. Jak to ostatecznie potwierdzić? I dlaczego nic nam nie mówi, przecież pytaliśmy co robi kiedy znika.

– Może sam chciał, żebyśmy się zainteresowali – mówi Emma cicho. – Wiesz, jaki on jest. Lubi podpuszczać ludzi. Pewnie już przejrzał monitoring, widział nas i ma polewkę.

Kamera płynnie przesuwają się przez korytarz pałacu Rathorehouse. W głównym holu przy eleganckich sofach siedzą Emma, Rob, Thomas i Paul. Wszyscy milczący, pogrążeni w zamyśleniu. Ville schodzi po marmurowych schodach jak księżę, niemal scenicznym krokiem, trzymając w dłoni swój ulubiony bidon w kwiaty.

– Hej, co tam. Co macie takie posępne miny?

Zanim zdąży usiąść, Rob bez słowa zabiera mu bidon i stawia go na stoliku. Następnie łagodnie, ale stanowczo sadza go na fotelu.

– Słuchaj – mówi z wyczuwalnym napięciem. – Powiedz szczerze i nie kręć. Studiujesz czy wyrywasz studentki?

– Wirywam.

Emma zamyka oczy, przeczesując dłonią włosy.

– Nowe hobby? Brat, jesteśmy zespołem... Śledziliśmy cię.

Libertyn zaczyna się śmiać – tak szczerze, że aż zsuwa się z fotela, opierając czoło o dywan.

– Dla mnie też macie kominiarkę? – chichocze. – I zżarliście mi cukierki!

Wybucha ogólny śmiech. Thomas pokłada się na poduszce, Paul kręci głową, Emma parska przez nos. Ale po chwili poważnieje.

– Brat... musieliśmy się dowiedzieć. Ale powiedz – to prawda?

Ville uspokaja się, siada z powrotem na fotelu i bierze głęboki oddech. Jego twarz łagodnieje.

– Wiedziałem, że prędzej czy później to wyjdzie na jaw. Ale skoro już się napracowaliście... Tak. Matematyka stosowana.

Zapada cisza. Paul mruga, Robert rozdziawia usta. Emma patrzy na brata z mieszaniną szoku i podziwu.

– Okej. Rozumiem i nie oceniam – mówi Thomas przysiadając się obok niego. – Ale jak ty to sobie wyobrażasz? To przecież tona pracy. A tu próby, trasa, fundacja i do tego jesteś ojcem...

– Myślałem, że dam radę. Zaocznie, z indywidualnym planem, część online... Ale teraz wiem, że to mnie przerasta. Chyba się poddam.

Emma podchodzi powoli, klęka przy jego fotelu i łapie go za rękę.

– Czemu w ogóle to zrobisz?

– Bo chciałem... żeby Ami była ze mnie dumna. Nie tylko z koncertów, z blasku. Żeby widziała we mnie kogoś więcej, nie tylko... celebrytę.

– Hej... chciałeś spróbować, to już dużo. Ale nie musisz rezygnować od razu. Będę się uczyć razem z tobą. Pamiętaj, że byłam kujonem? Damy radę. A jak nie – to odpuścisz, bez presji.

Ville kiwa głową, poruszony. Zaciska usta, żeby nie pokazać, że się wzruszył. Paul przysiadła się z drugiej strony i obejmuje go ramieniem.

– Miałem studiować ekonomię, spróbuje ci pomóc – rzuca z uśmiechem.

– No i świetnie – mruczy Thomas. – Teraz zamiast imprezować w trasie koncertowej, będziemy uczyć się dodawania. Ale fakt, Ami będzie z ciebie dumna.

Robert nachyla się i klepie Libertyna po ramieniu.

– Ale ja ci nie pomogę. Z matmy jestem noga. Za to mogę ci ponosić książki. Zawiesza się chwilę. – Albo bidon.

Obraz powoli ciemnieje. Odcinek kończy się.

Mia siedzi na skraju kanapy, z kubkiem herbaty w dłoni i spogląda na swoje dzieci.

– Pamiętam to, było bardzo poruszające – mówi cicho. – I byłam dumna nie tylko dlatego, że mój syn, zakąła szkoły podjął studia, ale że miał taką piękną motywację i że go wsparliście w tamtym czasie.

– To też pokazało siłę Liberty Fade – przyznaje Rami. – No i mu się udało, mamy w domu licencjata matematyki.

Libertyn z dumą szczyrzy się, jakby miał na sobie niewidzialny laur zwycięzcy, i teatralnie unosi głowę.

– Prawda jest taka, że gdyby nie Anna, to bym nie dał rady... Znaczy, może bym dał, ale na pewno nie skończyłbym w terminie. I nie wiem, czy w sumie miałbym tyle determinacji.

Wszyscy zgodnie przytakują, poza francuską częścią rodziny. Ciotka Juliette, siedząca w fotelu pod oknem, marszczy brwi i wpatruje się w Villego z lekkim zdziwieniem.

– Co to za Anna?

– Po wszystkim zaczęliśmy zastanawiać się co dalej. Bo Thomas, podchodząc sceptycznie, miał rację. Koncerty, nagrania, próby, praca w RRstudio i rodzicielstwo – to było bardzo dużo jak na jedną osobę. Zaczęliśmy robić plan. I prawda była taka, że mi to się w sumie nie chciało uczyć.

– Postanowiliśmy znaleźć mu korepetytorkę – wtrąca Mia. – To miała być dziewczyna po studiach, skromna, mądra i dyskretna.

– Poszedłem do dziekana, powiedziałem, że ze względu na pracę będę musiał pewnie mieć jakieś wsparcie i że szukam osoby, która mi zwyczajnie pomoże. Dziekan wskazał kilka osób z celującymi ocenami. Wybrałem Annę – typową matematyczkę, kujonkę jak z amerykańskiej komedii o collegu. Dogadałem się z nią, zatrudniłem ją w LFL jako specjalistkę ds. wsparcia rozwoju osobistego – ładnie brzmiało. Anna musiała podpisać umowę o zachowaniu poufności.

Robert odchrząkuje i szturcha Rose w bok.

– To normalna praktyka, pamiętasz?

Dziewczyna śmieje się i kiwa głową, poprawiając się na poduszce. Ona też musiała podpisać taką umowę, jako pracownik ekipy technicznej programu. Zresztą NDA czyli umowy o zachowaniu poufności w takim towarzystwie jak Rianowie to coś normalnego – mają je wszyscy, nie tylko pracownicy, ale również ci, którzy chcą być zapraszani do ich domów, spędzać z nimi czas. Takie umowy dotyczą też partnerek chłopców z zespołu – Wendy, Sandry. W świecie show-biznesu to nic nowego. Poufność i dyskrecja to podstawa, gdy jest się na świeczniku. Ciotka Juliette zna te zasady, kręgi, w których się obraca, rzadko pozwalają na swobodę. Wie, że byle kto nie odwiedza domu indyjskiej arystokratki–miliarderki i jej męża gwiazdy rocka. Ale mimo to, sprawa Anny wyraźnie ją zaciekawiła.

– A co ta dziewczyna właściwie robiła?

– Jak to co? – pyta Robert. – Wszystko! Prace domowe, projekty, nawet licencjat mu napisała. Zrobiłaś choć jedną prezentację albo projekt sam?

– Przez trzy lata nie kiwnąłem palcem – przyznaje Ville. – Tylko że musiałem się uczyć na egzaminy, bo inaczej nie dało się ich zaliczyć. Ale reszta to była sprawa Anny. Przecież wiecie, że nie miałem kiedy studiować.

Rose obejmuje go lekko ramieniem, opiera głowę o jego bark.

– Byłam zazdrosna o Annę, bo Vivaan spędzał z nią dużo czasu... Zresztą, dziewczyna jeździła z nami w trasę. Pamiętam – LF grali koncert, a ona na backstage'u robiła jakieś zadania za niego na kolejne zajęcia. To była normalka.

Juliette kręci głową z niedowierzaniem, zaciskając usta w cienką linię. Przez moment jej spojrzenie pozostaje chłodne i dystansowane, ale po chwili kiwa lekko głową bo doskonale rozumie, że jej wnuk to człowiek żyjący według zupełnie innych zasad, niepasujących do świata, który ona zna.

– Pierwsza w nocy – wspomina Rami z nostalgią w głosie. – Telefon od Emmy o hasło do alarmu, a później pytanie o pogodę w Helsinkach!

Robert nie czeka ani sekundy – odwraca się w stronę Emmy, prostuje się niczym aktor na scenie i przeciąga sylaby z wyższością godną mistrza dramatycznych pauz:

– Hmm... jaka może być pogoda w Helsinkach w nocy... w październiku? Pewnie... jest... słonecznie.

– Poczułam się źle, tatuś nie był zadowolony i mnie ochrzanił.

– Ale twoje „kocham cię, tatku” mnie rozwaliło – mówi, łapiąc się za serce z udawaną czułością.

I nagle – szcęk kłamki. Ciężki dźwięk otwierających się drzwi od strony holu. W progu staje wysoki, siwowłosy mężczyzna w ciemnym płaszczu przeciwdeszczowym i skórzanych rękawiczkach. Strzepuje krople z ramion, rozgląda się po salonie z lekkim zmieszaniem.

– Oj, chyba źle trafiłem... – mruczy. – Co tu tak kolorowo? I dlaczego choinka wygląda... tak dziwnie?

Zaraz po tym, jak dziadek Lauri z przekrzywioną głową nadal rozważał, czy trafił do właściwego domu, i z entuzjazmem komentował „odważny, dziecięco–awangardowy kierunek artystyczny” w wystroju choinki, zaczęli schodzić się pozostali goście.

Z korytarza dobiegają głosy, skrzypią drzwi, ktoś woła przez pół domu, a z kuchni niesie się zapach cynamonu, imbiru i pieczonych ziemniaków. Szaliki fruują, kurtki lądują na wieszakach, śmiech odbija się od drewnianych posadzek. W całym Rainhouse panuje gwar – rozmowy mieszają się z kolędami, dźwiękiem tłuczonych orzechów i stukotem talerzy. Ville i Rose korzystają z ostatnich minut spokoju, zanim ktoś zawoła ich do wspólnej kolacji. Cicho wymykają się z salonu, znikają za szklanymi drzwiami

prowadzącymi do jednego z bocznych skrzydeł domu. Ona szybko rozstawia kamerę na statywie, reguluje ostrość i kąt, jakby robiła to setki razy. W końcu siada razem z mężem w szerokim, industrialnym fotelu obitym grafitową skórą i zaczynają opowiadać o tym, że choć Rianowie wyznają hinduizm, katolickie święta obchodzą co roku z dalszą rodziną i przyjaciółmi. Z miłości, z szacunku, z tradycji, którą sami tworzą. Następnie składają widzom świąteczne życzenia – proste, szczere, serdeczne i pełne śmiechu.

W międzyczasie goście zdążyli już zająć miejsca przy stole. Atmosfera jest ciepła i lekko podniosła. Światła choinki odbijają się w kieliszkach, a rozmowy cichną na moment, gdy... Amida nagle wstaje i biegnie w stronę gabinetu. Po chwili wraca z czymś w rękach, dysząc lekko, z zaróżowionymi policzkami i rozwianymi włosami.

– Hej! Zapomnieliśmy o Williamie! – woła z przejęciem.

Wszyscy kiwiają głowami, jakby właśnie przypomniano im coś absolutnie oczywistego. Czaszka zawsze towarzyszy rodzinie podczas świąt i większych uroczystości. To już nie tylko rytuał, ale niemal świętość. Jak czarna choinka migocząca srebrnymi światełkami w rogu salonu. Ville podchodzi do Ami z teatralną powagą i odbiera od niej czaszkę. Obraca ją w dłoniach, jakby sprawdzał, czy William nadal jest „w formie”, po czym z namaszczeniem odstawia ją na komodę, tuż obok świątecznych dekoracji.

– Miejsce honorowe – mruczy pod nosem.

– Nienawidzę tej czaszki – rzuca Emma krzywiąc się.

Ville uśmiecha się szeroko. Patrząc prosto w obiektyw, mówi z rozbawieniem:

– Z tą czaszką wiąże się ciekawa historia.

Robi krótką pauzę, siada wygodniej na krześle. W jego oczach błyska znajome rozbawienie, jakby zaraz miał opowiedzieć coś zupełnie absurdalnego i zupełnie prawdziwego.

– Historia Williama jest taka... – zaczyna powoli, tonem gawędziarza.

Niespełna piętnastoletnia Emma wpadła do domu jak burza, trzasnęła drzwiami i z impetem rzuciła plecak w przejściu. Usiadła na pikowanej ławce w holu i bez słowa zaczęła cicho płakać, skulona, z dłońmi przy twarzy.

Mia zjawiała się natychmiast, słysząc szloch. Kucnęła przy niej zaniepokojona.

– Hej, kochanie... co się dzieje?

Emma nie odpowiedziała, tylko trzęsła się od cichych łkań. Mia delikatnie zaprowadziła ją do salonu, posadziła na kanapie i usiadła obok, przytulając mocno. Jej dłoń spokojnie wędrowała po plecach córki, nie pytając, nie nalegając – tylko była.

Z góry, zza szklanej barierki, sytuację obserwował dwunastoletni Ville. Przykładał czoło do szyby i niemal ją ślinił z ciekawości. Jego oczy błyszczały, zafascynowane dramatem, który rozgrywał się na dole. Przypominał kota na czatach – nieruchomego, ale gotowego do skoku.

Z gabinetu wyszedł Rami, przyciągnięty płaczem córki. Podeszedł szybko, jego twarz była pełna gniewu, a w spojrzeniu widać było pytanie wiszące już na ustach.

– Zabiję gnoja. Przysięgam, zabiję. Który cię skrzywdził?

Emma podniosła głowę z ramienia Mii. Oczy miała czerwone, ale głos zabrzmiał zaskakująco stanowczo:

– Szekspir!

Rami zamarł na moment, jego twarz zastygła w pół grymasu. W następnej sekundzie eksplodował złością. Już sięgał po kurtkę, już odwracał się w stronę drzwi, już energicznie zdejmował kluczyki z wieszaka, gotów do działania.

– Chwila! – przerwała mu Mia, jakby właśnie się przebudziła z zamyślenia. – William Szekspir? Ten od dramatów i poezji?

– Tak, ten sam. Dostałam pałę z literatury.

Rami zatrzymał się jak zahipnotyzowany. Stał chwilę w milczeniu, po czym odłożył kluczyki z westchnieniem ulgi, ale w kąciu ust pojawił się cień rozbawienia.

W tym momencie Ville zbiegł z góry, promieniejąc zadowoleniem. Zatrzymał się przy siostrze i zaczął wokół niej taniec zwycięstwa.

– O tak! Zwycięstwo! – skandował. – Już nie jesteś taka idealna!

– Czyś ty oszalał? – spytała Mia z lodowatym spokojem. – Przy twoich miernych ocenach jej jedna pała to nic.

– Raczej dostatecznych – próbował się bronić.

– Idź, gnojku, odrabiać lekcje. Mama ma już dosyć chodzenia do twojego wychowawcy.

– Marsz do pokoju!

Ville westchnął, spuścił głowę, mamrotał coś pod nosem, jakieś przekleństwo, i ruszył w stronę schodów.

– Ville! Słownictwo!

– Oczywiście, matko – odpowiedział przesadnie grzecznie, obracając się na pięcie. – Tylko że jak ja dostaję złe oceny, to nikt mnie nie pociesza.

Rami pokręcił głową z politowaniem.

– Jesteśmy już do tego przyzwyczajeni. Do lekcji – już!

Ville zniknął na górze, a jego kroki dudniły dramatycznie. Mia znów usiadła przy Emmie, która cicho szlochała.

Rami obserwował obie, gdy upewnił sam siebie, że chodzi o edukację, zostawił je same wiedząc, że jego żona załatwi tą sprawę najlepiej.

– Hej. Skąd ta zła ocena? – zwróciła się Mia do jeszcze szlochającej Emmy.

– Była kartkówka z Hamleta. A ja... przeczytałam Makbeta.

I wtedy łzy znów napłynęły do jej oczu. Zaczęła płakać, teraz już bez oporów. Mia na chwilę odwróciła głowę, jakby walczyła z uśmiechem. Zrobiła parę kroków w stronę okna, wzięła głęboki wdech, zebrała się w sobie.

– Spójrz na to tak: kiedy będziecie omawiać Makbeta, to ty już będziesz gotowa. Dostrzeż w tym strategię.

Następnie wstała, podała jej rękę i zaprowadziła do kuchni. Zrobiła gorącą czekoladę z bitą śmietaną. Kilka minut później słychać było tylko rozmowy i plotki – ciche, lekkie, prawie jakby nic się nie stało.

Wieczorem tego samego dnia, gdy Emma siedziała w salonie z książką, a Mia w jadalni wertowała dokumenty, zszedł Rami, a za nim Ville, który skradał się przy ścianie, udając cień.

Rami podszedł do Emmy, spojrzał na nią z teatralną surowością i powiedział:

– Być czy nie być o to jest pytanie? – zrobił pauzę, zamyślił się na moment, po czym wypalił z pełną powagą: – Mia, chcę czaszkę!

Emma zaniósła się płaczem, Ville szczyrzył zęby jak mały demon, a Mia opadła ciężko na krzesło i zakryła twarz dłonią.

Libertyn kończy swoją opowieść zastygając w szerokim uśmiechu.

– Kilka dni później ojciec naprawdę przyniósł czaszkę.

Wstaje, podchodzi do komody, bierze Williama w ręce i przez chwilę przygląda mu się z czułością.

– Od tego momentu William jest z nami.

Amidala przybija mu piątkę z powagą godną rytuału, a kamera zatrzymuje się na ich dłoniach. W tle słychać dzwonenie kieliszków i śmiech, który niesie się po całym domu.

KONIEC